

Janina Ochojska i Anna Alboth
Relacja z obozu dla uchodźców

Radek Rak
Pańszczyzna ma się dobrze

Prof. Ryszard Szarfenberg
Komu podnosić podatki

Turów – to nie jest
czeski film

4 czerwca 1989

TAJNE POROZUMIENIE Kremla i Białego Domu



A
♦

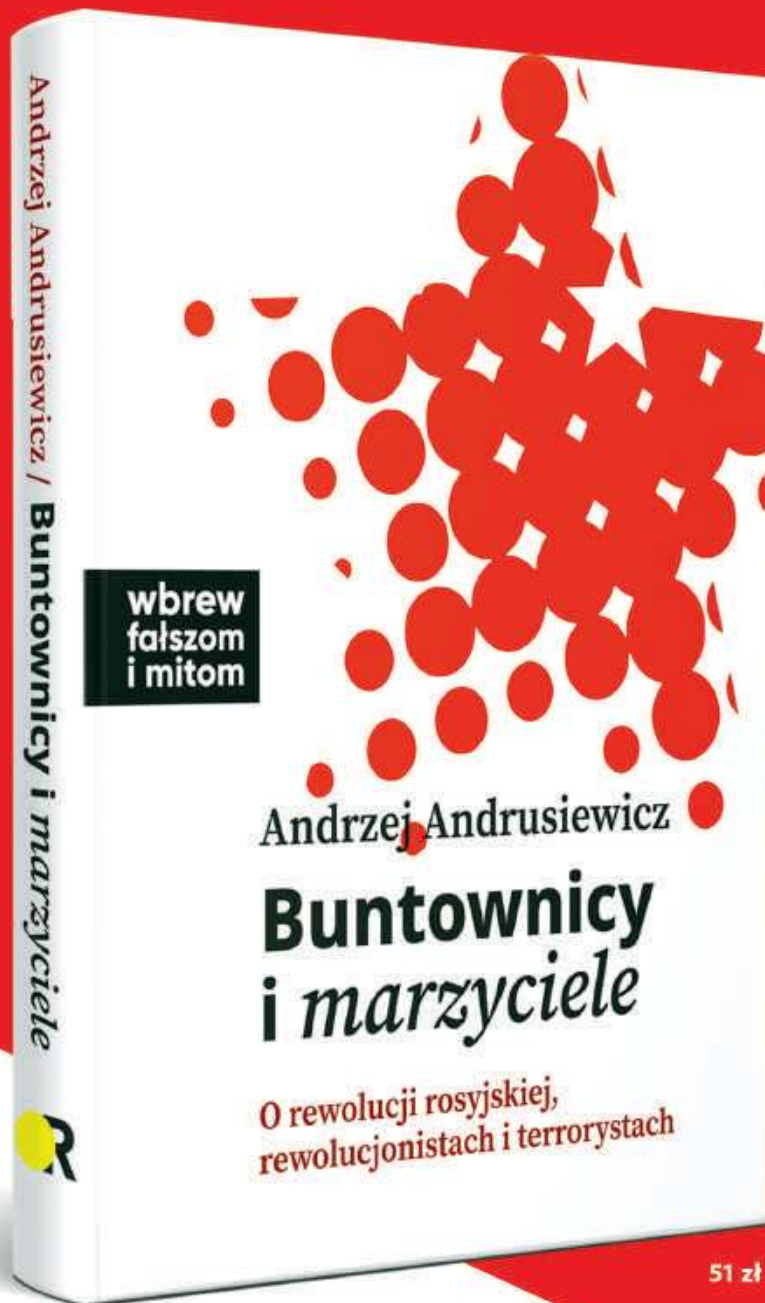


♦
A



♥
A

REWOLUCJA W ROSJI BEZ FAŁSZÓW I UPRZEDZEŃ



51 zł

Dlaczego byli gotowi na śmierć lub wygnanie?

Andrzej Andrusiewicz nie poddaje się rusofobicznej narracji. Odsłania kręte nieraz ścieżki XIX-wiecznych radykałów i pokazuje ich dramatyczne losy. Książka jest szeroką i barwną panoramą losów postępowej inteligencji rosyjskiej i polskiej.

Książka PRZEGLĄDU!

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 51 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Kłamstwo nową prawdą

Turbulencje. I to takie jak na pokładzie samolotu, który trafił w rejon wylądowań atmosferycznych. Tak bym najkrócej opisał stan, w jakim znalazła się dziś Polska. Sytuację, i tak marną, dodatkowo pogarsza to, że kompetencje pilota, czyli w naszych realiach prezesa Kaczyńskiego, kwestionuje większość pasażerów. Niechęć do niego jest tak duża, że gdyby na pokładzie był jakiś inny i oczywiście sprawny kapitan, mógłby przejąć ten samolot i obrać nowy kurs.

Jednak liczenie na to, że taki wariant spadnie opozycji z nieba, jest mocno ryzykowne. Nie docenia się doświadczenia lidera obozu władzy. Weterana wielu przegranych kampanii, który potrafił ze swoich klęsk wyciągnąć wnioski, pozwalające mu od paru lat ciągle wygrywać. Umiejętnie wykorzystującego wszystkie instrumenty władzy. Także finansowe. Mając do dyspozycji potężne środki, płaci prorządowym mediom jak nikt w historii. Tyle, że bez wahania będą bronić jego i swoich interesów. Aż poza granice porządku prawnego.

Do czego są zdolne, widać po tym, jak skutecznie i bezwzględnie kompromitują co groźniejszych przeciwników władzy. Jak z białego robią czarne. Kłamstwo stało się w polityce i mediach tak powszechnym elementem działania, że już coraz mniej ludzi oburza się na to, co widzą. Myślą chyba, że tak musi być. Duże zasługi

w upowszechnieniu tej skrajnie cynicznej postawy ma premier Morawiecki. Swoimi niezliczonymi kłamstwami doprowadził do tego, że wśród memów na jego temat jest i taki: „Morawiecki, nawet jak mówi prawdę, to kłamie”.

Niestety, problem z wiarygodnością i prawdziwością mają nie tylko politycy i media do niej zmiany. Choć oni przodują w tej niechlubnej kategorii, to i opozycja święta nie jest. Zwłaszcza ta jej część, która dostatnio żyła z bonusów fundowanych przez PO. I jakoś nie dociera do niej dość oczywista konstatacja, że nie byłoby tak silnego PiS ani milionów Polaków popierających te kuriozalne w wielu przejawach rządu, gdyby nie polityka PO, jaką prowadził premier Tusk. To na glebie ówczesnych zaniedbań, kunktatorstwa i błędów w ocenie faktycznych interesów państwa wyrosły zastępy ludzi jeszcze marniejszych od tamtych. Rząd Tuska miał duże problemy z kadrami i nepotyzmem. A rządy Kaczyńskiego tak to zwielokrotniły, że gdyby nie bolesne skutki ich działalności, można by mówić, że to jakaś karykatura, która nam się po prostu przyśniła. Niestety, co rano widzimy, że to nie sen, ale nasza codzienność. Co gorsza, z tygodnia na tydzień jest ona coraz bardziej karykaturalna. Część wstydi się za to, co robi władza. Część oburza. A jedna trzecia uważa, że wreszcie jest, jak trzeba. I co z tym paszтетem zrobimy?

Drodzy Czytelnicy,

kończy się półroczie
i znowu biblioteki czekają
na nasz tygodnik.

Dzięki Waszym wpłatom PRZEGLĄD
otrzymuje w tym roku 77 placówek.

Kontynuujemy tę pożyteczną akcję.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”
Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Pełna lista bibliotek na www.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

ANDRZEJ STASIUK, pisarz

*PiS wygrywa, bo wyczuwa ciemne
prądy podświadomości polskiej.
I sypie kasą.*

„Tygodnik Powszechny”

PROF. WŁODZIMIERZ GUT, wirusolog

*Osoba zaszczepiona powinna mieć
większe prawa.*

„Polska The Times”

BAKOWSKI



W NUMERZE

HISTORIA

- 8** 4 czerwca 1989: Tajne porozumienie Kremla i Białego Domu
Kulisy wyborów
- 42** Czystki etniczne, pogromy, okrucieństwo
Ustaszę i UPA

KRAJ

- 12** To nie jest czeski film
Sprawa Turowa
- 15** Czy podnosić podatki tylko posiadaczom jachtów i pałaców?
– rozmowa z prof. Ryszardem Szarfenbergiem
- 18** W czepku urodzone
Pielęgniarki potrzebne i niedoceniane
- 22** Żłobki to wciąż wielkomiejski luksus
Czesne nie dla każdego
- 24** Mieczniki czy mieczyki
(Bez)silna Marynarka Wojenna RP
- 28** Każdy może zostać dziennikarzem obywatelskim
Czy czeka nas medialna rewolucja?
- 51** Ile biega, ile fruwa
Zwierzęcy spis powszechny
- 56** Polskie sześcioraczki
- 58** Jak nie zwariować ze strachu
Być żoną sportowca ekstremalnego

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 31** Wyższe wynagrodzenia – silniejsza gospodarka

OPINIE

- 32** Jarosław Makowski
Zabawy z nacjonalizmem

ZAGRANICA

- 34** Czas zacząć zapobiegać
– rozmowa z dr. Mahmoudem Khalifą
- 38** Zburzyć mury
– rozmowa z Janiną Ochojską i Anną Alboth
- 40** Trzy kobiety miesięcznie
Zabójstwa w Austrii

KULTURA

- 46** Pańszczyzna ma się dobrze
– rozmowa z Radkiem Rakiem
- 50** Kulturalia
- 66** Tajemnicza nieostrość

ZDROWIE

- 54** Główny winowajca: chaos
– rozmowa z prof. Agnieszką Wierzbowską

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Kłamstwo nową prawdą
- 27** Jan Widacki
Mamy nowy kłopot
- 37** Roman Kurkiewicz
Polska: azyl nie, CIA tak
- 45** Tomasz Jastrun
Inteligentny idiotyzm
- 49** Agnieszka Wolny-Hamkało
Całe życie upokorzenie – mawiał Janusz Głowacki. Miał rację



MIECZNIKI CZY MIECZYKI

(Bez)silna Marynarka Wojenna RP

24
WOJSKO

51
ZWIERZĘTA

ILE BIEGA, ILE FRUWA

Zwierzęcy
spis powszechny



56
KRAJ

POLSKIE SZEŚCIORACZKI

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS(3),
WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS





POgrzeb na raty

Jeśli chodzi o mnie (aczkolwiek nigdy nie byłam wyborcą PO), Platforma straciła prawo do układania mi życia, gdy przed kolejną kadencją Donald Tusk kłamał, że nie ma planów podwyższania wieku emerytalnego, a po wygranej wraz z Bronisławem Komorowskim, Trybunałem Konstytucyjnym i postami koalicji zmienił zdanie. Pomijam to, czy reforma była słuszna, czy nie. Ważne, że ci ludzie obrzydliwie kłamali, żeby utrzymać władzę. Tym samym niczym się nie różnią od obecnej ekipy. Mam nadzieję, że ich działalność polityczna definitywnie odchodzi do lamusa.

Ewa Ch.

A więc wojna!

Nie mam wątpliwości, że do historii przejdą słowa, które 18 maja br. pisowski aparatczyk Przemysław Czarnek, produkt katolickiej edukacji z Lublina, wypowiedział o Unii Europejskiej – że jest „tworem niepraworządnym”.

Bo dla mnie – a wcale nie uważam, że przesadzam – to pi-sowskie wypowiedzenie wojny w nadbudowie. Nadbudowie, która obejmuje świat wartości, zasad moralnych i etycznych, praworządność z prawami człowieka i obywatela, a także szacunek dla wiedzy, dorobku nauki i faktów. Przypomnijmy również, że już w czerwcu ub.r. Czarnek błysnął, dehumanizując innych ludzi słowami: „Kończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy o jakiejs równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy tę dyskusję”.

Ta wyjątkowo odrażająca nawet jak na kaczystowskie standardy (a raczej ich brak) postać 18 maja 2021 r. ogłosiła wojnę

ze światem wolności i demokracji, którego ucieleśnieniem dla wielu z nas jest polskie członkostwo w Unii Europejskiej!

Janusz M. Kowalski

Największy wyścig współczesnego świata

W wypadku rosyjskiej szczepionki Sputnik w naszych mediach mamy albo pominięcie niektórych informacji, albo wyrażenie rozminięcia się z prawdą. Również w artykule „Największy wyścig współczesnego świata” (PRZEGŁĄD nr 21/2021) o szczepionkach pominięto informację o jej skuteczności i napisano, że została zarejestrowana w ponad 20 krajach, podczas gdy w rzeczywistości została zarejestrowana w ponad 60 krajach, a dokładnie w 66.



Roman Wyrzykowski

Od autora:

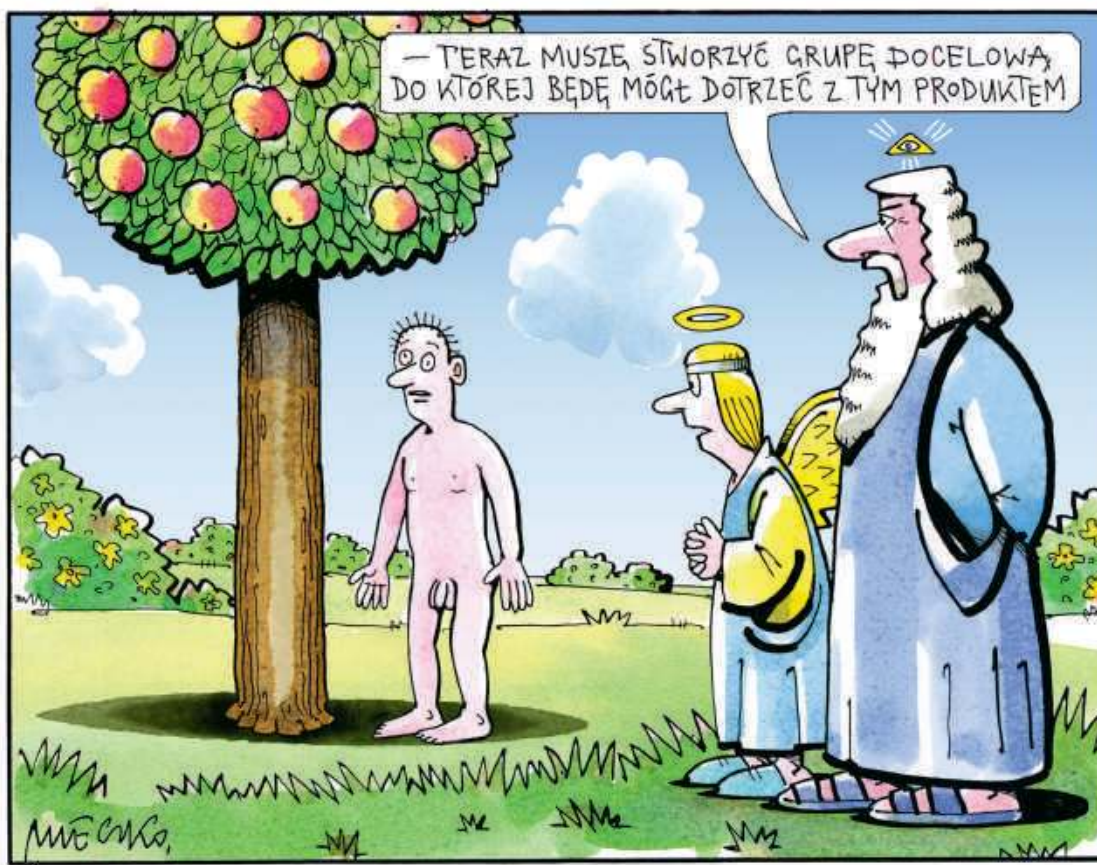
Według danych dostępnych w serwisie www.statista.com 25 maja zamówienie na szczepionkę Sputnik V złożyło ponad 50 krajów, była ona dostępna w 29 krajach, a dopuszczona do użytku w 68. Decyzje te mają zazwyczaj charakter warunkowy. W większości państw można ją stosować awaryjnie. W tym sensie rzeczywistość została ona zarejestrowana. Jeśli zaś proces ten rozumiemy tak, jak rozumie go Europejska Agencja Leków, to Sputnik V nie może pochwalić się równie imponującym wynikiem. Jeśli chodzi o skuteczność, to w tekście podano skuteczność szczepionek wyłącznie dopuszczonych do użytku w Polsce.

Marek Czarkowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Papież Franciszek ucałował numer obozowy wytatuowany na ręce Lidii Maksymowicz, ocalonej z Auschwitz. Watykan, 26 maja.



PYTANIE TYGODNIA

Jak skutecznie zatrzymać prywatyzację lasów publicznych?

PROF. KAZIMIERZ RYKOWSKI,

były pracownik Instytutu Badawczego Leśnictwa

Odpowiedź jest bardzo prosta, a jest nią wpisanie do konstytucji zakazu takiej prywatyzacji, a także – ponieważ nie może on być absolutny – wyznaczenie zamkniętego katalogu przypadków, w których las należący do społeczeństwa może zostać przekazany inwestorowi. Warto przypomnieć, że w 2014 r. taką propozycję zgłosił ówczesny premier, w odpowiedzi na zarzuty opozycji, że jego działania zmierzają do sprywatyzowania Lasów Państwowych. Wówczas mój instytut stworzył zespół złożony z ekspertów oraz przedstawicieli wszystkich klubów poselskich, który opracował propozycję stosownych zmian w art. 74 ustawy zasadniczej. Co ciekawe, PiS krytykowało naszą propozycję, a Jan Szyszko demonstracyjnie opuścił pierwsze spotkanie zespołu. Argumentowano, że zapisanie listy wyjątków w ustawie otworzy furtkę do tego, by partie mające większość parlamentarną uchwały prawo umożliwiające przekazywanie własności Lasów Państwowych w prywatne ręce. Dziś

„dobra zmiana” dąży do tego samego, co jest chichotem historii i przykładem politycznej obłudy.

SYLWIA SZCZUTKOWSKA,

biolożka i aktywistka ekologiczna, Pracownia na rzecz Wszystkich Istot

To przewrotne pytanie, ponieważ lasy publiczne w Polsce nigdy nie należały do społeczeństwa. Są one prywatnym folwarkiem przedsiębiorstwa o nazwie Lasy Państwowe; instytucja zarządzająca jedną czwartą powierzchni naszego kraju może na niej robić, co chce, ponieważ dokumenty regulujące prace w lesie nie podlegają zaskarżeniu do sądów, a gospodarka leśna została wyłączona z obowiązków wynikających z ochrony gatunkowej. Nielegalna, masowa wycinka Puszczy Białowieskiej w 2017 r. przyniosła przebudzenie. O lasy ważne dla przyrody i ludzi walczą dziś tysiące osób. Przed Trybunałem Sprawiedliwości UE toczy się sprawa przeciw Polsce, mająca na celu włączenie kontroli społecznej i wymogów ochrony przyrody do gospodarki leśnej. W takich warunkach niedawny zamach posłów PiS na ideę lasów publicznych, czyli próba

oddania ich w ręce wielkiego biznesu poprzez odpowiednią nowelizację ustawy o lasach, nie mógł się udać. W tej dyskusji za ochroną lasów publicznych ani razu nie opowiedziały się Lasy Państwowe. Lasów muszą i będą więc bronić społeczeństwo i organizacje pozarządowe.

DARIUSZ STANDERSKI,

ekonomista, prawnik, Nowa Lewica

Po pierwsze, nie można dopuścić do uchwalenia szkodliwej nowelizacji prawa, umożliwiającej prywatyzację lasów, której projekt obecnie znajduje się w Sejmie. Komisja na szczęście zarekomendowała jego odrzucenie, ale temat może powrócić podczas obrad plenarnych. Po drugie, należy ponownie wpisać do ustawy przepis: „Lasy stanowiące własność skarbu państwa podlegają szczególnej ochronie i nie podlegają przekształceniom własnościowym”. W 2015 r. Sejm przy poparciu Lewicy uchwalił taką zmianę, ale Andrzej Duda ją zawetował. Powstrzymanie prywatyzacji lasów powinno być jedną z pierwszych decyzji przyszłego rządu, wolnego od PiS i weta Andrzeja Dudy.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

4 czerwca 1989 r. Cóż to było? Im dalej od tamtego przełomu, tym wyraźniej widać, że wybory te były elementem większej całości, wielkiej geopolitycznej zmiany. Ale też uświadamiamy sobie, po jak cienkim lodzie wówczas stąpano.

Zaczął Gorbaczow

Czy ta zmiana byłaby możliwa bez Gorbaczowa? W tamtym momencie – nie. Józef Czyrek, wówczas członek Biura Politycznego, jeden z najbliższych współpracowników Wojciecha Jaruzelskiego, mówił mi o rozmowach z Michaiłem Gorbaczowem w Lizbonie i w Moskwie, jeszcze zanim zastąpił on Konstantina Czernienkę na stanowisku sekretarza generalnego KPZR. Gorbaczow był wtedy sekretarzem ds. międzynarodowych.

– Cieszę się, że staracie się przezwyciężyć swoje trudności – relacjonował słowa Gorbaczowa. – Nas to cieszy, dlatego że sami znajdujemy się w coraz trudniejszej sytuacji. Okazuje się, że rozwój ekonomiczno-społeczny, wzrost gospodarczy, który notowaliśmy bez przerwy od czasów zakończenia wojny, skończył się.

Gra była bardzo skomplikowana. Musieliśmy liczyć się z ZSRR, z sąsiadami, z Zachodem, z Kościołem, z własnymi kadrami, no i z opozycją.

Wkroczyliśmy w fazę stagnacji. A to oznacza, że państwu grozi głęboka zapaść. Nie możemy od tego dopuścić, musimy szukać dróg wyjścia. Bądźcie przygotowani, że nie wasze kłopoty będą dla nas najważniejsze, że będziemy musieli zająć się naszymi wewnętrznymi sprawami.

Gorbaczow dzielił się jeszcze jedną refleksją. – My przy tym poziomie rozwoju nie wytrzymamy narzuconego nam tempa zbrojeń. Będziemy przegrywać ten wyścig, układ sił będzie się zmieniał. Może to doprowadzić do dużych zaburzeń międzynarodowych. Dlatego zanim to nastąpi, będziemy musieli zlikwidować główne napięcia w sytuacji międzynarodowej.

– Wróciłem do Warszawy pod wielkim wrażeniem tego, co usłyszałem – mówił mi Czyrek. – Zdałem sobie

4 czerwca 1989: tajne porozumienie Kremla i Białego Domu

**Dla nas to była skomplikowana operacja.
Dla nich – romantyczna rewolucja**

sprawę, że czekają nas ogromne zmiany. Że Gorbaczow jest gotów iść bardzo daleko, demontować istniejący porządek, podział świata na dwa bloki. Że musimy być na to gotowi.

Przy pierwszej sposobności dokładnie zreferował tę rozmowę gen. Jaruzelskiemu. Ten słuchał z zainteresowaniem. – Zaproście go do Warszawy – polecił.

Zanim zaproszenie trafiło do Moskwy, zmarł Czernienko, a Gorbaczow został nowym sekretarzem generalnym. Myśl, że trzeba zdjąć z imperium nadmierne obciążenia, bo inaczej ono

Wojciech Jaruzelski mówił mi, jak wspomagał Michaiła Gorbaczowa radą w jego dyskusjach z radzieckimi marszałkami (było to już później, gdy się zaprzyjaźnili). Gorbaczow pytał go jako wojskowego o siłę arsenatów. – Odpowiadałem mu, że to wystarczy na kilka wojen. A wojskowym zawsze mało.

Po drugie, zamknięcie spraw, które generowały koszty, a nie przynosiły korzyści. Czyli wycofanie się z Afganistanu i z Europy Środkowej, wraz ze zgodą na zjednoczenie Niemiec. Ekipa Gorbaczowa traktowała te działania nie jako porażkę radzieckiej polityki, ale jako przystosowanie się do nowej rzeczywistości.

– Gorbaczow pogodził się z przegraną w zimnej wojnie, chciał ustawić swój kraj w nowych warunkach na możliwie korzystnych pozycjach – mówił Andrzej Werblan w książce „Polska Ludowa”. – Jego celem było znormalizowanie stosunków z Zachodem. Ale żeby tak się stało, musiał zrezygnować z rywalizacji dwóch bloków, czyli z Jałty. Co więcej, jak wynika z pamiętników Szewardnadzego, od 1987 r. w najbliższym otoczeniu Gorbaczowa rozważano opcję możliwie szybkiej zgody na zjednoczenie Niemiec. Po to, aby w tym świecie niepodzielnym na dwa rywalizujące bloki odzyskać możliwość manewru rosyjsko-niemieckiego w polityce światowej i europejskiej. To jest tradycja rosyjska. A żeby taką możliwość odzyskać, nie wystarczyło wyrazić zgody na zjednoczenie Niemiec. Trzeba było dać Niemcom gwarancję bezpieczeństwa, polegającą na tym, że między nimi a ZSRR

się zawali, że trzeba szukać jakichś nowych rozwiązań, również w sferze polityki międzynarodowej, była lejt-motywelem jego rządów.

Jak uratować imperium?

Gorbaczow był w kierownictwie ZSRR liderem grupy, która uważała, że imperium musi się odnowić wewnętrznie, a ze spraw zagranicznych zamknąć te, które są balastem. Nowe myślenie w polityce wewnętrznej to były hasła uspokojenia, pie-restrojki, głośności... A w polityce zagranicznej?

Po pierwsze, wycofanie się z wyścigu zbrojeń. Po co wydawać na kolejne rakiety, skoro już te, którymi Moskwa dysponuje, wystarczą do kilkukrotnego zniszczenia Ziemi?



Wojciech Jaruzelski wspierał Michaiła Gorbaczowa radą w jego dyskusjach z radzieckimi marszałkami.

znajdą się państwa, które nie są satelitami Związku Radzieckiego, ale i nie są satelitami Niemiec.

I dodawał: – Te państwa przestały przynosić Związkowi Radzieckiemu pożytek strategiczny. ZSRR, jako mocarstwo rakietowo-nuklearne, stał się nietykalny, cały ten obóz, wianuszek państw wokół, stał się zatem niepotrzebny. Co więcej – trzeba było tam trzymać wojsko i za nie płacić. Gospodarczo ten wianuszek wasali stał się kosztownym obciążeniem. Trzeba im było dostarczać po preferencyjnej cenie ropę, którą lepiej byłoby sprzedawać na Zachodzie. Same kłopoty!

To jest ten zwrot, o którym zadecydowano na Kremlu. Teraz trzeba było go przeprowadzić. A nie było to proste, przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy – Gorbaczow cały czas miał w kierownictwie ZSRR przeciwników, którzy nie chcieli takich zmian. Zresztą w miarę jak polityka Gorbaczowa ponosiła porażki, ich pozycja rosła. Co skończyło się puczem Janajewa.

Drugą przeszkodą był... Zachód. Ani François Mitterrand, ani Margaret Thatcher nie chcieli zjednoczonych Niemiec. Wojciech Jaruzelski wspominał spotkanie z Margaret Thatcher, już z czasów jego prezydentury. Brytyjska premier bardzo mocno go naciskała, by zjednoczeniu się sprzeciwił. Polska – argumentowała – ma ku temu historyczny mandat. Jednak ten

sprzeciw nie mógł być skuteczny. Bo zjednoczenia Niemiec chcieli i ZSRR, i Stany Zjednoczone.

Sojusz Moskwy i Waszyngtonu

Skąd się wziął ten nieoczekiwany sojusz? Opowiada o tym Józef Czyrek: – Myśmy o tym wszystkim w ogóle nie wiedzieli. O tym nowym sposobie myślenia, zbiegu interesów największych mocarstw. Naiwnie wierzyliśmy, że Amerykanie nie będą chcieli wzmocniać Niemiec zachodnich, dając im przyzwolenie

Józef Czyrek: Myśmy o zbiegu interesów największych mocarstw w ogóle nie wiedzieli.

na zjednoczenie. I tak samo naiwnie wierzyliśmy, że Związek Radziecki nie przesunie swojej 300-tysięcznej armii znad Łaby z powrotem za Bug. To był niemal dogmat. O tym, że jest inaczej, dowiedziałem się trochę przypadkowo. Otóż od czasu do czasu spotykałem się z ambasadorem Szwecji. To był ciekawy człowiek, socjaldemokrata, doświadczony w sprawach międzynarodowych. Rezydował w Warszawie, ale często jeździł do Kijowa, do Mińska, obserwował cały Wschód. Spotkaliśmy się na obiedzie, w pewnym momencie zaczęliśmy mówić

o zjednoczeniu Niemiec i ja wtedy powiedziałem, że jest ono nierealne. Bo ani Związek Radziecki tego nie chce, ani Amerykanie, bo przecież to by zmieniło układ sił. A on wtedy powiedział wprost: „Ma pan stary sposób myślenia i starą wiedzę”. I wyłożył mi sytuację. Otóż w tym czasie amerykańska gospodarka zaczęła mieć pewne trudności i ekonomiści wskazywali, że jej głównym konkurentem jest gospodarka zachodnioniemiecka. Biznes amerykański i ekonomiści zaczęli więc naciskać, by administracja zatrzymała jakoś niemiecką ekspansję. Wtedy zrodziła się koncepcja, że najlepiej będzie, by została ona skierowana do wewnątrz, na tereny zafowanej NRD. No ale żeby tego dokonać, trzeba było wpięrow porozumieć się ze Związkiem Radzieckim na temat zjednoczenia Niemiec...

– Kiedy Jaruzelski i jego współpracownicy zorientowali się, że toczy się taka gra?

– Nigdy! Główni partnerzy tych rozmów trzymali je w tajemnicy. A my nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. W ogóle jednym z wielkich obciążeń polskiej polityki był nasz polonocentryzm, myślenie w kategoriach polskiej parafii.

Ostrożność Jaruzelskiego

Co więc kierowało Jaruzelskim, że rozpoczął demontaż systemu? Znaki, że Moskwa luzuje.

– Kierownictwo miało swoje informacje. Przecież na naradzie I sekretarzy, tajnej, Gorbaczow oświadczył

wyrażnie i jednoznacznie: wybaczenie towarzysze, my doktryny Breżniewa nie uważamy już za wiążącą. Nie liccie na to, że będziemy was wyciągać z opresji. Każda partia odpowiada za swój kraj – wyjaśnia Czyrek.

Różnie w różnych krajach ten sygnał odebrano. W niektórych zdecydowano się na przeczekanie Gorbaczowa, który słabł w oczach. W Polsce – na wykorzystanie, jak wtedy się wydawało, okienka historii.

– W mniejszym gronie, kiedy przygotowaliśmy się do wysłuchania „Dziennika”, zapytałem Jaruzelskiego, ▶

► czego najbardziej się boi – opowiada Andrzej Gdula, wtedy sekretarz KC PZPR, kierownik Wydziału Społeczno-Prawnego KC, jeden z najbardziej zaufanych ludzi generała. – A on odpowiedział tak: „Kocham Rosjan, to są dobrzy ludzie. Ale mam zupełny brak zaufania do działań imperium i władz. Przerobiliśmy Węgry, przerobiliśmy Czechosłowację. A polskiej krwi już tyle przelaliśmy w historii, że nie powinniśmy jej więcej przelewać. Nigdy bym sobie tego nie darował. Dlatego – spokojnie”.

Tę ostrożność Jaruzelskiego często podkreśla Stanisław Ciosek. – Był jak kot. Zawsze tą łapą sprawdził, zanim się posunął – to częste jego porównanie. A generał chciał się posunąć...

Kiedy więc zaczęły się rozmowy z opozycją? Tę datę o tyle trudno ustalić, że wszystko przebiegało bardzo miękko, od spotkań niewiele znaczących po poufne rozmowy. Prowadzono je dwoma kanałami – Józef Czyrek rozmawiał z Andrzejem Stelmachowskim, swój kanał miał gen. Czesław Kiszczak. Były też zespoły analityczne, trójka Ciosek-Požoga-Urban oraz zespół w MSW kierowany przez płk. Wojciecha Garstkę. Tak przygotowywano Okrągły Stół. I wybory.

– Sytuacja dojrzała do decyzji w grudniu 1988 r. – wspomina Gdula. – Przyleciał Ciosek. Jest zgoda! Ruszamy! Zaczęły się u nas rozmowy. Pamiętam jedno ze spotkań u Jaruzelskiego. Czyrek, Ciosek, Kiszczak... I generał zaczął: „Nie ma co



Gorbaczow miał dziewięć spotkań z przywódcami amerykańskimi. Nz. z George'em Bushem 31 maja 1990 r.

Goćowskiego oraz księży Bronisława Dembowskiego i Alojzego Orszulika.

Potem, już podczas obrad, Orszulik wyróżniał się tym, że pilnie stenografował. – Zapytałem go pewnego razu, czy episkopat będzie to czytał – mówi Gdula. – Obruszył się: „Żaden episkopat, to jedzie do Rzymu!”.

Czego bała się opozycja?

Tak obie strony krok po kroku zbliżały się do siebie. Przy czym ani jedna, ani druga nie miała świadomości, w jakiej naprawdę grze uczestniczy.

Innymi słowy, Jaruzelski wiedział, że na rozmowy z opozycją, na Okrągły Stół, na czerwcowe wybory, może sobie pozwolić. Bo Gorbaczow to akceptuje. Ale nie wiedział, gdzie kończy się granica akceptacji Kremla. Ani jak mocna jest pozycja samego Gorbaczowa. Nie wiedział też, że ta zgoda to element większej gry Kremla, której głównym założeniem jest likwidacja bloków w Europie i zjednoczenie Niemiec. I, na końcu, współpraca niemiecko-rosyjska.

A opozycja wiedziała jeszcze mniej, brała to, co Jaruzelski jej dawał, o innych sprawach specjalnie nie myśląc. Dlatego tak bardzo zaskoczona była wynikami czerwcowych wyborów, upadkiem listy krajowej i tym, że zmienia to zupełnie układ sił. Że oto władza wpada jej w ręce, a na czele nowego rządu musi stanąć Tadeusz Mazowiecki, ten sam, który po wyborach, w lipcu 1989 r., pisał, że Solidarność do rządu jest nieprzygotowana i nie powinna władzy brać.

Wszyscy byli zaskoczeni rozwijającą się sytuacją. Wszyscy – w Warszawie. Bo w Moskwie i Waszyngtonie widziano to zupełnie inaczej.

W tej optyce wybory 4 czerwca miały być początkiem zmian w Europie Środkowej. Najszybciej zorientował się w tej grze Nicolae Ceaușescu, który podczas spotkania Doradczego Komitetu Politycznego Państw Stron Układu Warszawskiego domagał się

**Na tajnej naradzie I sekretarzy Gorbaczow oświadczył:
My doktryny Breżniewa nie uważamy już za wiążącą.
Nie liczcie na to, że będziemy was wyciągać z opresji.**

deliberować, jest dobry czas. Jest Gorbaczow, który dał nam wolną rękę. A my musimy znaleźć rozwiązanie, bo za nas nikt tego nie zrobi”.

Jednym z elementów tego rozwiązania, bezpieczników, które Jaruzelski montował, był udział w Okrągłym Stole Kościoła. Ambasadorem w Rzymie był Jerzy Kuberski, który skontaktował się z Janem Pawłem II. Poinformował, że będą rozmowy rząd-opozycja i że Kościół powinien w nich uczestniczyć. Papież wyznaczył bp. Tadeusza

– Owszem, ja dziś wiem, że oni to zrobili z powodu pierestrojki – mówił Karol Modzelewski w „Polsce Ludowej”. – I mieli zielone światło od Moskwy, o czym nasi nie za bardzo wiedzieli. Nie ma o czym mówić, gdyby nie było Gorbaczowa, Jaruzelski w życiu na coś takiego by się nie zdecydował. Ale wtedy uważaliśmy, że gra jest wewnętrzna, że jest kryzys, chcąc nas wciągnąć do współpracy i obarczyć za niego współodpowiedzialnością, zachowując sobie wszystkie dźwignie władzy.

interwencji w Polsce. By bronić socjalizmu. Być może wydał w ten sposób wyrok na siebie... Bo Gorbaczow był zdecydowany na inną drogę. A i nastroje społeczne w Polsce, a potem w innych państwach regionu, były już rozhuśtane.

Zmiana miała nastąpić, i to bez zbędnych napięć. Gdy więc w Polsce mieliśmy krótki kryzys związany ze sporem, kogo wybrać na prezydenta, przyjechał do Warszawy prezydent USA George Bush i osobiście namawiał Wojciecha Jaruzelskiego, by kandydował. Bo w roli prezydenta będzie najlepszym gwarantem zmiany. I w kraju, i w ZSRR.

Węgierski ślad

– Upieram się przy tym, że to dwa hegemoniczne mocarstwa odegrały w tej przemianie decydującą rolę, im też zależało na uniknięciu awantury, więc skutecznie to przeprowadziły – to słowa Andrzeja Werblana. – Wszędzie, nie tylko w Polsce. A w Polsce, gdy groziła awantura z powodu wyników I tury, skutecznie to uspokoił.

– Gorbaczow z Bushem? Ręka w rękę?

– Gorbaczow miał dziewięć spotkań z przywódcami amerykańskimi. Ich rezultatem był szereg pisanych porozumień dotyczących rozbrojenia. Natomiast musiały temu towarzyszyć niepisane porozumienia dotyczące wycofania się z Jałty. To oczywiste. Był to rodzaj nieformalnego traktatu pokojowego po przegranej przez ZSRR zimnej wojnie.

– Że Moskwa wycofuje się z Europy Środkowej?

– Wydaje się, że porozumienia te nie przewidywały kapitulacji kompletnej. Zakładano, że w strefie Jałty powstanie coś pośredniego i w drodze pokojowej. Wiele za tym przemawia. W dwóch tylko krajach przemiany miały swój wewnętrzny napęd – w Polsce i na Węgrzech. W pozostałych – nie. Ale wszędzie tam, gdzie nie miały, Związek Radziecki użył własnych wpływów, żeby je pobudzić. W NRD po prostu zorganizował antyhonneckerowski pucz. A przedtem zdestabilizował, w porozumieniu z Węgrami, sytuację wewnętrzną w NRD, umożliwiając emigrację poprzez Węgry. Nigdy nie chciało mi się wierzyć, że Węgrzy otworzyli dla NRD-owców swoje granice na

Zachód w czasie wakacji bez zgody Związku Radzieckiego czy też wbrew niemu. Ale dopiero w 2001 r. na konferencji w Miedzeszynie, zorganizowanej przez prof. Paczkowskiego, zostało to potwierdzone. Przyjechali z referatami Rosjanie i Węgrzy i okazało się, że oni to uzgodnili. Węgrzy w 1989 r. uzyskali na otwarcie granicy przyzwolenie Moskwy. A to znaczy, że Moskwa chciała zdestabilizować NRD. Dlaczego i po co? Sądzę, że szło o sprawy najwyższej wagi, że

Mit, że Polacy sami obalili komunizm, to nadęty polonocentryzm.

wzięto kurs na zjednoczenie Niemiec i musiano w tym celu usunąć w NRD twardy reżim i zastąpić go bardziej otwartym. Takie aksamitne przejście udało się wszędzie, z wyjątkiem Rumunii i Jugosławii. Czyli z wyjątkiem dwóch krajów, które były najbardziej niezależne. W Rumunii władza była niezależna od Związku Radzieckiego, a opozycji, która byłaby podatna na wpływy np. Stanów Zjednoczonych, w ogóle nie było. Ceausescu rozstrzelali oficerowie w odległej bazie lotniczej. Nie zlinczował go lud! Przypuszczam, że za tym krwawym przewrotem stała radziecka agentura. I sądzą, że działała z dwóch pobudek. Radzieccy mieli powody, żeby na Ceausescu się zemścić. Ale moim zdaniem nie to zdecydowało – musiał ich zaniepokoić charakter ludowej rebelii, która się tam rozpoczęła. I w tamtej sytuacji drastyczna rozprawa z dyktatorem była narzędziem uspokojenia nastrojów.

To my? Czy oni?

Dzień po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu Margaret Thatcher rozmawiała z Michaiłem Gorbaczowem w Londynie. Dokumenty z tego spotkania zostały opublikowane parę lat temu przez George Washington University. Thatcher mówiła: „Najbardziej interesujące rzeczy dzieją się w Polsce. Spotkałam się z Wojciechem Jaruzelskim. Jest znaczącym i uczciwym politykiem, który robi wszystko dla swojego kraju w tym bardzo trudnym momencie rozwoju. Spotkałam się z przywódcami Solidarności i wielokrotnie radziłam im, aby dążyli do dialogu z rządem i nie ograniczali się do konfrontacji”.

Po raz kolejny rozmawiała z Gorbaczowem niecałe dwa tygodnie po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, 23 września 1989 r. w Moskwie. Przyznawała wtedy: „Byłam pod wielkim wrażeniem odwagi i patriotyzmu gen. Jaruzelskiego w Polsce. Rozumiem pańskie stanowisko tak: opowiada się pan za tym, aby każdy kraj wybierał własną drogę rozwoju, tak długo jak nienaruszony pozostanie Układ Warszawski. Doskonale rozumiem to stanowisko”.

Dla wielkich tego świata najważniejsze zatem było, że zmiany w Europie Środkowej odbywały się w sposób kontrolowany, krok po kroku. I bardzo na tym wszystkim zależało.

• Ten mit, że Polacy sami obalili komunizm, zdecydowali o losach świata, nie trzyma się kupy – komentował Józef Czyrek. – To jest nadęty polonocentryzm. Opozycja miała w 1989 r. znaczną przewagę i jeden jedyny cel – obalić nas i objąć władzę. Myśmy mieli bardziej skomplikowaną grę – musieliśmy liczyć się ze Związkiem Radzieckim, z sąsiadami, z Zachodem, z Kościołem, z własnymi kadrami, no i z samą opozycją. Pilnować, żeby tu się nie chybało. Opozycja grała na ślepo. Trochę lepiej tę sprawę widział Geremek, bardziej wyważony był, wydaje się, Wałęsa – z chłopskim instynktem wyczuwał, co jest możliwe, co jest realne. A ci romantycy, łącznie z Kuroniem... Dla nas to była skomplikowana operacja. Dla nich – romantyczna rewolucja.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



W maju 2019 r. Rada Miasta Bogatynia podjęła uchwałę o rozszerzeniu o ponad 14 ha odkrywkowej eksploatacji górniczej kopalni Turów.



TO NIE JEST CZESKI FILM

W Turowie Praga pokazała Warszawie, jak należy dbać o swoje interesy

Marek Czarkowski

Czy to musiał być szok dla ministrów rządu premiera Morawieckiego? 21 maja br. wiceprezes Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej sędzia Rosario Silva de Lapuerta wydała postanowienie w sprawie o sygnaturze C-121/21 R, którym nasz kraj został zobowiązany do niezwłocznego zaprzestania wydobycia węgla brunatnego w kopalni Turów. W praktyce oznaczało to zamknięcie elektrowni wchodzącej w skład holdingu Polska Grupa Energetyczna.

Natychmiast posypały się oświadczenia, że wyrok nie zostanie wykonany, że „Trybunał ostatecznie się skompromitował”. I że pewnie jest to czesko-niemiecko-rosyjski spisek, który ma uzależnić nasz kraj od dostaw obcej energii elektrycznej i rosyjskiego gazu.

Skarga do TSUE i postanowienie Trybunału to punkt zwrotny w toczących się od kilku lat negocjacjach między Polską a Czechami w sprawie przyszłości Kopalni Węgla Brunatnego Turów.

Jak to się robi nad Wełtawą

O tym, że z kopalnią Turów będą problemy, Czesi wiedzieli od lat. Tamtejsze złoża są eksploatowane metodą odkrywkową od roku 1904. Mieszkańcy regionu od dawna obserwowali systematyczne obniżanie się poziomu wód gruntowych i degradację środowiska naturalnego. Władze dysponowały opiniami, z których wynikało, że negatywne zjawiska będą się nasilały. Wiedzianno, że Polska Grupa Energetyczna planuje zabiegi o przedłużenie koncesji na wydobycie węgla brunatnego do roku 2044.

Czesi rozegrali nasz rząd koncertowo. A w ostatnich dniach, na oczach całej Europy, poniżyli premiera Morawieckiego.

20 stycznia 2016 r. wojewoda liberecki Martin Půta oświadczył, że na skutek rozbudowy turowskiej odkrywki w przygranicznych miejscowościach Hrádek nad Nisou, Chrastava, Frýdlant i w okolicach zabraknie w przyszłości wody pitnej.

Koszt budowy instalacji, które zapewniłyby zaopatrzenie tych terenów w wodę, oszacował na 3 mld koron. Problem został szeroko nagłośniony przez media.

Czesi twierdzą dziś, że już wtedy zwrócili się do strony polskiej z prośbą o wyjaśnienia. Ta zaś, jak miał powiedzieć w lutym 2016 r. Richard Brabec, ówczesny minister środowiska w rządzie Bohuslava Sobotki, oświadczyła, że plany rozbudowy kopalni Turów nie zostały jeszcze zatwierdzone. Brabec miał też otrzymać obietnicę uzupełnienia informacji na ten temat i podjęcia wspólnych działań. 10 marca 2016 r. „w uznaniu znamienitych zasług w rozwijaniu polsko-czeskiej współpracy” minister został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim

z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Co jednak nie przyczyniło się do rozwiązania problemów z kopalnią. Dopiero w połowie grudnia 2016 r. premier Sobotka po rozmowach z premier Beatą Szydło doczekał się powołania

polsko-czeskiej grupy roboczej. Po czym znów – jak twierdzą Czesi – sprawy utknęły w martwym punkcie.

W marcu 2018 r. nowy rząd premiera Andreja Babiša zdecydował o przeznaczeniu 60 mln koron na inwestycje związane z gospodarką wodną na Pogórzu Frydlańskim. Miały je otrzymać tamtejsze spółki wodociągowe na budowę nowych instalacji. A Czesi zaczęli skrupulatnie gromadzić dokumentację, która wzmacniałaby ich stanowisko w spodziewanym sporze ze stroną polską.

Na początku lipca 2019 r. wspomniany już wojewoda liberecki Martin Půta odwiedził ambasadę polską w Pradze, by poinformować, że przyjęta pod koniec maja uchwała rady miejskiej Bogatyni zezwalająca na rozszerzenie o ponad 14 ha odkrywkowej eksploatacji górniczej kopalni Turów zapadła bez rozpatrzenia skarg, które składano zgodnie z procedurą transgranicznej oceny wpływu na środowisko naturalne.

Warszawa jednak wyraźnie ożywiła się dopiero we wrześniu 2019 r., gdy doszło do konsultacji z udziałem urzędników i ekspertów reprezentujących obie strony. Nie byliśmy skłonni do ustępstw. Czesi wiedzieli o staraniach PGE o przedłużenie koncesji i obawiali się, że Polacy będą przeciągali negocjacje, by stworzyć jak najwięcej faktów dokonanych.

W połowie listopada 2019 r. w tej samej sprawie interweniowało czeskie Ministerstwo Środowiska. Dysponowało opinią wydaną we współpracy z władzami województwa libereckiego oraz Czeską Służbą Geologiczną. Nasi sąsiedzi ostrzegali, że jeśli Polska zdecyduje się na rozszerzenie wydobywania, będą się domagali rekompensaty za ewentualne szkody oraz budowy tamy, która uniemożliwiałaby obniżanie się poziomu wód gruntowych.

Eurodeputowani poparli Czechów

21 stycznia 2020 r. Wojciech Rejman, regionalny dyrektor ochrony środowiska we Wrocławiu, na wniosek PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA wydał decyzję o uwarunkowaniach środowiskowych dla kontynuacji eksploatacji

złoża węgla brunatnego Turów. Czesi uznali, że otwiera to drogę do rozbudowy kopalni. Zapowiedzieli, że władze regionu libereckiego będą się odwoływały od tej decyzji i gotowe są wnieść sprawę do sądu. Strony polskiej to nie powstrzymało.

W tej sytuacji w czerwcu czescy prawnicy zaproponowali złożenie skargi do Komisji Europejskiej. 14 lipca członkowie Komisji Petycji Parlamentu Europejskiego zajęli się złożonym przez współpracującego z władzami województwa libereckiego prawnika Jiříego Vozáka dokumentem „w sprawie niebezpieczeństwa utraty wody pitnej w regionie Liberca w Republice Czeskiej z powodu rozbudowy kopalni węgla brunatnego w Turowie”. Eurodeputowani PiS, Anna Zalewska i Kosma Złotowski, krytycznie odnieśli się do zarzutów Vozáka i przedstawili drugą petycję, tym razem w obronie kopalni Turów, pod którą podpisało się 30 tys. obywateli Polski, Niemiec i Czech. Eurodeputowani poparli jednak Czechów i wezwali Komisję Europejską do podjęcia zdecydowanych działań przeciw Polsce. KE chciała dać stronom szansę na wypracowanie kompromisu i dopiero w grudniu 2020 r. miękko stwierdziła, że Polska nieprawidłowo oceniła wpływ kopalni na środowisko i w niewystarczającym stopniu poinformowała o swoich planach Czechów oraz Niemców.

Nieco wcześniej, w październiku 2020 r., o kopalni Turów rozmawiali ministrowie spraw zagranicznych Czech i Polski, Tomáš Petříček i Zbigniew Rau. W atmosferze wzajemnego zrozumienia dygnitarze wyrazili zainteresowanie dalszymi negocjacjami. A potem sprawa ruszyła z kopyta, ale niekoniecznie w dobrym dla nas kierunku.

12 lutego 2021 r. czeskie MSZ stwierdziło, że Praga domaga się od Polski budowy instalacji, która będzie chroniła tereny przygraniczne przed pyłem, i zrekompensowania strat wody. Chce też rozmawiać o budowie alternatywnych źródeł

zaopatrzenia w wodę oraz stworzyć fundusz, który finansowałby podobne mniejsze przedsięwzięcia. Równocześnie proponuje powołanie międzyrządowej komisji, która na bieżąco będzie oceniała wpływ kopalni Turów na środowisko.

17 lutego premierzy Morawiecki i Babiš spotkali się w Krakowie na jubileuszowym szczycie szefów rządów z okazji 30-lecia Grupy Wyszehradzkiej. Czy rozmawiali na temat Turowa, nie wiadomo. W każdym razie dziewięć dni później Czechy złożyły pozew przeciw Polsce do Trybunału Sprawiedliwości UE. Poprosiły o rozpatrzenie sprawy w pierwszej kolejności, biorąc pod uwagę wpływ kopalni na mieszkańców. Pozew zawierał także wezwanie do wstrzymania wydobywania węgla w Turowie do czasu podjęcia decyzji przez sąd unijny.

28 kwietnia minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka przedłużył termin obowiązywania obecnej koncesji na wydobywanie węgla brunatnego i kopalin towarzyszących ze złoża Turów do 2044 r., co Czechów jeszcze bardziej zdenerwowało.

Wreszcie 21 maja sędzia Rosario Silva de Lapuerta wydała wiadome postanowienie...



17 lutego premierzy Morawiecki i Babiš spotkali się na szczycie szefów rządów państw Grupy Wyszehradzkiej, a dziewięć dni później Czesi złożyli skargę do TSUE.

► Szwejkwie znad Wisły

Wgląd w działania strony polskiej daje stenogram z 30 marca br. ze wspólnego posiedzenia trzech sejmowych komisji: ds. Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych, Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa oraz Spraw Zagranicznych. Obraz, jaki wyłonił się z zapisu obrad owego gremium, nie napawa optymizmem.

Wywołany do odpowiedzi dyrektor Departamentu Polityki Europejskiej MSZ Henryk Litwin zapewnił, że resort włączył się w negocjacje ze stroną czeską w roku 2020. Wcześniej była to domena resortu klimatu i środowiska oraz Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, a konkretnie pionu, którym kierował minister Konrad Szymański. Litwin wspominał o wizytach w Pradze ministrów Czaputowicza, a następnie Raua, w trakcie których podejmowane były działania zmierzające do osiągnięcia

dyplomacji. Prezydent Duda odwołał panią ambasador na początku czerwca 2020 r. Czesi wiedzieli, jaki przez niemal rok był status Barbary Ć. Co więc mogła ona załatwić? I co mogli zrobić pracownicy naszej placówki w Pradze? Nie mieli głowy do jakiegokolwiek dziury w Turowie.

Litwin zaznaczył, że gdy MSZ dowiedziało się o skierowaniu przez Czechów sprawy do TSUE, minister Rau natychmiast poprosił swojego kolegę, ministra Tomáša Petříčka, aby ten zaangażował się w nią. Wtedy jednak „nastąpiło bardzo ostre pogorszenie się sytuacji epidemicznej w Czechach i na nasze kolejne pytania, kierowane już przez ambasadę, o możliwości kontynuowania tamtej sprawy nie otrzymywaliśmy odpowiedzi. I na tym dzisiaj stoimy”.

Nie powinno zatem dziwić, że Litwin wskazywał kolegów z resortu klimatu i środowiska jako lepiej zorientowanych w materii. I rzeczywiście, podsekretarz stanu, główny

zaś publicznie oświadczył, że sprawę załatwił – za jakieś 45 mln euro – i Praga wycofa sprawę z TSUE.

Premier obiecał też Czechom, że PGE do jesieni br. kosztem 17 mln zł wybuduje w pobliżu miejscowości Uhelná, po polskiej stronie, rodzaj umieszczonego pod ziemią ekranu zabezpieczającego o długości 1,1 tys. m i głębokości od 65 do 117 m, przez który woda nie będzie mogła się przecisnąć z Czech na teren kopalni. Ciekawe, że ta inwestycja miała być zrealizowana dopiero w 2023 r. Okazało się, że można szybciej.

Andrej Babiš najwyraźniej tego nie docenił, bo zrewanżował się oświadczeniem, że pozwu nie wycofa i na razie nie ma żadnego porozumienia. Po czym nastąpiła seria dziwacznych tłumaczeń ze strony polskiej, z których wynikało, że rozmowy się toczą albo będą toczyły itd.

Dlaczego do tego doszło? Bo nasi politycy nie rozumieją, że południowi sąsiedzi za nami nie przepadają. Mówią o nas *Polský obchodník* (polski handlarz). Kilka lat temu sieć T-Mobile przygotowała spot reklamowy, w którym przebrany za jodelkę, mówiący z silnym akcentem cwaniak wciska Czechowi zepsuty smartfon. Po interwencji naszej ambasady spot został zdjęty.

Także kilka lat temu czeski resort rolnictwa mocno nagłaśniał nieprawidłowości wykryte przez służby weterynaryjne i sanitarne w związku z importem polskiej żywności. Najślynniejsza była sprawa „dużych dawek antybiotyków stosowanych przy leczeniu syfilisu i chłamydii, wykrytych w mięsie importowanych z Polski kurczaków”. Były jeszcze sól drogowa w konserwach, pestycydy w owocach i warzywach oraz fenylbutazon w mięsie końskim.

Finał sprawy kopalni w Turowie był więc łatwy do przewidzenia. Teraz przyjdzie nam płacić. Wtedy Praga wycofa pozew. Jeśli nie zapłacimy – dopadną nas kary. Naszym bonzom z MSZ, KPRM, MKŚ i premierowi Morawieckiemu dedykuję mądrość dr. Štrosmajera z serialu „Szpital na peryferiach”: gdyby głupota umiała latać, unosiłoby się, panowie, jak gołębicą.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Południowi sąsiedzi wiedzieli, jaki przez niemal rok był status ambasador Barbary Ć. Co więc mogła ona załatwić?

porozumienia. Ale, jak zaznaczył, „raczej poprzez promowanie wiedzy o tym, co ze strony polskiej zostało wykonane, aby obawy strony czeskiej uśmierzyć”.

Innym działaniem ministra Zbigniewa Raua było przeprowadzenie w październiku 2020 r. „konferencji prasowo-informacyjnej na temat działań podejmowanych przez stronę polską w sprawie Turowa, o których czeska opinia publiczna w ogóle nie była poinformowana, jak na przykład budowa tak zwanej kurtyny zabezpieczającej, wielkiej, wielomilionowej inwestycji, którą strona polska rozpoczęła”.

Dyrektor Litwin miał trudne zadanie. Minister Rau nie należy do orłów. Co gorsza, w latach 2018-2020 sytuacja w naszej ambasadzie w Pradze była tragikomiczna. Ambasadorem RP w Czechach była Barbara Ć. Dziś tak należy o niej pisać, gdyż prokuratura postawiła jej zarzuty mobbingu i dyskryminacji pracowników. W lipcu 2019 r. zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa złożył Andrzej Papierz, ówczesny dyrektor generalny służby zagranicznej i jedna z najważniejszych figur w naszej

geologii kraju Piotr Dziadzio, ujawnił postom więcej szczegółów. Mówił o zaangażowaniu pracowników ministerstwa w „szczery, otwarty i bardzo intensywny” dialog z Czechami. Zapewniał, że chcieliśmy polubownego załatwienia tej kwestii. Natomiast druga strona – przekonywał – w korespondencji ciągle wysuwała roszczenia. I te roszczenia były coraz większe.

Wiceminister Dziadzio określił je mianem koncertu życzeń, dotyczących „finansowania różnego typu inwestycji, które kompletnie nie mają związku z potencjalną czy teoretyczną ucieczką wody ze strony czeskiej na stronę polską, łącznie z propozycjami budowy wodociągów”. „Już teraz to jest jakieś 10 mln euro, a docelowo ok. 60 mln euro – stwierdził. – Strona czeska nadal mówi, że nie ma problemu z wycofaniem skargi i rozmową na ten temat, ale oczekuje konkretnych działań finansowych”.

Jeśli to prawda, to Czesi rozegrali nasz rząd koncertowo. A w ostatnich dniach, na oczach całej Europy, ponizyli premiera Morawieckiego, który najpierw zmuszony był podjąć negocjacje z premierem Babišem, potem

Czy podnosić podatki tylko posiadaczom jachtów i pałaców?

Każdy myślący polityk powinien mówić,
że troszczy się o klasę średnią

Rozmawia Jakub Dymek

Czy Polski Ład to ład sprawiedliwy?

– Bardziej sprawiedliwy pod względem podatków i składek. Przynajmniej jeśli się zgadzamy, że ci, którzy są zdolni dorzucić się do wspólnego przedsięwzięcia w większym stopniu, rzeczywiście powinni to zrobić. I gdy przemawia do nas argument, że zamożniejsi mogą nie tylko wnieść do systemu większe kwoty, ale i składać się na wspólne usługi i funkcjonowanie państwa w większych proporcjach. Z wyliczeń zarówno instytutu CenEA, jak i Ministerstwa Finansów wynika, że na propozycjach podatkowych zawartych w Polskim Ładzie straci 10% najbogatszych, a zyska 90% pozostałych. Na tym etapie możemy więc powiedzieć, że takie propozycje mogą przywrócić w polskim systemie podatkowym odrobinę sprawiedliwości. Przynajmniej idą w tym kierunku. Bo poprzedni system – z perspektywy sprawiedliwości społecznej czy redystrybucji – sprawiedliwy raczej nie był.

A teraz wszystkie oczy są zwrócone na klasę średnią, którą oczywiście każdy rozumie, jak chce. Jedni kłócą się z drugimi, co jest sprawiedliwe i dobre dla klasy średniej.

– Każdy myślący polityk powinien mówić, że troszczy się o klasę średnią. Bo co ma innego do wyboru? Gdy powie, że troszczy się o najbogatszych, to nawet ci zarabiający po 10 tys. zł na rękę nie będą mu wdzięczni, bo oni mają siebie często za średniaków albo w ogóle uważają, że ledwo im na życie starcza. Gdy zaś powie, że robi coś dla biednych, również mało kto doceni, bo ludzie często nie wiedzą, że gdy mowa o biednych,



PROF. RYSZARD SZARFENBERG

– dr. hab., prof. UW w Katedrze Metodologii Badań nad Polityką na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Przewodniczący Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciw Ubóstwu. Badacz polityki społecznej oraz problematyki ubóstwa i wykluczenia. Autor wielu publikacji z zakresu polityki społecznej, usług społecznych, nierówności, ubóstwa, marginalizacji i wykluczenia społecznego oraz pomocy społecznej i spójności społecznej.

to właśnie o nich. Ogłoszenie programu dla najbiedniejszych jest chyba jeszcze trudniejsze, bo wtedy społeczeństwo wyobraża sobie, że musi chodzić już nie o nas, tylko o bezdomnych.

Czy zatem zmiany w podatkach i składkach, jakie proponuje aktualnie premier, rzeczywiście są korzystne dla klasy średniej?

– Na wyliczeniach i wykresach widzimy, że najwięcej potencjalnie zyskują ci w środku stawki, w czwartym i kilku kolejnych decylach dochodowych – choć trzeba pamiętać, że zarabiający płacę minimalną też są w tej grupie. Gdybym był rzecznikiem klasy średniej – od płacy minimalnej w górę, na szóstym decylu kończąc – tobym mówił, że plan jest świetny, doskonale skalibrowany, bo właśnie środek stawki zyskuje najwięcej. Gdybym był rzecznikiem ubogich, zapytałbym, dlaczego my, ubodzy, zyskujemy mniej niż średniacy. Może trzeba wprowadzić dodatkowe świadczenia rekompensujące nam zmniejszoną wartość ulg?

A trzeba?

– Świadczenie wychowawcze 500+ nie było waloryzowane od 2016 r. Podobnie zasiłki rodzinne i dodatki do nich. Zasiłki rodzinne powinny wzrosnąć co najmniej o 100%, aby zrekompensować uboższym rodzinom korzyści rodzin zamożniejszych z usunięcia kryterium dochodowego na jedyne lub pierwsze dziecko. Kryteria dochodowe z pomocy społecznej i zasady ustalania poziomu świadczeń są pożałowania godne i muszą się radykalnie zmienić. Kryteria powinny być co najmniej o 20% wyższe niż minimum egzystencji, a zasiłki okresowe wypłacane w pełnej wysokości, a nie – jak teraz – w połowie.

A gdyby był pan rzecznikiem najbogatszych, to co by pan mówił?

► – Wówczas miałbym szeroki arsenał argumentów, z których wiele właśnie słyszymy. Bogaci krytykują potencjalne podwyżki podatków z różnych perspektyw. „Jesteśmy najbardziej przedsiębiorczą częścią społeczeństwa, w największym stopniu dokładamy się do dobrobytu, dlatego mamy płacić jeszcze

do średniej. Bogaci ich zdaniem to może milionerzy, ludzie z jachtami i pałacami. „U nas bogatych nie ma”, myślą. Z tej pozycji można też kwestionować cały faktyczny rozkład zamożności w społeczeństwie i twierdzić, że 15 tys. na rękę to niewiele, gdy aspiruje się przynajmniej do 25 tys.

czy zwiększeniu progresji. Ta lewicowość PiS jest niespójna i niekoniecznie wymierzona w tych, którzy najbardziej powinni się dokładać do wspólnego przedsięwzięcia, jakim jest państwo. Ale nawet gdyby chcieć wprowadzić podatek majątkowy, mogłoby się okazać, że zyski z niego wcale nie przewyższają strat wynikających ze sprzeciwu społecznego i skomplikowania takiego rozwiązania. Nowa ekspertyza Instytutu Badań Strukturalnych pokazuje już, że w polskich realiach trudno by było skonstruować taki podatek, który przynosiłby znaczące wpływy i jednocześnie nie obciążał ludzi faktycznie niezamożnych, ale posiadających własne mieszkanie.

A czy w Polskim Ładzie chodzi tak naprawdę o to, żeby zwiększyć redystrybucję i progresję – czyli żeby było bardziej po równo – czy o postawienie budżetu na nowych i lepszych filarach?

– Logika każe myśleć, że nierówności dochodowe raczej się zmniejszą, bo to wynika z progresji podatkowej i tego wszystkiego,

Polski Ład może przywrócić w polskim systemie podatkowym odrobinę sprawiedliwości.

więcej w podatkach?”. Eksminister Rostowski powtarza, że teraz karani będą najbardziej pracowici i utalentowani... I tak dalej.

Ale te argumenty w debacie publicznej padają wcale nie w obronie najbogatszych, tylko właśnie klasy średniej. A pan mówi, że klasa średnia zyska. Skąd ta przepaść?

– Przypomnę, że zdaniem niektórych i za 15 tys. zł trudno wyżyć. To kwestia tego, jak i przez co patrzymy na polską klasę średnią. W debacie medialnej jest tendencja, by postrzegać ją przez porównanie z tym, jak żyje i ile zarabia klasa średnia w Niemczech czy we Francji. Gdy jednak spojrzeć na wyliczenia polskiego Ministerstwa Finansów, okazuje się, że ludzie, którzy w naszym kraju żyją na poziomie klasy średniej w Niemczech czy we Francji, znajdują się w górnym decylu, czyli 10% najzamożniejszych Polaków. I co oni robią, żeby zredukować ten dysonans poznawczy, że

A skoro przy miliarderach i jachtach jesteśmy – w Polskim Ładzie nie ma propozycji w rodzaju podatku majątkowego czy podatku cyfrowego, który osiągnąłby rzeczywiście najbogatszych i największych korporacji.

– Ktoś powie, że oni zawsze ominą podatki – zaczną rozliczać się inaczej, wyprowadzą zyski albo firmę do innego kraju, do rajów podatkowych. Ja zadaję sobie w kontekście najbogatszych inne pytanie. Mamy coś takiego jak da-

Zasiłki rodzinne powinny wzrosnąć co najmniej o 100%.

nina solidarnościowa, prawda? Wynosi ona 4% od dochodu powyżej 1 mln zł. Dlaczego nie podnieść jej do 6%? Wprowadziłoby to do dyskusji tych naprawdę bogatych. To byłoby posunięcie o tyle korzystne, że z zasilanego w ten sposób Funduszu Solidarnościowego finansowane są programy i usługi dla osób

o czym rozmawialiśmy wcześniej. Ja bym zwrócił jednak uwagę na inny ciekawy manewr. Wyższa składka zdrowotna nie będzie odliczana od podatku. Co rządowi udaje się dzięki temu osiągnąć? Większe środki będą trafiały wprost do NFZ, nawet jeśli budżet państwa – a tak wynika z szacunków – na początku straci z powodu wyższej kwoty wolnej. To zmyślna konstrukcja, bo można w ten sposób podwyższać nakłady na ochronę zdrowia i wywiązać się z obietnic w tym zakresie, a jednocześnie

sprawiedliwiej rozłożyć obciążenia podatkowo-składkowe na różne grupy w społeczeństwie.

Część obserwatorów o lewicowym nastawieniu przyjęła te wszystkie propozycje jednoznacznie pozytywnie. A mnie ciekawi, czy każda progresja jest lewicowa i im bardziej te podatki są wygórowane dla zamożniejszych, tym z punktu widzenia lewicy lepsze.

– Tak się utarło myśleć: lewicowcy chcą wyższej progresji, a ich przeciwnicy chcą podatków

Kryteria dochodowe z pomocy społecznej i zasady ustalania poziomu świadczeń są pożałowania godne i muszą się radykalnie zmienić.

zarabiają dużo, ale do Europejczyków z Zachodu im daleko? Mówią o sobie, że są klasą średnią, że średnio zarabiają – choć polskie statystyki rozkładu dochodów mówią co innego.

Zamożni uważają, że żyją gorzej, niż wynikałoby to z badań na temat faktycznych dochodów?

– Że osoby bogate uważają się za biedniejsze, niż są, to stwierdzony fakt. Gdy pytamy w badaniach, do jakiej klasy należą, to choć są bardzo zamożne, część odpowiada, że

z niepełnosprawnościami. Choć później doszły do tych wydatków 13. i 14. emerytura oraz 500+ dla niesamodzielných. To jest jednak rodzaj podatku celowego od bardzo bogatych ludzi na rzeczy, których konieczność mało kto kwestionował, zanim zaczęto z tego funduszu finansować dodatki do emerytur i rent.

A majątki?

– Co do podatku majątkowego, obawiam się, że mielibyśmy jeszcze większy problem i kontrowersje niż przy daninie solidarnościowej

liniowych. I teraz teoretycznie można sobie wyobrazić różne lewice, które chcą podatków skonstruowanych na różne sposoby. Pamiętamy też, jak duże zamieszanie powstało, gdy partia Razem wystąpiła z propozycją najwyższego progu podatkowego w wysokości 75%. Można więc się spierać, jaki poziom progresji i jak skonstruowanej jest mniej lub bardziej lewicowy.

wycinek. Czyli uwzględnić nie tylko resztę propozycji w Polskim Ładzie, ale także Krajowy Plan Odbudowy i kolejne ramy finansowe UE na lata 2021-2027. Nie uważam oczywiście, że te projekty zwiastują jakąś lewicową rewolucję i że najbliższe lata przewrócą nasz porządek instytucjonalny. Ale jeśli traktujemy unijne plany i priorytety poważnie, to wszystko, co dotyczy transformacji

więc po wygranej dzisiejszej opozycji. Na pewno znajdziemy już teraz przykłady środków wydawanych pod dyktando polityczne czy marnotrawionych, ale nie jest pod tym względem tak źle jak na Węgrzech, co może jest słabym pocieszeniem. Nie jestem oczywiście optymistą totalnym.

Ale nie jest pan również totalnym opozycjonistą?

– (śmiech) Wiemy, że ten rząd robi wiele złych rzeczy. Istnieje też ryzyko, że będziemy coraz mocniej konfliktować się z Komisją Europejską. Może więc być gorzej i wtedy mój optymizm okaże się bardzo naiwny. W Polsce trzeba być euroentuzjastą, a nie eurosceptykiem. Z perspektywy Skandynawii można narzekać, że Unia Europejska jest za mało socjaldemokratyczna i zbyt przechylona w stronę wspólnego rynku. W Szwecji może się wydawać, że część unijnych rozwiązań to rodzaj równania w dół. Ale w Polsce, gdzie daleko do standardów skandynawskich, jest dokładnie na odwrót.

Jakub Dymek

dymek.substack.com

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Dzięki temu, że wyższa składka zdrowotna nie będzie odliczana od podatku, do NFZ będą wprost trafiały większe środki.

Ale można też powiedzieć, że nie ten program czy rząd, który wprowadza najwyższe podatki, jest najbardziej lewicowy, ale ten, który osiąga dzięki nim najlepsze rezultaty.

– Rezultaty są uzależnione od wysokości planowanych wpływów i skuteczności w ich zbieraniu. U nas np. Ministerstwo Finansów uważa, że – uwaga! – budżet po podliczeniu zysków i strat dla różnych grup społecznych będzie szczuplejszy o 5 mld zł. Ale żeby ocenić, co naprawdę stanie się w Polsce, musimy spojrzeć na cały obraz, a nie na jego

energetycznej, zielonych inwestycji, rynku pracy – to są z polskiej perspektywy raczej postępowe, socjaldemokratyczne, lewicowe kroki.

Wierzy pan, że Komisja Europejska będzie pilnować priorytetów i zasad wydawania pieniędzy z Funduszu Odbudowy, aby nie stał się on – jak mówią dziś krytycy rządu – funduszem wyborczym Jarosława Kaczyńskiego?

– Tak, jestem dużo bardziej optymistycznie nastawiony do takiego podejścia. Szczególnie że część tych środków będziemy wydawać po roku 2023. Być może

Wystawa o 20-leciu międzywojennym w Polsce

...SŁAWĘ NAM ZNACZONO STWORZYĆ...

Muzeum Niepodległości w Warszawie
al. Solidarności 62 Warszawa

środa – niedziela
godz. 10.00–17.00

Współorganizatorzy: Wydział Kultury i Dziedzictwa Kulturowego w Warszawie, Muzeum Niepodległości w Warszawie, Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie













Beata Igielska

Umierał kilka razy, dosłownie. Miał ciężką wadę serca, wracał na R kardiologiczną co jakiś czas. Gdy już wydawało się, że tym razem się nie uda, złapał ją za rękę i prosił: „Niech pani zadzwoni do żony i powie, że ją kocham”. Nie musiała tego robić. Wrócił do domu. Następnym razem znów stan ciężki. – Jak on walczył o życie, jak nie chciał odchodzić... To było tyle lat temu... Bronił się, wydawał z siebie takie dźwięki... Gdy zobaczyłam wypłaszczone linie na monitorach, siadłam przy konsoli i zaczęłam ryczeć. Przy nim wciąż trwała gorączkowa krzątanina – opowiada Ewa Jarzyło, pielęgniarka kardiologiczna ze Szpitala Bródnowskiego w Warszawie, w zawodzie od 40 lat, 29 lat przepracowała na R, od 2010 r. – pielęgniarka oddziałowa. Do natychmiastowego leczenia ma kręgosłup i biodro (zwyrodnienia kręgosłupa powinny być chorobą zawodową pielęgniarek).

– Albo Piotruś i Paweł. Młodziutcy tacy, obaj po dwadzieścia parę lat, ja miałam wtedy synów w wieku licealnym, tym bardziej przeżywałam tragedię tych młodych – wspomina. – Leżeli u nas, czekając na przeszczep serca, obaj po ciężkiej grypie. Trudno było patrzeć, jak umierają na raty. Kardiochirurdzy z całej Polski zdzwonili się na konsultacje. Zbliżał się długi weekend. Tak bardzo wszyscy trzymaliśmy kciuki: może znajdzie się serce dla naszego Pawła, może dla Piotra... Nie znalazło się. Rodzice nam dziękowali za opiekę, mimo wszystko... To było takie wzruszające.

Ewa zawsze lubiła pomagać. Zresztą musiała to robić, miała chorego brata i pomagała mamie w jego pielęgnacji. Z przyjaciółką postanowiły, że idą do liceum medycznego. A co dziś pcha dziewczyny do tego zawodu? Tak jak przed laty: chęć pomagania, pewność pracy, ale też możliwość wyjazdu za granicę.

– Mimo że każdego roku tyle dziewczyn kończy studia, na oddziałach nie widać młodych. Mamy wakaty, lepimy grafiki. Jest sobota, a mnie ściska w brzuchu, bo muszę zrobić grafik na czerwiec. Na biurku rozrzucone papierzyska. Są zaległe urlopy. Jak nie dam dziewczynom



W czepku urodzone

Gdy pacjent całym ciężarem wiesza się na nich, jęczy kręgosłup. Gdy inny na nie krzyczy, serce płacze. Nazywane strzykawkami, pigułkami mimo wszystko kochają tę robotę

odpocząć, pójść na zwolnienie – martwi się Ewa.

Nie wie, czy uda się jej ulepić ten grafik. Ratuje się pielęgniarkami z Centrum Medycznego Riemer. Na kardiologii zachowawczej ma 15 zmianowych, szpitalnych pielęgniarek zatrudnionych na umowę o pracę, z czego cztery obecnie są na długim zwolnieniu lekarskim. Kilka pracuje w dwóch-trzech innych miejscach.

– To wyczerpująca fizycznie praca. Ciężko chorych trzeba umyć, zmienić pampersa, nakarmić przez sondę, odessać wydzielinę z drzewa oskrzelowego, wykonać zlecenia lekarskie, podać leki doustne, dożylnie, podłączyć wlewy kroplowe, przygotować chorych do zabiegów, przewieźć na zabieg, badanie. To wszystko wymaga czasu. A gdzie wzięcie za rękę, pogłaskanie, pocieszenie?

Pacjenci bywają roszczeniowi, krzyczą: „Nie przechodzi mi, nie

będę brał leków, nie pozwolę sobie pobrać krwi”. Wiele jest z alzheimerem. Rodziny też są roszczeniowe. Wyładowują się na pielęgniarkę. Zupełnie inaczej rozmawiają z lekarzem.

Na R kardiologicznej jest ciągła rotacja. Spokój – i nagle wszystkie ręce na pokład. Ratownicy łączą się z karetki, pytając, gdzie jest miejsce. I pacjent w stanie przedzawałowym jedzie prosto na salę hemodynamiczną, udrażnia mu się naczynia krwionośne, często nie dochodzi do zawału. Wychodzi o własnych siłach. I to jest piękne, jak bardzo medycyna poszła do przodu. Na oddziale niektórzy chorzy leżą długo, trafiają pod respirator. Gdy już nie roją, szuka się dla nich miejsca tylko do pielęgnacji albo kieruje do hospicjum.

Podczas wcześniejszych fal covidu było naprawdę ciężko. Na oddział trafiało wielu pacjentów dodatknych. Albo byli po teście bez dodatniego wyniku, a w trakcie hospitalizacji

Po trzech godzinach w stroju ochronnym w butach chłupie woda.

okazywało się, że jednak są pozytywni, bo np. na SOR mieli kontakt z zakażonym.

Ewa: – Trzeba było znaleźć miejsce, żeby chorych odizolować. Koleżanka biegła w nocy z lekarzem, ja non stop na łączu. Covid przeszedł ciężko, leżałam w szpitalu na Szaserów. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego do otwieranego z wielkim hukiem szpitala na Stadionie Narodowym mają trafiać praktycznie zdrowi ludzie. Nasi byli ciężko chorzy. Dopiero niedawno ich tam przekierowaliśmy. W początkach pandemii mieliśmy mniej ciężko chorych kardiologicznie. Bali się przyjeżdżać na SOR, bali się wirusa. Po ostatniej fali covidu pacjenci już są ciężko chorzy, leżą na korytarzu. Jest ich tak dużo, że trudno się poruszać, nie mówiąc o zrobieniu czegośkolwiek. Sytuacja przypomina tę na onkologii: odbicie rocznych zaniedbań w leczeniu i maksymalnie przepełniony SOR. Ostatnio ludzie leżą tam po trzy-cztery dni, taki tłok wszędzie. Trafiła się też chora na covid po szczepieniu. Popłoch. Sama nie mogłam się doczekać szczepionki, ale widzę, że ludzie mimo jej przyjęcia chorują. Po moich doświadczeniach nie chciałabym drugi raz przeżywać covidu. Przykre, że ci z personelu, którzy nie chorowali, niekoniecznie chcą się szczepić.

Na dyżurze na oddziale kardiologicznym są cztery pielęgniarki i opiekun medyczny na ok. 40 pacjentów. Mają do obsługi odcinki A i B. Oraz ten zwany z przekąsem A – przed pokojem profesora, bo w trudnej sytuacji decyzją lekarza dyżurnego z SOR kładzeni są tam chorzy na w pośpiechu ustawianych łózkach. Ci pacjenci także wymagają właściwej opieki. A z tym jest coraz większy problem. Ewa podpisuje umowę-zlecenie z „łatającą” pielęgniarką, pyta, ile dyżurów może wziąć. „Pięć-sześć”, pada odpowiedź. No to ręce opadają. Musi mieć trzy takie, żeby wypełnić jeden etat.

Jeśli ma pielęgniarkę wewnętrzną, etatową, wie, że nie jest po nocy, że miała obowiązkowe 11 godzin przerw. Jeżeli pielęgniarka przyjeżdża z miasta, nie ma pewności, ile godzin wcześniej pracowała. Czasem ze zmęczenia warknie na pacjenta, czasem nie słyszy jego prośby. Dla

etatowych pielęgniarek taka zmęczona koleżanka z miasta też nie jest dobra. Bo jest odpowiedzialność zbiorowa. Jeśli któraś ze zmęczenia popełni błąd, pójdzie na wszystkie. Gdyby jednak nie było tych dorabiających, musieliby zamknąć połowę oddziału. Zdarzają się tak dobre, że chciałoby się, żeby brały jak najwięcej dyżurów bądź zatrudniły się na stałe. Ale to niemożliwe, bo są związane z innym szpitalem.

Na kardiologię pacjenci często wracają. Wyjdą ze szpitala i nie biorą leków, bo nie mają pieniędzy na ich wykupienie. Albo po prostu pogarsza się ich stan. Nawet jeśli wiedzą, że w Szpitalu Bródnowskim będą leżeć na korytarzu, chcą z SOR trafić koniecznie na oddział kardiologiczny.

Gdy zobaczyłam wypłaskzone linie na monitorach, siadłam przy konsoli i zaczęłam ryczeć.

– To miłe, bo oddział jest przed remontem, wygląda żałośnie, gorzej niż inne. Jednak dla pacjentów nieważne są pomięte wykładziny, dziury w ścianach. To mnie mobilizuje, żeby zapewnić im opiekę na poziomie. Dlatego szybko żegnam się z pracownikami, które źle zwracają się do pacjenta. Braki kadrowe niesamowicie dają mi w kość. Wydzwaniam do naszych pielęgniarek i żebrzę, by wzięły następny dyżur. „Ewcia, dla ciebie i dziewczyn to robię”, mówią. Kolejnego weekendu nie spędzą z rodziną. Wszystkie nasze dziewczyny są w wieku 50+. Miałam jedną młodą, ale oczekuje dziecka. Urlop

Średnia wieku 50+

W polskich szpitalach i placówkach medycznych pracuje 233 tys. pielęgniarek i 28 tys. położnych. Wskaźnik liczby pielęgniarek na 1000 mieszkańców wynosi obecnie 5,2; średnia unijna to 9,4. Państwa kojarzone z lepszą jakością życia i usług publicznych, kraje skandynawskie czy Niemcy, zatrudniają więcej pielęgniarek niż lekarzy. Jeszcze dekadę temu średnia wieku pielęgniarek wynosiła 42 lata, obecnie to 53 lata i rośnie. Starsze pokolenie odchodzi na emeryturę i nie jest zastępowane przez młodszą kadrę.

będzie. Na R są dwie młode w ciąży. Ta jedna pięć lat starała się o dziecko. Teraz wszyscy się cieszymy, że w końcu jej się udało. Bo wiele z nas ma kłopot z zajściem w ciążę, organizm wariuje od pracy zmianowej. Po dyżurze człowiek nie może zasnąć. Pije się kawę i leci do pracy. A raz, pamiętam, zasnęłam po ciężkiej nocy w autobusie, obudziłam się na pętli. Ale... Kocham tę robotę, mam powołanie. I uważam to za piękne, jak pacjent dziękuje za uratowanie życia, spotkanie dwojga oczu... tego się nie zapomina. Jak dziękuje rodzina. Wdzięczność ludzka jest nie do przecenienia. Nie wiem, jak kolejne pokolenia do tego podejść.

Ewa czasami koło południa uświadamia sobie, że nie była od

rana w toalecie. Przed odprawą klepie statystykę covidową: respiratory, tlenoterapia. Zaparza kawę i ona stoi do godz. 12. Albo wrzuca do kubka torebkę herbaty i ta sobie leży kilka godzin. Woda wstawiona, zagotuje się, ale ktoś coś chce, Ewa zapomina o tej wodzie. Nigdy nie wychodzi z pracy o 14.30, siedzi przeważnie nad papierami do godz. 16-17. – Wiem, że tak trzeba, nie odbieram sobie potem tych godzin. Moje dziewczyny również nie zabierają torebki i nie pędzą do domu. Tu szkolenie, tam coś się dzieje...

Teraz czkawka odbija się ograniczenie przyjmowania na zabiegi planowe. Wiele z nich w Bródnowskim robili niemal w podziemiu, bo wiedzieli, że bez interwencji pacjent umrze. Kardiologia to nie endoproteza kolana, bez której pacjent przeżyje, tylko będzie miał gorszy komfort życia. Jak na czas nie wymieni się baterii w stymulatorze serca, pacjent umrze. Jak nie dokończy za powiedzmy dwa tygodnie kolejnego etapu zabiegu hemodynamicznego, też może umrzeć. Jeśli ktoś blokuje takie działania, zagraża życiu pacjentów.

Chaos na internie, cisza na onkologii

– Dla mnie na onkologii najtrudniejsze są okaleczenia twarzoczaszki, ▶

Podczas pandemii pielęgniarstwa można rozpoznać najwyżej po napisach na kombinezonach.

► młodzi ludzie bez oka, bez kończyn... Do tego nie można się przyzwyczaić. Gdy po raz pierwszy trafiłam na onkologię, przeraziła mnie pacjentka, która zdjęła perukę – opowiada Karolina, pielęgniarka onkologiczna, wcześniej przez 15 lat na internie. – W tej pracy żaden dzień nie jest taki sam, niczego nie można zaplanować. Stały jest tylko raport, informacja o każdym pacjencie, którą trzeba zostawić na koniec zmiany. Na odprawie mowa o pacjentach, potem jeszcze coś i jeszcze. Zamiast o godz. 7 wychodzimy o 7.30. Żyjemy życiem pacjentów, obciążają nas swoimi problemami. To nie jest tak, że wychodzisz, zamykasz drzwi i odcinasz się od pracy. Czasem nie przestaję myśleć o tym, co mi pacjent powiedział. W domu biorę prysznic i o godz. 23 przypomina mi się, że czegoś nie powiedziałam koleżance. Wyskakuję, dzwonię do niej. To samo na urlopie. Zazwyczaj jest krótki: latem dziesięć dni, najwyżej dwa tygodnie, żeby każda z nas miała szansę choć trochę wypocząć.

Piguły, strzykawki, siostry – tak pacjenci nazywają pielęgniarstwa. Młodszym koleżankom przeszkadzają te siostry. Wolą „proszę pani”. Czasem coś je brzydzi, muszą np. zmienić



bardzo jest zimny. Długa reanimacja nie pomogła, zmarł. Tego nie da się zapomnieć. Albo wielu młodych ludzi po przedawkowaniu i ich niedowierzający rodzice: „To niemożliwe, ktoś go namówił, nie mój syn!”. Bardzo dużo pijaków z zespołem odstawiennym. Widzieli myszki, robaczki, pajęczki, wyzywali. Trzeba było ich umyć, ogolić, odwyszawiać.

Na onkologii nie ma takich nagłych przypadków jak na internie. W covidzie pacjenci onkologiczni podupadli psychicznie, rodziny nie mogą ich odwiedzać, pojawiły się stany depresyjne. To nie pomaga w leczeniu. Młodzi mają telefony, tablety i to ich ratuje, są biblioteczki

endoskopową gastrostomię umożliwiającą podanie pokarmu do żołądka. Salowe, owszem, podają basen. Ale ich także jest za mało, więc pielęgniarki również podają. Tak samo karmią chorych posiłkami stałymi, bo nie chcą, żeby kompletnie wystygły. I bez tego są okropne. Kiedy przy szpitalach były kuchnie, jedzenie było zdecydowanie lepsze niż obecnie z cateringu. A rodziny nie mogą ot tak sobie przyjechać nagle z drugiego końca Polski, żeby podzielić choremu smakołyki. Dietetycy dbają więc o zapewnienie odpowiedniego jedzenia przemysłowego, tzw. nutridrinków.

Wybudzam się, serce wali

Karolina ma uszkodzony kręgosłup lędźwiowy. Gdy jadą z pacjentem na badanie RTG, z koleżanką muszą go przenieść, nawet jeśli to ważący 100 kg mężczyzna. Zanim zdąży choremu powiedzieć, jak może jej pomóc w dźwiganiu, odpowiednio układając ciało, on już wisi całym ciężarem na niej. Myją pacjentów we dwie i muszą sobie poradzić.

Karolina często wybudza się w nocy, serce jej kołacze. Gdy dzwoni telefon, odpowiada nazwą oddziału. Nie może zasnąć, a za chwilę ma następną nockę. A jeszcze rodzinę i dom trzeba ogarnąć. W ostatnią Wielkanoc była w pracy, to przykre.

Miała problemy z zajęciem w ciąży. Zabija ją pęd z pracy do pracy, bo mało płacą. Byłoby co zjeść, czymkolwiek popije... Jeśli w ogóle, bo zdarza się, że wypija tylko kawę na odprawie. Rzadko zamawiają z koleżankami

Gdy jadą z pacjentem na badanie RTG, z koleżanką muszą go przenieść, nawet jeśli to ważący 100 kg mężczyzna.

cuchnący opatrunek i przy tym ukryć swoje emocje, żeby pacjentowi nie zrobić przykrości. Dobrze, że teraz są maseczki. Pacjenci często krępują się lewatywy, cewnikowania. Gdy Karolina była młodsza, też się wstydziła tak samo jak pacjent.

Na internie było więcej nagłych przypadków, dużo ludzi starszych, leżących długo. W powietrzu unosił się specyficzny zapach moczu i środków dezynfekcyjnych. Przyjeżdżali pacjenci z wieńcówką, dusznością, cukrzycą do dalszej diagnozy. Najokropniejsze były noce. Nigdy nie było wiadomo, kto i w jakim stanie trafi. Raz w środku nocy przywieźli bezdomnego. Policjanci znaleźli go w śmietniku. Karolina przez rękawiczki czuła, jak

z literaturą najnowszą uzupełniane przez wolontariuszy. Starsi przestają jeść, pić, nie chcą brać leków. Nie pomagają psychodzy, psychiatrzy, ludzie potrzebują kontaktu z bliskimi. Ileż Karolina wchodzi na salę, wisi na telefonie, rozmawiają z rodziną, koleżanką.

Na oddziale jest 30 pacjentów. Każdą czynność Karolinie przerywa dzwonek. „Siostró, jeszcze nie dostałem leków”. „No, nie dostał pan, bo nie mam zlecenia od lekarza”. Karolina goni więc lekarza, żeby podpisał zlecenie. Sama nie może podać antybiotyku czy opioidu. Sanitariusze prowadzą chorych na badanie, a pielęgniarki karmią ich przez sondy, przez PEG, czyli przezskórną

pizzę. Raczej przynoszą z domu swoje jedzenie. Same zrzuciły się na kuchenkę mikrofalową. Wystarczy, że każda z nich zostanie przy jednej pracy i nie potrzeba strajku – system nie da rady.

Karolina: – Pacjenci walą do nas ze wszystkimi problemami; nie do salowej, kuchenkowej, tylko do nas: że jedzenie niedobre, kran cieknie, karaluch przeszedł po podłodze. Że boli, że krwawi, że nie ma wypróżnienia. Po inwazyjnych zabiegach trzeba zmieniać opatrunki. Mało nas, czas pędzi, chorym onkologicznym, po chemioterapii trudniej założyć wenflon, żyły pękają, są zrosty. Wiesz, ile jeszcze powinnaś zrobić, a jesteś w lesie. Roszczeniowość trzeba brać na spokojnie. Nie zawsze się udaje. Na przykład wprowadzam zlecenia, sprawdzam badania, a pacjent mi na to, że nic nie robię, że sobie gram na komputerze. Albo nocą włączę sobie cichutko telewizor i robię papiery. Bo toniemy w papierach, czasami zostajemy długo po dyżurze, żeby je wypełnić. W moim szpitalu jest papierowy obieg dokumentacji, w wielu innych elektroniczny. A pacjent: „Siostra telewizję ogląda, a nie przyjdzie do nas”. Idę, sprawdzam, czy wszystko w porządku, to są wściekli, że ich wybudzam. Jednemu przyłączam kroplówkę, drugi wściekły, bo nie może spać.

Czasem chory gdzieś wyjdzie i szuka się go po całym szpitalu. Teraz, w pandemii, trudniej opuścić szpital, bo przy wejściu stoi żołnierz. Ale wcześniej zdarzało się poszukiwanie, dzwonienie, policja. A pacjent pojechał sobie do domu, nie mówiąc ani słowa, bo mu się znudziło. Gdyby coś mu się stało, winne byłoby pielęgniarki, bo nie dopilnowały.

Najtrudniej psychicznie jest, gdy przychodzą pacjenci do leczenia paliatywnego. Tak niewiele życia im zostało – matkom małych dzieci, młodym mężczyznom, którym miesiąc wcześniej urodziło się dziecko...

Pielęgniarką Karolina chciała zostać, od kiedy pamięta. Nie zamieniłaby tej roboty na żadną inną. Czasem jest rozgoryczona, zła, przychodzi do pracy, pogada z koleżankami i złość odpływa.

– Przydałby się dwa razy w ciągu kariery urlop dla poratowania zdrowia, jak mają nauczyciele. Nie tylko fizycznego, ale też psychicznego.

Przecież ciągle jesteśmy z ludźmi, dopada nas wypalenie zawodowe. Po ciężkim dyżurze przydałby się rozmowy z psychologiem. Teraz w dodatku część koleżanek choruje na covid. Najczęściej na oddział trafiają pacjenci po wymazie. Czasami w trakcie leczenia okazuje się, że są dodatni, i wtedy musimy przebierać się w stroje ochronne. Bardzo wspieramy koleżankom z oddziałów covidowych. Już dawno zrezygnowały z malowania się. Po trzech godzinach w stroju ufoludka w butach chlupie

Zwyrodnienia kręgosłupa powinny być chorobą zawodową pielęgniarek.

woda. Te stroje, szczególnie na początku pandemii, trzeba było oszczędzać, więc pielęgniarki nie piły. Mdląły z odwodnienia.

Po dyżurze Karolina jest mokra i zmęczona, dobrze, że teraz w komunikacji miejskiej maseczki są obowiązkowe, bo nie widać, jak jest sponiewierana. Część koleżanek wyjechała za granicę. Okazuje się, że tam wiele rzeczy, które w Polsce wykonują pielęgniarki, robi lekarz. Szczerze? Nie chciałaby, żeby córka została pielęgniarką. Poza ciężką pracą fizyczną Karolina ciągle się kształca, kończy kursy, specjalizacje, non stop nowa wiedza.

Pielęgniarki nikt nie rozumie tak dobrze jak druga pielęgniarka. Na oddziale wspierają się. Ich poczucie humoru może się wydawać dziwne. Czasami chichoczą z czegoś, co dla kogoś z boku wcale nie byłoby zabawne. Taki humor sytuacyjny niewychodzący poza mury oddziału onkologicznego. Odszkodnia dla kobiet. Bo w tym zawodzie prawie nie ma mężczyzn i to nie jest dobre.

Karolina mimo zmęczenia promienieje. – Praca sprawia mi przyjemność. Jak pacjent wychodzi ze szpitala i mówi: „Dziękuję, do widzenia”, to jest naprawdę miłe. Czasem wraca po pół roku, po roku, wciąż pamiętam twarz, ale nie pamiętam nazwiska. My naprawdę niczego od pacjentów nie oczekujemy, żadnych dowodów wdzięczności. Wystarczy „dziękuję”. Mam nadzieję, że młodsze koleżanki będą miały lepiej, że coś się zmieni. Jednak zaczynam wątpić w poprawę, gdy tak jak ostatnio dostajemy maseczki, po których skóra jest podrażniona, na twarzy pojawia się wysypka. Rękawiczki zaś rozpadają się przy próbie założenia, takie zleżałe. Czy więc młodszy koleżankom będzie się pracowało lepiej?

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

Dawid, Dawca szpiku

Marlena, Dawczyni szpiku

JESTEŚMY ZGODNI!

- FAJNIE JEST ŻYĆ!

ZOSTAŃ
DAWCĄ SZPIKU
NA DKMS.PL

Anna Brzeska

W żłobkach i klubikach jest więcej miejsc niż uczęszczających do nich dzieci, biorąc pod uwagę ogólnopolski bilans – tak wynika z raportu GUS na koniec 2019 r. Ale realia nie są tak optymistyczne. Według raportu GUS za 2019 r. aż 78% placówek żłobkowych należało do sektora prywatnego. Jeśli chodzi o liczbę miejsc, sektor prywatny oferował ich 96,8 tys., a publiczny – 63,1 tys. To oznacza, że usługa, owszem, jest coraz bardziej dostępna, ale niezbyt tania, a za rzadko bezpłatna. Mimo iż gminy często oferują dofinansowania do czesnego (np. w ramach programu Maluch+), dla wielu rodzin opłacanie go wciąż może być problemem.

Wyraźne nierówności

Dane z GUS i raporty regionalne pokazują też ogromne dysproporcje między odsetkiem dzieci chodzących do żłobka w gminach wiejskich i miejskich. W 2019 r. żłobki i kluby dziecięce (oraz tzw. dzienni opiekunowie zatrudnieni przez samorządy) funkcjonowały w 1039 gminach, czyli w 42% wszystkich w Polsce, ale tylko w 25% gmin wiejskich. Ogółem opieką instytucjonalną (a więc żłobków wraz z klubikami i dziennymi opiekunami) objętych było 22,6% dzieci w wieku 1-2 lata (w 2015 r. tylko 12,4%). Niestety, statystyki GUS nie pokazują jeszcze roku 2020 ani rozróżnienia na wieś i miasto, dlatego skupię się na opiece żłobkowej, gdzie takie zróżnicowanie jest uwzględnione.

Odsetek dzieci w wieku 0-3 lata, chodzących do żłobków w 2019 r. w gminach miejskich i wiejskich

	gminy wiejskie	gminy miejskie	ogólnie
2019 r.	3,7%	18,4%	12,4%
2015 r.	1,1%	10,7%	6,8%

Jak to wygląda w poszczególnych województwach? Obok zaprezentowane są dane dla gmin miejskich (w % dzieci w grupie 0-3 lata). Prowadzi województwo opolskie.

Żłobki to wciąż wielkomiejski luksus

Gminy często oferują dofinansowania do czesnego, ale dla wielu rodzin opłaty nadal mogą być problemem

Dolnośląskie	24,9
Kujawsko-pomorskie	15,4
Lubelskie	18,0
Lubuskie	20,2
Łódzkie	17,8
Małopolskie	21,7
Mazowieckie	18,5
Opolskie	30,2
Podkarpackie	23,6
Podlaskie	18,0
Pomorskie	14,6
Śląskie	14,1
Świętokrzyskie	16,6
Warmińsko-Mazurskie	12,6
Wielkopolskie	18,3
Zachodniopomorskie	19,7

Na wsi nigdzie nie uzyskano wartości dwucyfrowych, choć ogólnie im dalej na zachód, tym lepiej.

Dolnośląskie	7,4
Kujawsko-pomorskie	2,9
Lubelskie	1,8
Lubuskie	4,1
Łódzkie	2,1
Małopolskie	3,1
Mazowieckie	4,0
Opolskie	2,4
Podkarpackie	3,1
Podlaskie	1,6
Pomorskie	4,7
Śląskie	3,7
Świętokrzyskie	2,5
Warmińsko-Mazurskie	2,5
Wielkopolskie	5,8
Zachodniopomorskie	4,2

Dlaczego wiejskie dzieci nie chodzą do żłobków? Z ankiety przeprowadzonej wśród rodziców w 2017 r.

w regionie łódzkim („Analiza dostępności opieki nad dziećmi do lat 3” wykonana przez Regionalne Obserwatorium Terytorialne Województwa Łódzkiego) wynika, że ze żłobków i klubików korzystało niemal 20% ankietowanych rodziców z miast, a tylko niecałe 3% ze wsi. Powodem był utrudniony dostęp, np. zbyt duży koszt opieki czy odległość do placówki, niekorzystny dojazd – albo brak placówki w pobliżu.

Miasta – ceny zwalają z nóg

W miastach dostęp do żłobków jest lepszy, ale to, ile będą musieli za nie zapłacić rodzice, zależy od zasobności samorządu.

W Warszawie, według deklaracji prezydenta Rafała Trzaskowskiego z lipca 2020 r., znajdują się bezpłatne miejsca dla dzieci wszystkich chętnych pracujących i płacących podatki w stolicy. Miasto osiągnęło ten sukces dzięki wykupieniu miejsc w żłobkach niepublicznych, które stały się tzw. żłobkami kontraktowymi. Rodzice muszą więc płacić tylko za wyżywienie (obecnie 15 zł dziennie). Rodzicom, którzy nie skorzystają z miejsc bezpłatnych, przysługuje prawo do warszawskiego bonu żłobkowego o wartości 400 zł na czesne w żłobkach spoza listy kontraktowych – o ile spełniają kryterium dochodowe w wysokości 3844 netto na osobę w rodzinie. W 2019 r. w Warszawie ponad 22% dzieci z grupy 0-3 lata było objętych opieką żłobkową.

Poznań dysponuje jedynie 15 publicznymi żłobkami. Miasto dotuje 79 placówek niepublicznych (600 zł na dziecko), zapewniając nieco ponad 2 tys. miejsc z tańszym czesnym. Dodatkowo dofinansuje taką samą kwotą 130 miejsc w żłobkach



niepublicznych, które znalazły się poza listą placówek dotowanych. Dzięki dofinansowaniom w wielu placówkach niepublicznych miesięczne czesne zwykle jest porównywalne z opłatą w żłobkach miejskich (od 2019 r. wynosi ona 520 zł, nie licząc wyżywienia). W pozostałych prywatnych żłobkach czesne reguluje już tylko wolny rynek – rodzice płacą 1000-1450 zł miesięcznie. Łącznie w żłobkach i klubikach w Poznaniu przebywało ok. 6,2 tys. dzieci w wieku poniżej 3 lat, co oznacza, że tańszych miejsc starczyło dla około jednej trzeciej. Do żłobków uczęszcza aż 23% dzieci w grupie wiekowej 0-3 lata.

Gdańsk dysponuje 13 miejskimi żłobkami – według informacji na stronie Gdańskiego Zespołu Żłobków na dzieci w roku szkolnym 2021/2022 będzie czekało 617 wolnych miejsc (na 1088 wszystkich). Miesięczna opłata wynosi 492 zł, nie licząc stawki żywieniowej. Rodzicom płacącym podatki w mieście, pracującym, niekorzystającym z urlopu wychowawczego i nieprzekraczającym progu dochodowego 2,5 tys. zł na osobę w rodzinie przyznawane są bony żłobkowe w kwocie do 500 zł, które mają pokryć różnicę między czesnym w prywatnej placówce a opłatą w publicznym żłobku. Miejsce w prywatnym żłobku to zwykle koszt 750-1200 zł. Do żłobków w 2019 r. chodziło niecałe 17% gdańskich maluchów.

Z kolei w Łodzi, mającej aż 32 żłobki samorządowe (na wrzesień 2021 r.

ma być w nich ok. 1,2 tys. wolnych miejsc na ok. 3 tys. wszystkich), miesięczna opłata wynosi 420 zł plus wyżywienie (4-5 zł). Na listach rezerwowych w marcu znajdowało się 166 dzieci (według portalu Nasze Miasto) – jednak trudno sądzić, by liczba ta odzwierciedlała zapotrzebowanie. Możliwe, że wielu rodziców, wiedząc, że nie mają szans na miejsce, nie bierze udziału w rekrutacji. Ale duża liczba żłobków miejskich powoduje, że ponad połowa dzieci, które chodzą do żłobka lub klubu, może liczyć na miejsce w publicznym żłobku. Minusem jest brak bonów żłobkowych dla rodziców, choć część prywatnych placówek została dofinansowana z pieniędzy unijnych oraz rządowych. W związku z tym osoby, które nie zafatowały się na miejską placówkę, muszą się liczyć z wydatkiem co najmniej 750 zł miesięcznie. W 2019 r. odsetek dzieci w żłobkach w grupie 0-3 lata wynosił 18,5%.

Kraków dysponuje 22 żłobkami samorządowymi. Opłata za miejsce wynosi 199 zł plus 150 zł za wyżywienie – z opłaty za opiekę zwolnione są rodziny z trójką dzieci lub więcej bądź rodzice dzieci z niepełnosprawnościami. Miasto oferuje ponadto bon żłobkowy w wysokości 400 zł (próg dochodowy to 3844 zł na członka rodziny). Jednak krakowskie żłobki są drogie – wiele placówek ma czesne ok. 1,5 tys. zł, a nawet 1,9 tys. zł. Mimo wszystko w 2019 r. opieką żłobkową zostało objętych aż 27% dzieci w wieku 0-3 lata.

We Wrocławiu jest 15 publicznych żłobków (16. zostanie otwarty w listopadzie). Stawka za opiekę to 2,52 zł za godzinę. Placówki niepubliczne dofinansowywane są kwotą niemal 700 zł na dziecko – wrocławianie osiągają więc aż 30% „żłobkownienia” maluchów (nie licząc klubików).

W Lublinie miejsce w samorządowym żłobku – jest ich dziewięć – kosztuje tylko 280 zł (wyżywienie 6,5 zł dziennie). Miasto oferuje również dotacje niepublicznym placówkom (400 zł na dziecko w żłobku, w przypadku klubów dziecięcych 200 zł). Efektem jest 23,5% dzieci w żłobkach.

W większości dużych miast można znaleźć żłobki bezpłatne lub bardzo tanie, prowadzone w ramach działalności fundacji czy korzystające ze środków w ramach aktywizacji zawodowej – to jednak pojedyncze placówki. Są też jednak w Polsce takie miasta jak Żyrardów, gdzie nie ma ani jednego publicznego żłobka. W mieście, według rejestru żłobków, jest pięć żłobków niepublicznych (w tym dwa dostosowane do potrzeb dzieci z niepełnosprawnościami) i jeden klub dziecięcy. W większości czesne wynosi 1,2-1,3 tys. zł, z czego w niektórych istnieje opcja dofinansowania przez miasto w wysokości 300 zł w ramach programu Maluch+. Mazowieckie mniejsze miasta osiągnęły zatem znacznie słabsze wyniki niż duże – w Żyrardowie do żłobków chodziło 12,5% maluchów, w Radomiu 10%, w Mławie niecałe 8%, w Warszawie 11%, w Grodzisku Mazowieckim 14%. Podobnie jest w innych województwach – mniejsze miasta mają wyniki „w połowie drogi” między wsiami a miastami wojewódzkimi.

Co na to rząd?

Ministerstwo zapowiada dalsze działania poprawiające dostępność usług. – Rodzice dzieci do lat trzech potrzebują opieki w żłobkach, dlatego jest program Maluch+, który pozwolił stworzyć 200 tys. nowych miejsc w placówkach. Budżet tego programu będzie zwiększany i wyniesie 1,5 mld zł. Pieniądze będą pochodzić z dwóch źródeł: z budżetu państwa oraz ze środków europejskich – mówiła w połowie maja szefowa resortu rodziny i polityki społecznej Marlena Małag.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Mieczniki czy mieczyki?

(Bez)silna Marynarka Wojenna RP

Marcin Ogdowski

Patrząc na to, czym marynarka dysponuje na lądzie, łatwo wybuchnąć entuzjazmem. Morska Jednostka Rakietowa (MJR), w skład której wchodzi dwa dywizjony bojowe, ma poważną siłę rażenia i duży potencjał odstraszania. Pojedyncza rakietka jest w stanie wyeliminować z walki każdy rosyjski okręt, a salwa całej MJR – teoretycznie – mogłaby posłać na dno istotną część Floty Bałtyckiej Rosji. Co prawda, na nadbrzeżnych lotniskach nie stacjonują już typowo bojowe maszyny, ale to można od biedy uznać za skutek zmiany strategii użycia Marynarki Wojennej RP. Przejścia od zadań ofensywnych do defensywnych i skupienia się na zapewnieniu bezpieczeństwa żeglugi na należącym do państwa akwenie. Do tego potrzeba samolotów nie myśliwskich czy wielozadaniowych, ale rozpoznawczych i poszukiwawczych. Zamiast odrzutowców wystarczą wolniejsze maszyny turbośmigłowe i helikoptery, przeznaczone do tropienia okrętów podwodnych i prowadzenia akcji ratowniczych.

Dla niezorientowanych źródłem optymizmu będzie też widok tego, co jest budowane bądź właśnie wyszło ze stoczni. Do zaledwie czteroletniego „Kormorana” – doskonałego niszczyciela min – za kilka (naście) miesięcy dołączą bliźniacze jednostki „Albatros” i „Mewa”, już zwodowane, aktualnie doposażane. 24 maja br. ze stoczni, która zbudowała niszczyciele, Remontowej Shipbuilding SA, wypłynął w rejs dostawczy „Przemko” – szósty i ostatni z holowników zamówionych przez Inspektorat Uzbrojenia w 2017 r. Od półtora roku pod naszą banderą pływa także ORP „Ślązak”, duża jednostka o rasowej sylwetce. Co więcej, kilka tygodni temu resort obrony zapowiedział reanimację programu „Miecznik”, w ramach którego marynarze dostaną trzy nowe fregaty. Z dostępnych informacji wynika, że wiążące decyzje zostaną podjęte jeszcze w czerwcu br., a okręty trafią do służby na początku lat 30.

Za rok do kasacji

Jednak dobry humor znika, gdy uświadomimy sobie, że MJR jest *de facto* bezbronna wobec samolotów i rakiet, a fakt, że mówimy o pięcie achillesowej całych sił zbrojnych, nie stanowi tu żadnego pocieszenia. Jeszcze gorzej się robi, gdy przyjrzymy się cechom nowo pozyskanych jednostek, a reszcie zerkniemy w metrykę, oceniając realne możliwości bojowe. „Ślązak” to okręt symbol – polskiej niekompetencji i jakoścambędzizmu. Budowany 18 (!) lat – na bazie nowatorskiego projektu kupionego od Niemców – miał być pierwszą z siedmiu korwet rakietowych, a skończył jako samotne i niemal bezbronne dziwadło. Jedyne jego rakiety to te wyrzeliwane z ręcznych wyrzutni Grom. Na inne zabrakło pieniędzy, choć i tak mówimy o studni bez dna, która pochłonęła prawie 1,5 mld zł. Czegoś takiego nie dało się nazwać zgodnie z pierwotnym zamierzeniem, stąd określenie „korweta patrolowa”, niemające odpowiednika w międzynarodowej terminologii. Ostatnio mówi

się o dozbrojeniu jednostki – metodą „gospodarczą”, w sprzęt z planowanych do wycofania małych okrętów rakietowych. Lecz i z tym może być kłopot, bo „Ślązak”, na skutek zmian koncepcji w trakcie budowy, został przeprojektowany, a część sekcji zalano betonem, by utrzymać odpowiednią wyporność pozbawionego oręża kadłuba.

Mimo działań na pokładzie równie bezbronne pozostają niszczyciele min. To nowoczesne okręty, bodaj najlepsze w swojej klasie w całym NATO, ale przewidziane do zadań pomocniczych. Nie podejmą walki z innymi jednostkami, nie przydadzą się w szachowaniu nieprzyjacielskiego lotnictwa, będą za to zdane na jego łaskę. Nie inaczej ma się sprawa z holownikami – to już okręty wybitnie techniczne, mikrusy, w dodatku całkiem nieuzbrojone. A co z resztą floty?

– Wedle założeń z 2012 r. pozostające w służbie okręty bojowe co do jednego powinny zostać wycofane z końcem przyszłego roku – przypomina dr Michał Piekarski, specjalista z zakresu wojen morskich z Instytutu Spraw Międzynarodowych Uniwersytetu Wrocławskiego. Mowa o jednostkach mających po 30 i więcej lat. Choć remontowano je na bieżąco, nie przeszły znaczących modernizacji. – Dziś bardziej nadają się do muzeum niż do walki – mój rozmówca nie pozostawia złudzeń. – Zaczniemy od tych największych, fregat typu Perry, pozyskanych od Amerykanów na początku wieku. Oba zbudowane w latach 70. XX w. okręty nie dysponują już uzbrojeniem przeciwlotniczym i przeciwokrętowym. Rakiety zużyto lub wycofano, dostępne na rynku nowe są... zbyt nowoczesne. ORP „Kościuszko” i ORP „Pułaski” mogą obecnie zwalczać okręty podwodne, w neutralizacji pozostałych zagrożeń ich dowódcy muszą liczyć na wsparcie sojuszników.

Warto w tym miejscu dodać, że Polska miała szansę kupna dwóch jednostek tego typu, gruntownie zmodernizowanych, których przed dwoma laty pozbywała się australijska

Dwa słowa, którym bliżej jest do Szatana niż do Boga – Ordo Iuris.

Więcej słów o tej ultraskiej organizacji w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



„Ślązak” to okręt symbol – polskiej niekompetencji. Budowany 18 lat, skończył jako samotne i niemal bezbronne dziwadło.



marynarka. Wewnątrzpisowskie porachunki sprawiły, że transakcję rzutem na taśmę zablokował Mateusz Morawiecki, choć Andrzej Duda leciał już w tej sprawie do Australii. Fregaty z pocałowaniem ręki wzięło Chile.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w dywizjonie okrętów podwodnych. – Po wycofaniu 50-letnich kobbenów został nam tylko „Orzeł”, poradziecka jednostka z teoretycznie sporym potencjałem modernizacyjnym – kontynuuje dr Piekarski. – Ów potencjał nie ma jednak znaczenia w obliczu uwarunkowań geopolitycznych, co skutkuje tym, że okręt nadaje się wyłącznie do podtrzymywania

pomostowy – nabycie używanych jednostek w Szwecji – ale ostatecznie i ten temat umarł (gwoździł do historycznej kołomyży winy Szwedów, którzy zrezygnowali z pomysłu sprzedaży „używek”).

– Korweta do zwalczania okrętów podwodnych ORP „Kaszub” przez 36 lat nie doczekała się modernizacji – wymienia dalej dr Piekarski. – Małe okręty rakietowe, choć solidnie uzbrojone w broń przeciwokrętową, kompletnie nie poradzą sobie z atakami z powietrza. Ich operacyjne wyjście w morze bez osłony przeciwlotniczej – którą dziś mogą nam zapewnić jedynie sojusznicy – byłoby samobójstwem. Reszta floty to jednostki

jednostek obrony wybrzeża. Ich rolę miałby działać skuteczniej niż ciężkie, łatwe do lokalizacji, a przez to bardziej narażone na zniszczenie fregaty czy korwety. Zwolennicy tych teorii często powoływali się na przykład floty II RP, której dowództwo w przededniu wojny odesłało najsilniejsze okręty (trzy niszczyciele) do Wielkiej Brytanii. Te zaś, które zostały, nie odegrały większej roli w kampanii wrześniowej, szybko bowiem poszły na dno.

– Inne czasy, inne uwarunkowania techniczne – przekonuje Michał Piekarski. – Współczesne fregaty to skomplikowane platformy, zdolne do obrony nie tylko samych siebie, ale także innych jednostek, całych zespołów okrętów. Obrony wielozakresowej, przed zagrożeniami z powietrza, z wody i spod wody. Wyposażone w odpowiednie sensory kontrolują sytuację w promieniu setek kilometrów. Realnie więc służą też do zapewnienia bezpieczeństwa na brzegu i w głębi lądu, co w Polsce z jej dziurawym parasolem ochronnym jest argumentem nie do przecenienia. Żaden mały kuter nie jest w stanie odgrywać takiej roli. Ich flotyllę zdziesiątkowano by, okręt po okręcie, bez wielkich strat i angażowania znacznych sił. Tymczasem skuteczne próby obezwładnienia pojedynczej fregaty wymagałyby jednoczesnego użycia kilkudziesięciu samolotów. Świadomość, że większość została by utracona, to mocny argument na rzecz niewszczywania wojny.

Nie tylko budowa potencjału odstraszania przemawia za koniecznością niezwłocznego wdrożenia programu „Miecznik”. Sojusz Północnoatlantycki opiera się na zasadzie kolektywnej obrony, tymczasem polski wkład na Bałtyku

Morska Jednostka Rakietowa jest de facto bezbronna wobec samolotów i rakiet.

podstawowych nawyków u załogi. Sądząc po treści ogłaszanych przetargów, które z braku dostawców sprzętu i usług remontowych kończą się niepowodzeniem, sprawność „Orła” jest mocno ograniczona, a jego arsenał bezużyteczny. Dość powiedzieć, że okręt ma niesprawne wyrzutnie torpedowe. Więcej o stanie technicznym „Orła” mówi list otwarty jego załogi – patrz ramka.

Co gorsza, z MON nie płyną już sygnały o ewentualnych następach. Program „Orka”, zgodnie z którym marynarka miała dostać trzy nowoczesne okręty, zatonął jeszcze w czasach Antoniego Macierewicza. Po gorszących i kompromitujących urzędowych zapewnieniach poprzednika – który kilkanaście razy twierdził, że „papiery na orki” lada moment zostaną podpisane – Mariusz Błaszczak nabrął wody w usta. Kilka miesięcy temu przyznał, że resort rozważa program

wsparcia. Ważne w wielu rodzajach misji, ale w operacji obronnej odgrywające role drugo- i trzecioplanowe.

Bałtyk to nie sadzawka

Flota przez lata nie miała dobrej prasy. Uważano ją za najmniej istotny rodzaj sił zbrojnych, co było stanowiskiem podzielanym zarówno przez wojskowe, jak i polityczne elity III RP. W efekcie doszło do znacznego uszczuplenia i technicznej degeneracji morskiego komponentu marynarki wojennej. Pokutowało przekonanie, że Bałtyk to sadzawka, gdzie nie ma miejsca na duże okręty, a Polska „nie jest krajem z zamorskimi interesami i ambicjami”, których istnienie uzasadniałoby posiadanie silnej floty. Na tym gruncie rodziły się koncepcje przeskoku generacyjnego – rezygnacji z klasycznych okrętów na rzecz małych, często autonomicznych

▶ jest minimalny i nieadekwatny do posiadanych zasobów.

– Powinniście mieć trzy-cztery fregaty – stwierdził dwa lata temu adm. Clive Johnstone, dowódca sił morskich Sojuszu. Dziś wpływowi dowódcy NATO nie bawią się już w dyplomatyczne ceregiele. Tajemnicą poliszynela jest, że nagły powrót do zapomnianego programu to rezultat sojuszniczej presji na Warszawę. Niestety, ewentualna realizacja „Miecznika” odsunęłaby w czasie „Orkę” – na oba projekty naraz nie wystarczy pieniędzy.

– Szkoda – wzdycha dr Piekarski. – W czasach Siemoniaka i Macierewicza dyskusja o orkach została skażona niepotrzebnymi rozważaniami na temat ich wyposażenia w pociski manewrujące. Broń koszmarnie drogą i zbyt „kosmiczną”. Jednostki podwodne są nam potrzebne do zwalczania innych okrętów, do działań rozpoznawczych i wspierających operacje wojsk

specjalnych. Bałtyk nie jest kałużą, głębokość i rzeźba dna nie wykluczają skrytych podejść, np. w celu wysadzenia czy podjęcia grup dywersyjnych. Zwróćmy przy tym uwagę, że to samo może robić przeciwnik. Ryzyko otwartego konfliktu z Rosją jest minimalne, ale wojna hybrydowa, prowadzona pod „obcą flagą”, dajmy na to organizacji terrorystycznej, to całkiem realny scenariusz. Jedna „bezańska” mina, jeden zatopiony przez nią statek – i już pojawiają się u armatorów wątpliwości, czy do Polski warto pływać. Czy jej marynarka wojenna jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo żeglugi.

Bo bronić – wbrew narracji o nieistotnej sadzawce – jest i będzie czego. Szlaki morskie do poradzieckich krajów nadbałtyckich to natowskie obligo, podobnie jak bezpieczeństwo budowanego właśnie rurociągu Baltic Pipe, którym do naszej części Europy popłynie norweski gaz. Ale mamy też gazoport, chcemy mieć ruchomą

bazę przeładunkową i morskie farmy wiatraków. Nade wszystko zaś już teraz w naszych portach przeładowywanych jest 100 mln ton ładunków rocznie, co zapewnia państwu 10% wpływów budżetowych.

Pytanie, czy Polska sprosta budowie niezbędnych okrętów. Podwodnych konstruować nie potrafimy – to pewne. A fregaty? – W układzie kadłub w Polsce, reszta za granicą, jak najbardziej – ocenia Michał Piekarski. – Finansowo również powinniśmy podołać. Teraz potrzeba tylko politycznej woli.

Wkrótce się przekonamy, czy taka istnieje. Czy stoi za nią chęć odbudowy morskiego potencjału obronnego, czy chodzi jedynie o wywołanie przekonania, że władza troszczy się o bezpieczeństwo państwa i zobowiązania międzynarodowe. Czy pragnie mieczników, czy mieczyków... propagandy.

Marcin Ogdowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

List otwarty załóg okrętów podwodnych

My, marynarze i zarazem załoga ostatniego polskiego okrętu podwodnego ORP „Orzeł” (...) chcemy uświadomić społeczeństwu, któremu służymy każdego dnia, w jak dramatycznej sytuacji się znajdujemy. Przesyłamy ten apel bez wiedzy naszego dowódcy oraz naszych zwierzchników, gdyż to ich działania połączone z absolutną nieudolnością obecnej ekipy rządzącej doprowadziły do sytuacji, w której nasze życie jest zagrożone. Okręt podwodny ORP „Orzeł” znajduje się w opłakanym stanie technicznym i każdy rejs, licząc tak naprawdę od dzisiaj, może zakończyć się jego zatonięciem, a co za tym idzie – naszą śmiercią.

(...) W czasie ostatnich majowych manewrów wystąpiły problemy ze zbiornikami balastowymi, a co za tym idzie – również z wynurzeniem. Tym razem wszystko zakończyło się dobrze i dzięki poświęceniu załogi udało nam się powrócić na powierzchnię. Niemniej jednak następnym razem możemy już nie mieć tyle szczęścia. Problemy występują z zespołem napędowym, z sonarem, z zespołem nawigacyjnym. Nie udało się doprowadzić do pełnej sprawności systemów uzbrojenia. Nie działają poprawnie systemy komunikacyjne.

To, że ORP „Orzeł” w ogóle jeszcze pływa, możemy nazwać cudem. Ten okręt powinien zostać wycofany z użycia pięć-sześć lat temu, kiedy po długim remoncie nie został przywrócony do pełnej sprawności i pomimo naszych protestów został dopuszczony do służby. Nie chcemy podzielić losu marynarzy z okrętów podwodnych „Kursk”, ARA „San Juan” czy KRI Nanggala-402. Owszem, w naszą służbę jest wpisane to, że gdy przyjdzie taka konieczność, jesteście w stanie oddać nasze życia za Polskę. Niech to jednak ma miejsce w czasie działań wojennych, a nie będzie wynikiem nieudolności i kaprysów naszych zwierzchników. (...)

Tak naprawdę stan techniczny okrętu ORP „Orzeł” odzwierciedla obraz całej Marynarki Wojennej, która znajduje się w stanie częściowego rozkładu. (...) Zamiast otrzymać nowe okręty,

z naszego dywizjonu zostały wycofane przestarzałe i znajdujące się w jeszcze gorszym stanie ORP „Sęp” i ORP „Bielik”. Tak naprawdę stało się to w ostatniej chwili, ponieważ tym okrętom katastrofa groziła tak samo jak naszemu. Dlaczego zatem ORP „Orzeł” nadal pływa z nami na pokładzie, pomimo jego tragicznego stanu technicznego? Ponieważ jest to ostatnia „sprawna” jednostka i jej wycofanie ze służby oznaczałoby de facto likwidację dywizjonu okrętów podwodnych. Byłaby to gigantyczna porażka wizerunkowa nie tylko Marynarki Wojennej, ale też całych Polskich Sił Zbrojnych, a przede wszystkim obecnej koalicji rządzącej. Najwidoczniej potencjalna katastrofa byłaby mniejszą stratą wizerunkową, dlatego nadal płyną i narażamy swoje życie w bezsensownej kampanii marketingowej polskiego rządu. O zaistniałą sytuację szczególnie obwiniamy Pana Premiera Mateusza Morawieckiego i Ministra Obrony Narodowej Pana Mariusza Błaszczaka. Obaj Panowie nie mają najmniejszego pojęcia, jakie są potrzeby Marynarki Wojennej, i zamiast pomagać w jej modernizacji, jeszcze bardziej ją utrudniają. (...)

Mamy też żal do dowódcy 3. Flotylli Okrętów, Pana Kontradmirala Mirosława Jurkowiaka, który nasze uwagi dotyczące stanu technicznego okrętu podwodnego ORP „Orzeł” zdaje się ignorować i zbywać krótkim „tak musi być”, zawsze można poprosić o przeniesienie lub... o zwolnienie ze służby. Nie wierzymy w to, że osoba o tak długim stażu w Marynarce Wojennej i tak ugruntowanej pozycji nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. (...) Tak naprawdę ostatnim dowódcą, któremu wyraźnie zależało na modernizacji dywizjonu okrętów podwodnych, był Pan Konradmirał Mirosław Mordel, ale niestety został on zdjęty ze stanowiska (...).

Jaki jest nasz cel? Chcemy po prostu obserwować, jak dorastają nasze dzieci, a nie jak spada poziom tlenu, kiedy będziemy uwięzieni gdzieś na dnie Bałtyku czy Morza Północnego. (...)

Źródło: „Gazeta Wyborcza”

Z Galicji



Jan Widacki

Mamy nowy kłopot

Ostatnio dokonany przez reżim Łukaszenki akt piractwa postawił cały cywilizowany Zachód przed nie lada problemem. Nie zareagować na uprowadzenie samolotu pasażerskiego i aresztowanie dwójga podróżujących nim pasażerów, białoruskich opozycjonistów (Romana Protasiewicza i Sofii Sapięgi), nie można było. Reakcja słaba, symboliczna ośmieszałaby Zachód, pokazując jego bezsilę, a bat'kę Łukaszenkę tylko by rozzuchwiała. Musiała być mocna. I była. Zamknięcie dla samolotów białoruskich europejskiej przestrzeni powietrznej jest niewątpliwie reakcją zdecydowaną i dla Łukaszenki dotkliwą. Wstrzymanie pomocy finansowej również jest dotkliwe. Ale karząc reżim Łukaszenki, wypycha się go w ramiona Rosji.

Przez wiele lat Łukaszenka lawirował między Moskwą a Zachodem – gdy Rosja zbyt mocno naciskała na jeszcze ściślejszą integrację, robił się bardziej liberalny i przymilał do Zachodu. Z całą pewnością celem dalekosiężnym Rosji jest wchłonięcie Białorusi. Nie tylko zwasalizowanie. Białoruś niemal od początku swojej niepodległości jest zwasalizowana. Bez pomocy Rosji, bez rosyjskiej ropy i gazu, sprzedawanych po preferencyjnych cenach, gospodarka białoruska zawaliliby się w parę miesięcy. Ale Łukaszenka, paradoksalnie, gwarantował niepodległość Białorusi. Kiedyś marzył, że po Jelcynie to on zostanie prezydentem tworu zwanego (*nomen omen*) ZBiR. Prezydentura Putina wybiła mu to z głowy. Polubił swoją prezydencką, *de facto* dyktatorską, władzę. Wolał być dyktatorem niepodległej Białorusi niż jedynie gubernatorem tej prowincji z ramienia, a właściwie z woli i fantazji, Kremla. Podobno więc stawiał się nieraz nawet Putinowi. Ale argumentów nie miał. Argumenty, w postaci ropy i gazu, zawsze miał w ręku Putin. Ten zaś, formalnie uznając odrębność Białorusi, faktycznie krok po kroku zacieśniał więzy Białorusi z Rosją. Dopiero po fali protestów po ostatnich wyborach Łukaszenka, zdany na łaskę Putina, zaczął coś opowiadać, że emeryturę chętnie spędziłby... w Rosji.

Równocześnie obecność Łukaszenki na czele Białorusi powstrzymywała Zachód przed wiązaniem się z nią poważniejszymi więzami gospodarczymi, a także – co może mniej ważne, ale zawsze – więzami współpracy kulturalnej i naukowej. Dla Zachodu, również dla Polski, Białoruś zawsze była swoistym skansenem ZSRR. To tam i tylko tam, inaczej niż na Ukrainie (może poza wschodnią), wciąż stały pomniki Lenina, kołchozy nosiły radzieckie nazwy, dominował język rosyjski i niestety powszechna była radziecka mentalność. Ale Białoruś nie wyhodowała sobie, jak Rosja czy Ukraina, oligarchów. Korupcja i przestępczość także były tam mniejsze. Białoruś jest też jedynym europejskim państwem, w którym zachowano karę śmierci i te wyroki są wykonywane. Jest anachroniczna również w tym względzie.

I rzecz najciekawsza. Spośród wszystkich państw dziedziców dawnej Rzeczypospolitej Białoruś najbardziej, nieporównanie bardziej niż Litwa czy Ukraina, przyznawała się do wspólnego z Polską dziedzictwa. Miała świadomość zakorzenienia w tradycji dawnej wielkiej Rzeczypospolitej, na którą nałożyła się później tradycja radziecka, tworząc osobliwy konglomerat. Z Białorusią mamy też mniej niż z Ukrainą czy z Litwą sporów o przeszłość, mamy mniejsze rachunki krzywd.

Akt piractwa lotniczego wymusił reakcję Zachodu, co będzie miało dalsze skutki. Niektórzy nasi publicyści podejrzewają, czy wręcz twierdzą, że Rosja, dystansując się od powszechnej krytyki terrorystycznego wyczynu Łukaszenki, równocześnie jest zła na Białoruś, że Putin zrugą (może już zrugął) Łukaszenkę, bo incydent z porwaniem samolotu utrudni mu rozmowy z Joem Bidenem, na których bardzo mu ponoć zależy.

Nie chcę iść w podejrzeniach za daleko, nie śmiałybym przeto stawiać tezy, że to Rosja namówiła Białoruś do tego bezprecedensowego aktu państwowego terroru w czasach pokoju, jakim jest uprowadzenie pasażerskiego samolotu z ponad setką ludzi na pokładzie, po to by aresztować dwoje dysydentów. Pewnie tak nie było. Ale ten głupi akt Łukaszenki był dla Rosji wyjątkowym prezentem. Wiadomo, że Zachód będzie musiał na to zareagować sankcjami. A każda jego sankcja z natury rzeczy zbliża Białoruś do Rosji, przybliża moment jej całkowitego wchłonięcia. Im sankcja silniejsza, tym bardziej przybliża. Przybliża

więc cel, do którego Rosja Putina dąży systematycznie od lat.

Jednak w ostatnim roku na Białorusi pojawił się czynnik, którego dotychczas nie było i który tym samym nie miał wpływu na zagmatwaną sytuację polityczną. Tym nowym czynnikiem jest społeczeństwo obywatelskie, które pojawiło się, przynajmniej w dużych miastach, po fali protestów po wyborach prezydenckich. Zrodziła się też świadomość narodowa Białorusinów, których młode pokolenie wychowało się już nie w ZSRR, ale w niepodległym, a z początku nawet demokratycznym państwie. Wydaje się, że z tym nowym faktem każdy musi się liczyć, musi go uwzględniać w swoich kalkulacjach także Rosja. Ale nie sądzę, by był to czynnik wystarczająco silny, aby powstrzymać Rosję w jej zapędach do odtworzenia, choćby w pewnym zakresie, ZSRR. Wchłonięcie Białorusi przesunęłoby granice Rosji o kilkaset kilometrów na zachód. I to jest dla Putina gra warta świeczki. Wszystko wskazuje, że na Białorusi i wokół niej będzie jeszcze się działo. A Unia Europejska, osłabiana od wewnątrz przez Polskę i Węgry, ma nowy kłopot. Kłopot, z którego nie ma dobrego wyjścia.

Wszystko wskazuje, że na Białorusi i wokół niej będzie jeszcze się działo.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Każdy może zostać dziennikarzem obywatelskim

Czy czeka nas medialna przewrót?



– Wystarczy, że w odpowiednim momencie zaczniesz się nadawać wydarzenie za pomocą telefonu – mówi Włodek Ciejką.

Kornel Wawrzyniak

Jeszcze kilka lat temu dziennikarstwo obywatelskie w Polsce kojarzone było głównie z aktywnością reporterów i publicystów amatorów, którzy działali w interesie społecznym, często opisując lokalne wydarzenia. Jednak dzięki internetowi ta gałąź dziennikarstwa dynamicznie się rozwija – wysyp inicjatyw w sieci, od portali informacyjnych czy sprawdzających rzetelność informacji po telewizję, pokazuje, że dziennikarstwo obywatelskie może mieć różne odsłony i rośnie w siłę. Pytanie, czy na tyle, by media tradycyjne odeszły do lamusa.

Człowiek relacja

W ostatnich latach pojawiło się wiele stron internetowych i wielu aktywistów publikujących za pomocą mediów społecznościowych treści skupione wokół wartości obywatelskich. Przede wszystkim publicystykę oraz relacje z lokalnych wydarzeń.

Natomiast początki dziennikarstwa obywatelskiego w Polsce zbiegają się w czasie ze wzrostem popularności internetu w każdym domu, czyli po roku 2000. Koncern Interia.pl jako jeden z pierwszych, obok portalu Wieści24.pl, stworzył w 2008 r. serwis Interia 360 opierający się na dziennikarstwie społecznym. Portal Interii reklamował się jako miejsce promujące informacje o charakterze lokalnym i te wynikające z codziennych doświadczeń każdego zarejestrowanego w serwisie użytkownika.

Obecnie media obywatelskie prężnie się rozwijają, co widać po liczbie pojawiających się redakcji i dziennikarzy obywatelskich. Profil Wolne-Media.pl zajmujący się transmisjami z protestów ma na Facebooku ponad 240 tys. obserwujących, tuż za nim jest Telewizja Obywatelska ze 164 tys. osób. Rekordzistą jest tutaj portal OKO.press – na platformie YouTube śledzi go ponad 24 tys. użytkowników, a na FB ponad 600 tys. Siłę mediów obywatelskich widać też po kwotach, jakie redakcjom udaje się zebrać na swoje utrzymanie. Włodek

Ciejką TV zebrał 83 tys. zł przez portal Zrzutka.pl. Kanał wspiera prawie 1,8 tys. osób. Reset Obywatelski dostał od swoich odbiorców 13 tys. zł na sam start. Teraz medium utrzymuje się z regularnych comiesięcznych datków, które są dwukrotnie większe niż początkowa kwota.

Dzięki mediom społecznościowym aktywiści skupieni na wartościach obywatelskich zyskali narzędzie, które daje nieograniczone możliwości publikacji. Wszystko za sprawą tzw. virali, czyli treści, które niczym wirus błyskawicznie zyskują popularność wśród użytkowników mediów społecznościowych. Z takiego wzorca próbuje ostatnio korzystać *fanpage* Polskiego Stronnictwa Ludowego, który zaczął publikować serię postów zatytułowaną #Obajtki, mającą ujawniać nazwiska działaczy PiS i Zjednoczonej Prawicy, którzy zarabiają miliony w spółkach skarbu państwa. Treść postów PSL wpisuje się w styl mediów obywatelskich: „Według naszych wyliczeń od początku rządów PiS Obajtki pobrały już 210 mln zł. Te pieniądze mogły pójść na edukację, nowe drogi lub walkę z COVID. Niestety, mierni, ale wierni władzy partyjni działacze zgarniają co roku miliony, które tak jak wszystko, co należy do Skarbu Państwa jest własnością polskich obywateli” (pisownia oryginalna).

Gdy myśli się dziennikarz obywatelski, pierwszym skojarzeniem jest człowiek z kamerą podczas protestu, w centrum wydarzeń. W sieci znajdujemy popularne wśród internautów serwisy, które zajmują się m.in. relacjonowaniem protestów: Włodek Ciejką TV, Wolne-Media.pl oraz Telewizję Obywatelską. Wszystkie trzy można nazwać spektaklem jednego aktora – człowiek z kamerą idzie tam, gdzie coś się dzieje, i wpuszcza transmisję do sieci.

Aktywiści bardzo często trafiają tam, gdzie nie docierają się mainstreamowe media. Ich sprzęt,



w odróżnieniu od telewizyjnego, mieści się w plecaku. – Teraz każdy może zostać dziennikarzem obywatelskim. Wystarczy, że w odpowiednim momencie znacznie nadawać wydanie za pomocą telefonu. Reszta to kwestia zasięgów. Porównuję to do rozmowy telefonicznej. Można relacjonować coś jednej osobie, ktoś może włączyć tryb głośnomówiący i słyszy to cała rodzina, ale można podłączyć głośnik, wyjść z telefonem na balkon i sprawić, aby usłyszało to całe osiedle – mówi Ciejka.

Medium obywatelskie z redakcją

Głównymi argumentami przeciwników dziennikarstwa obywatelskiego są niedobory: obiektywizmu, profesjonalnego warsztatu i wynagrodzenia dla dziennikarzy. To jednak dość przestarzały pogląd, który pojawił się jeszcze w erze portali, takich jak wspomniane Wieści24.pl. Korzystano tam z pracy zapaleńców, którym nie płacono za treści. Dziś spora część mediów obywatelskich ma strukturę redakcyjną, z redaktorem naczelnym i dziennikarzami, którzy często dostają wynagrodzenie. Wymienić można chociażby serwis ObywatELE.News, dziennikarski portal OKO.press czy powstały w listopadzie 2020 r. Reset Obywatelski, z już ponad 20 osobami na pokładzie, które siedem dni w tygodniu prowadzą autorskie programy. Redaktor naczelny Resetu Obywatelskiego Marcin Celiński rozwiewa wątpliwości dotyczące etyki dziennikarskiej: – Dziennikarze w mediach obywatelskich także wykonują zawód dziennikarza, dlatego obowiązują ich zasady dotyczące dziennikarzy i etyka zawodowa. W naszych umowach z autorami zawarte jest odniesienie

do etyki dziennikarskiej i prawa prasowego. Pod tym kątem media obywatelskie nie różnią się niczym od mediów komercyjnych.

OKO.press utrzymywany jest z darowizn odbiorców i różnych grantów dotyczących działalności obywatelskiej. W marcu na płace dla swoich dziennikarzy przeznaczył 160 tys. zł. Z jego strony dowiadujemy się, że działalność OKO.press kosztuje miesięcznie ok. 340 tys. zł. Portal ObywatELE.News założony przez środowisko skupione wokół aktywistów z Obywateli RP boryka się za to z pewnymi kłopotami finansowymi – redakcja gromadziła środki na stworzenie własnej telewizji, jednak ma trudności z zebraniem kwoty potrzebnej na dokończenie studia. Problemów z nadawaniem nie ma natomiast redakcja Resetu Obywatelskiego. Autorzy ze względu na pandemiczne warunki zdecydowali się na nadawanie z domów i zdalne łączenie z gośćmi. Marcin Celiński zaznacza, że głównym źródłem utrzymania RO są bezpośrednie wpłaty na konto.

Finansowanie projektu jest największym wyzwaniem dla obywatelskich redakcji i często trzeba dostosowywać działania do posiadanego budżetu. – Nie jest to łatwe, ale jeśli uważa się na budżet, to jesteśmy przykładem tego, że można sobie poradzić. Należy jednak pamiętać o ogromnej pracy ludzi, którzy pomagają nam w formie wolontariatu – podkreśla Celiński.

Odbiorcy mówią sprawdzam

W dzisiejszym natłoku informacji ważnym narzędziem dla odbiorców są serwisy fact-checkingowe, w których mogą sprawdzać

informacje zamieszczane przez media oraz na portalach społecznościowych. Niektóre media alternatywne określają się jako obywatelskie, choć nie opierają się na faktach. Według specjalistki ds. dezinformacji Anny Mierzyńskiej jest to świadome używanie pewnych terminów i nadawanie im własnego znaczenia. – Robi się to celowo, aby ludzie nie wiedzieli, gdzie zaczynają się teorie spiskowe i fałsz. Posługiwanie się określeniami, które mają pozytywne konotacje w społeczeństwie, sprawia, że przeciętnemu odbiorcy bardzo trudno jest odróżnić rzeczywiste media obywatelskie od tych, które szerzą dezinformację. Bardzo często okazuje się, że to, co jest najbardziej nośne w sieci, nie jest prawdziwe – przestrzega Mierzyńska.

Jednym z najpopularniejszych i najstarszych serwisów fact-checkingowych w Polsce jest Demagog.org.pl działający od 2014 r. Stowarzyszenie Demagog obrało sobie za cel „poprawę jakości debaty publicznej poprzez dostarczanie obywatelom bezstronnej i wiarygodnej informacji”. Zespół zaczął siedem lat temu od weryfikowania obietnic wyborczych polityków. Dziś stowarzyszenie prowadzi Akademię Fact-Checkingu skierowaną do uczniów, studentów, seniorów i biznesu. Jego eksperci uczą, jak wyszukiwać i weryfikować informacje. W swoim statucie Demagog podkreśla też, że dba o ochronę swobód obywatelskich, ze szczególnym uwzględnieniem prawa do dostępu do informacji publicznej. W maju 2019 r. zespół Demagoga dołączył do Międzynarodowej Sieci Fact-Checkingowej (IFCN). Członkowie IFCN zobowiązani są do przestrzegania następujących zasad: bezstronności, przejrzystości źródeł i finansowania,

► transparentności metodologii, polityki otwartych i uczciwych korekt. Ostatni punkt jest najciekawszy, ponieważ w razie pomyłki należy otwarcie przyznać się do błędu i zaktualizować informacje. To tylko podwyższa status portalu Demagog.org.pl jako serwisu, któremu można zaufać.

Nie wszystkie portale fact-checkingowe wzbudzają zaufanie. Ciekawa historia stoi za powstaniem serwisu Antyfake.pl należącego do Grupy Iberion (dawniej HGA Media). Grupa ma wiele serwisów, w tym Pikio.pl, który badacze Uniwersytetu Oksfordzkiego zaklasyfikowali jako portal szerzący dezinformację. W 2019 r. w materiale „Superwizjera” TVN pokazano kulisy działania Newsweb.pl, serwisu należącego do HGA. Zatrudnionej w portalu współautorce reportażu Annie Sobolewskiej zlecono wymyślanie newsów atakujących imigrantów. Po publikacji materiału do sprawy odniósł się ówczesny szef HGA Media Albert Wójcik, który zapewnił, że Newsweb.pl działał za plecami zarządu firmy. Wójcik zamknął portal i podziękował dziennikarzom

„Superwizjera” za ujawnienie sprawy. Jednocześnie zapowiedział w swoich social mediach powstanie portalu fact-checkingowego. Pojawił się Antyfake.pl, który zamieszcza krótkie informacje rozstrzygające, czy dany news był prawdą. Na stronie jest sporo reklam. Można odnieść wrażenie, że skoro portal należy do grupy medialnej, został stworzony na potrzeby zwiększenia ruchu na siostrzanych stronach i sprzedaży przestrzeni reklamowej.

Co dalej z mediami obywatelskimi?

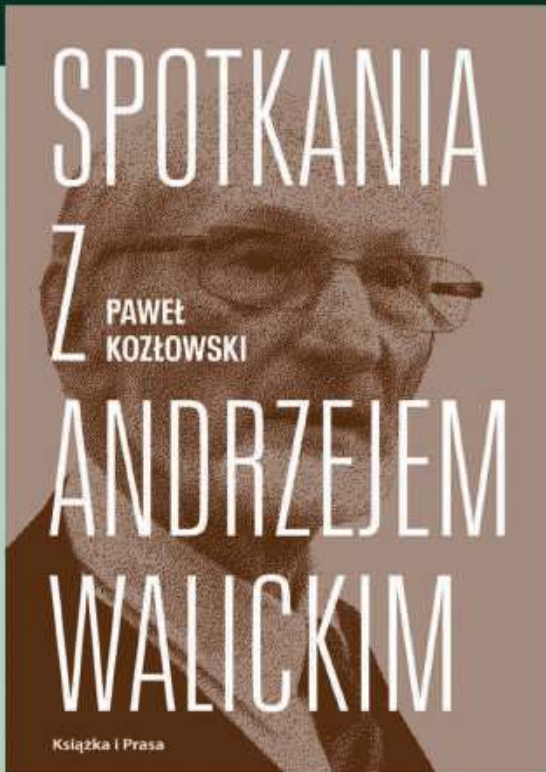
Nie widać, aby media obywatelskie konkurowały ze sobą. Każda redakcja wypełnia inną lukę. – Nie ma poczucia bezpośredniej konkurencji. Projekty, które np. realizuje Włodek Ciejka TV, odpowiadają zupełnie innemu odbiorcy niż programy w Resecie Obywatelskim. Gdybyśmy mieli 10 takich inicjatyw jak RO, można by mówić o konkurencji – tłumaczy Marcin Celiński. Nie widać też, aby media obywatelskie miały zastąpić

mainstreamowe. – Czasami działamy w tej samej fazie. Weźmy protesty Strajku Kobiet. Wtedy wszystkie media relacjonowały temat, który był nośny. Kiedy indziej zainteresowanie się rozjeżdża. Myślę o lokalnych czy kameralnych wydarzeniach. Trzeba zrozumieć, że ani media obywatelskie nie są w stanie konkurować z dużymi mediami, ani odwrotnie, ponieważ różni je podejście – podsumowuje Włodek Ciejka.

Twórcy są też zgodni co do tego, że nie da się utrzymać z dziennikarstwa obywatelskiego. Redaktor naczelny RO podkreśla, że największym kosztem funkcjonowania są honoraria autorskie, a stawki, jakie może zaproponować obywatelska redakcja, nie są takie jak w stacjach komercyjnych. Włodek Ciejka: – Kiedy na ulicach nic się nie dzieje, zrzutka też przestaje pracować. Dlatego można próbować łączyć różne elementy działalności lub traktować to jako dodatkowe zajęcie. Trzeba dywersyfikować działalność, żeby nie umrzeć z głodu.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Paweł Kozłowski

Rozmowy z Andrzejem Walickim

cena 36 zł

Do nabycia w księgarniach i w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Wyższe wynagrodzenia – silniejsza gospodarka

Nie uda się zbudować nowoczesnych i konkurencyjnych przedsiębiorstw bez wyższych płac i godnie wynagradzanych pracowników

Andrzej Radzikowski

Kilkunastu czołowych europejskich ekonomistów, m.in. profesorowie Mariana Mazzucato i Thomas Piketty, opublikowało ostatnio list otwarty. Podkreślają w nim, że wyjście z kryzysu gospodarczego po pandemii musi być oparte na działaniach na rzecz podniesienia wynagrodzeń.

Ekonomiści popierają wniosek Komisji Europejskiej dotyczący dyrektywy w sprawie adekwatnych minimalnych wynagrodzeń w Unii Europejskiej. Jak zauważają, po raz pierwszy w historii UE przedłożono projekt, który ma na celu nie tylko znaczne zwiększenie płac minimalnych w Europie, ale także wzmocnienie rokowań zbiorowych. Odpowiednie płace minimalne i negocjacje zbiorowe mają zapewnić pracownikom godne życie z pracy. To ważny głos poparcia dla działań postulowanych przez Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Niestety, wiele osób nadal twierdzi, że podwyżka płacy minimalnej przedłuży kryzys, byłaby zbyt droga dla firm i kosztowałaby tysiące miejsc pracy.

W połowie maja zebrał się Zespół problemowy ds. budżetu, wynagrodzeń i świadczeń socjalnych Rady Dialogu Społecznego. Tematem, który wzbudził najwięcej kontrowersji, był przyszłoroczny wzrost płac w państwowej sferze budżetowej oraz płacy minimalnej. OPZZ zaproponowało podniesienie wynagrodzeń w sektorze publicznym o 12%. Pracodawcy opowiedzieli się za podwyżką w przedziale od 2,8% do 5,1%, choć pojawiła się także propozycja, aby zamrozić płace i zmniejszyć etatyzację.

Wzrost wynagrodzeń powinien być jednym z kluczowych komponentów powrotu gospodarki na ścieżkę wzrostu.

W kwestii minimalnego wynagrodzenia za pracę OPZZ postulowało, aby w przyszłym roku wzrosło o 500 zł netto, do poziomu 2562 zł netto. Generalnie powinniśmy mówić o płacach netto, bo to jest realne wynagrodzenie, jakie otrzymuje pracownik. W trakcie negocjacji OPZZ zaproponowało, aby w czasie kryzysu odpowiedzialnością za wzrost wynagrodzeń podzielili się solidarnie pracodawcy i rząd.

Przy takich założeniach płaca brutto powinna wynieść ok. 3150 zł, czyli wzrosnąć o 350 zł. Postulujemy, aby dalszy wzrost, o 250 zł netto, zmaterializował się poprzez obniżenie podatków. Tymczasem większość organizacji pracodawców wnioskowała o wzrost płacy minimalnej na poziomie ustawowego minimum, tj. o 184,70 zł.

Klin podatkowy pozwoliłby podnieść nie tylko płacę netto, ale również wszystkie najniższe wynagrodzenia. Obniżenie obciążeń



podatkowych najniższych wynagrodzeń zapowiedział rząd w programie Polski Ład. Trudno tę propozycję ocenić jednoznacznie ze względu na połączenie jej ze zmianą zasad opłacania składki zdrowotnej. Z wyliczeń analityków wynika, że osoby zarabiające do 6 tys. zł brutto zyskają, dla tych z przedziału 6-10 tys. będzie to neutralne, a zarabiający więcej stracą. To zbyt niski pułap osób, które zyskują, bo wielu pracowników zarabia po-

wyżej 6 tys. zł nie dlatego, że ma wysoką stawkę zaszerogowania, ale dlatego, że dużo pracuje w godzinach nadliczbowych.

OPZZ stoi na stanowisku, że wzrost wynagrodzeń powinien być jednym z kluczowych komponentów powrotu gospodarki na ścieżkę wzrostu. Nie uda się zbudować silnych, nowoczesnych i konkurencyjnych przedsiębiorstw bez wyższych płac i godnie wynagradzanych pracowników. Od początku pandemii nisko wynagradzani pracownicy stali się grupą społeczną w największym stopniu narażoną na skutki COVID-19. Specyfika ich pracy (rolnictwo, handel, transport, ochrona, sprząatanie) sprawia, że trudno im przejść na pracę zdalną. Ci pracownicy, podobnie jak lekarze

Pracownik w Polsce jest prawie trzy razy tańszy, niż wynosi średnia unijna.

i pielęgniarki, działają na pierwszej linii frontu – równie ważnego frontu gospodarczego. Niestety, uruchamiane przez rząd kolejne tarcze antykryzysowe w większości są kierowane bezpośrednio do przedsiębiorców. Nie zabezpiecza się właściwie interesów pracowników, nie porusza się kwestii płacy minimalnej. Fakty są takie, że przedsiębiorcy otrzymują pomoc finansową, a pracownikom obniża się płace! Najwyższa pora to zmienić i znacząco podnieść minimalne wynagrodzenie. To konieczne, aby przestać konkurować niskimi wynagrodzeniami i kosztami pracy. Pracownik w Polsce jest prawie trzy razy tańszy, niż wynosi unijna średnia. Koszt jego pracy w 2020 r. (11 euro na godzinę) kształtował się na poziomie niższym niż unijna średnia (28,5 euro). Przez osiem lat średnia godzinowa płaca w Polsce zwiększyła się ledwie o 3,1 euro za godzinę. Jednocześnie wzrosła wydajność pracowników, ale efekty ich pracy w znacznej części zostały zatrzymane przez przedsiębiorców. Obecna sytuacja pokazuje potrzebę ustabilizowania dochodów gospodarstw domowych z pracy jako ważny element strategii przezwyciężenia kryzysu po COVID-19. To pracownicy w głównej mierze budują popyt wewnętrzny, który jest w Polsce jednym z ważniejszych czynników wzrostu gospodarczego. Właśnie dlatego zaproponowaliśmy, aby w 2022 r. płaca minimalna wzrosła o co najmniej 500 zł netto.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Zabawy z nacjonalizmem

Wraz z dojściem do władzy prawicy w 2015 r. idee nacjonalistyczne przeżywają w Kościele renesans

Jarosław Makowski

Nacjonalizm kusi Kościół. Przede wszystkim dlatego, że dużo obiecuje; obiecuje bowiem obronę katolicyzmu, szacunek do tradycji, miłość do ojczyzny. To musi się biskupom podobać. Ale obietnica to jedno. Drugie to pytanie, kto ową obietnicę składa. Kto obiecuje, że będzie bronił Kościoła? Kto zapewnia, że wartości katolickie są mu drogie i jest gotów niemal oddać za nie życie – o ile jest to „śmierć” na pluszowym krzyżu, a nie realne poświęcenie w służbie drugiemu człowiekowi, do czego zachęca Ewangelia. Kto mówi, że użyje państwowych instytucji, by wrogów narodowego wzmoczenia przegonić z przestrzeni publicznej?

Ale i w owym „kto” biskupi nie widzą problemu. Napawa ich dumą, gdy widzą młodych mężczyzn zasilających szeregi Młodzieży Wszechpolskiej, krzyczących „tylko Bóg”. Albo wręcz paramilitarne grupy określające się „Żołnierzami Chrystusa”, formujące swoich członków bardziej na podobieństwo oddziałów wojskowych niżli uczniów Jezusa z Nazaretu – stąd przysięgi, pasowania, posłuszeństwo liderowi, codzienny udział w wojnie (duchowej). Biskupi są dumni, gdy widzą polityków prawicy, którzy nie otwierają ust, jeśli nie zapewnią, że Kościół z narodem, a naród z Kościołem tworzą jedność. Napędza ich nadzieja, kiedy przyglądają się mężczyznom stojącym z różańcem na zaciśniętej pięści, zapewniającym, że będą oni bronić rodzimego katolicyzmu i rodziny przed zalewem zachodniego relatywizmu i rozpusty. Dlatego każdy wybryk narodowców, każdy atak na cudzoziemców, każda mowa nienawistna i poniżająca kwitowane były następującym zdaniem: „W Polsce, tym bardziej w Kościele, nacjonalizm i rasizm to problem marginalny”. Czy rzeczywiście jest to tylko margines, czy dziś raczej stały

element przeżywania wiary w Kościele nad Wisłą?

Nie jest przecież przypadkiem, że wraz z dojściem do władzy prawicy w 2015 r. idee nacjonalistyczne przeżywają w Kościele renesans, a księży coraz częściej wprost się do nich przyznają. Głośno i stanowczo. Chcę tu przywołać postacie dwóch duchownych. Młodego księdza Jacka Międlara, który ostatecznie zrzucił nawet sutannę, bo wołał ziać nienawiścią do obcych czy głosić otwarcie antysemityzm niż pozostać wierny nauczaniu Jezusa z Nazaretu i Kościołowi. I kapłana starszego

Kościół ma problem z kształceniem księży. A w zasadzie zbiera plon swojej zacofanej edukacji teologicznej.

pokolenia, ks. Romana Kneblewskiego z Bydgoszczy, który nie tylko odprawiał mszę dla narodowców, ale wprost mówi, że nacjonalizm jest *cool*. Bo to pokazuje, że nacjonalizm w polskim Kościele nie zniknie wraz z pojawieniem się, jak sądzą niektórzy, młodych księży. Ten wirus jest obecny w każdym pokoleniu rodzimych duchownych, a dwie przywołane tu postacie to radykalny przejaw tego, jak idee narodowe uwodzą polskich księży.

Początkowo ks. Międlar wyglądał na gorliwego młodego kapłana. Całą swoją edukację i formację kapłańską odebrał już w wolnej Polsce, państwie, które jest członkiem Unii Europejskiej. Przyjdą młodzi księża, młodzi biskupi i wszystko naprawią – tak myślało wielu katolików. Młodzi, a więc nowoczesni, postępowi, oddani, otwarci na świat, bez mrocznej przeszłości. Nadzieja zrozumiała, obecni hierarchowie mają bowiem zbyt wiele trupów w szafie – od bagatelizowania skandali pedofilskich poczynając, a na umizgiwaniu się

do PiS-owskiej władzy kończąc. Dobro kościelnych instytucji zdają się uważać za ważniejsze i cenniejsze niż dobro człowieka – w tym dobro ofiar księży pedofilów. Kiedy jednak patrzy się na historię Międlara, to nic tu nie pasuje. Choć młody, z dobrego domu, wykształcony, to nie przeszkadzało mu to zostać nacjonalistą, ksenofobem i rasistą. Co więcej, wystarczy rzut oka na Twittera by się przekonać, że jest cała rzesza młodych księży, którzy zdradzają podobne ciągoty. To znak, że Kościół ma problem z kształceniem i wychowaniem księży. A w zasadzie nie tyle ma problem, ile raczej zbiera plon swojej ciasnej i zacofanej edukacji teologicznej.

Potwierdza to raport, jaki na temat młodych kleryków napisał nie jakiś tam wojujący ateista, ale ksiądz prof. Krzysztof Pawlina. Jakie poglądy wedle analiz Pawliny mają przyszli księża? Młodych kapłanów pod względem ideowym wychowuje polska prawica. Z raportu księdza Pawliny wynika, że wśród przyjętych do seminariów w roku akademickim 2019/2020 na PiS w wyborach do PE (w maju 2019) głosowało 62%. Drugim najchętniej wybieranym ugrupowaniem była Konfederacja (24% głosów). 7% zagłosowało na Koalicję Europejską i 6% na Kukiz'15. Te dane są tylko potwierdzeniem tego, co widzimy gołym okiem: kościoły stały się miejscem, gdzie narodowcy dobrze się czują. (...)

Brak krytycznej edukacji seminarnej oraz uniwersytety katolickie, które przypominają dziś raczej „technika duchowlane”, sprawiają, że należy się spodziewać, iż brunatna fala w sutannach się nie tylko nie cofnie, ale dopiero wyleje.

Podobnie jest z ks. Romanem Kneblewskim, choć należy on do starszego pokolenia duchownych: gdyby nie istniał, to wrogowie Kościoła

musieliby go sobie wymyślać. Tyle że ów kapłan istnieje. Ba, to były proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy. Duszpasterz, który ustąpił, gdyż jego poglądy nawet pocziwych katolików przyprawiły o zawał serca. Ks. Roman nie trafia na pierwsze strony gazet, bo jest pobożnym księdzem. Bo twórczo głosi Dobrą Nowinę. Bo naśladuje papieża Franciszka w trosce o ubogich i wykluczonych. Proboszcz trafia na czołówki portali, gdyż głosi antyewangelie i zachowuje się tak, jakby wierni i parafianie byli jego własnością.

O ks. Romanie Kneblewskim po raz pierwszy usłyszeliśmy, gdy bronił faszyzmu w sutannie, czyli opisanego już wyżej eksksiedza Jacka Międlara. Przekonywał też, że Pan Jezus, Żyd, „ukazuje się nam jako nacjonalista”. Co więcej, twierdził, że każdy „katolik powinien być patriotą i nacjonalistą”. Oczywiście wszystko to w kontekście nacjonalistycznego wzmożenia i aprobaty dla rasizmu w Polsce, które sprawiają, że ludzie mówiący w innym języku są atakowani i bici w miejscach publicznych, gdyż mają inny kolor skóry, lub znieważani, gdyż wierzą w innego Boga.

Książd prałat pokazał się nie tylko jako nacjonalista, ale też jako surowy wychowawca ze skłonnością do przemocy. Oto bowiem ks. Kneblewski zamieścił na Facebooku i Twitterze zdjęcie chłopca przyjmującego komunię i opatrzył je następującym

Brunatna fala w sutannach nie tylko się nie cofnie, ale dopiero wyleje.

komentarzem: „Po katolicku: na kolanach i do ust, a na rękę co najwyżej trzciną”. Pomijam fakt, że według kościelnych dokumentów komunię można przyjmować na rękę, jeśli tak życzy sobie wierny. Zmilczę język, jakim posługuje się kapłan. Ale o pomstę do nieba woła to, że duszpasterz nie rozpoznaje w wiernym osoby. Tak zdjęcie, jak i komentarz pokazują, że według ks. Kneblewskiego dobry wierny to wierny posłuszny. Okazujący poddaństwo księdzu. Mamy już trzecie dziesięciolecie XXI w., a w polskim Kościele wciąż są księża, dla których człowiek wierzący, mający swoje zdanie i godność, stanowi poważny problem.

Przez długi czas kościelne władze bagatelizowały tę nacjonalistyczną falę. Tym bardziej że nacjonaści nauczyli się, jak nie drażnić społeczeństwa. Narodowcy, by wejść do domów kultury, przebierali się za społeczników. By dostać się na Jasną Górę, przebierają się w szaty pielgrzymów. By wkroczyć do szkół, udają edukatorów patriotycznych postaw. Dlatego pytanie nie brzmiało „czy”, ale „kiedy” polski

Młodych księży pod względem ideowym wychowuje polska prawica.

Kościół stanie się żyzną glebą dla nacjonalizmu i ksenofobii. A wiemy, że zabawy z nacjonalizmem nie są niewinne. Rasizm raz spuszczony ze smyczy, później uderza już na ślepo, siejąc przemoc. (...)

Do napaści dochodzi np. w Gdańsku, ale i Rzeszowie. W Warszawie i Białymstoku. W miastach dużych i małych. Wystarczy, że pojawi się człowiek, który jest obcy, który ma inny kolor skóry i/lub mówi w odmiennym języku, by stał się obiektem rasistowskiego ataku.

Co na to polski rząd? Podobnie jak Kościół przekonuje w rytm tej samej melodii: „To są pojedyncze incydenty, nie można generalizować”. Co więcej, premier Beata Szydło w imię banalizacji zjawiska, rozwiązała Radę ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji Rasowej, Ksenofobii i związanej z nimi Nietolerancji. Zignorowała w ten sposób wyniki badań, wedle których, liczba przestępstw na tle rasowym i etnicznym w Polsce w 2015 r. wzrosła o 40%. (...)

Powiedzmy to wprost: odpowiedzialność za przejący dziś w Polsce muskuły rasizmu spada na rodzimą prawicę. W tym na polityków partii rządzącej. To politycy PiS od dawna powtarzają, że nacjonaści to nie łobuzy i kibole, ale „prawdziwi patrioci”, sól tej ziemi. To politycy PiS straszą Polaków, że każda osoba o rysach arabskich, nazywana przez rasistów „ciapaty”, którą spotykamy na swojej drodze, to

potencjalny terrorysta. To politycy PiS przekonują, że tolerancja i otwartość to wymysł lewactwa i liberalnej Europy. (...)

Czy Kościół pozostał całkowicie głuchy i ślepy na ten rosnący w siłę nacjonalizm i na język, który dzieli i wyklucza ludzi? Nie. Rosnący w siłę nacjonalizm i mowę nienawiści można było zauważyć gołym okiem. Czuć go było w powietrzu. W kazaniach. W mediach społecznościowych prowadzonych przez księży. Ba, Kościół i biskupi przez wielu byli krytykowani za przyzywanie oka na rasizm czy ksenofobię. Dlatego po dwóch latach nacjonalistycznego wzmożenia, także w Kościele, nie mogli już udawać, że nic się nie dzieje. Efektem tego przynaglenia jest dokument, jaki przygotowała Rada ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski. Tytuł dokumentu: „Chrześcijański kształt patriotyzmu”. Już na początku biskupi stwierdzają, że z zadowoleniem przyjmują każdy przejaw budzenia się postaw patriotycznych. (...) Ale w tym samym dokumencie czytamy również, że przeciwieństwem patriotyzmu jest nacjonalizm. „Kościół w swoim nauczaniu zdecydowanie rozróżnia szlachetny i godny propagowania patriotyzm oraz będący formą egoizmu nacjonalizm”. (...) Sęk w tym, że dokument biskupów nie odbił się szerokim echem. Nie był nawet czytany jako list biskupów w kościołach. A to oznacza, że nie szedł ani pod strzechy plebanii, ani nie dotarł do katolickich domów. Można nawet odnieść wrażenie, że ten dość rutynowy i oczywisty tekst został napisany po to, by zamknąć usta krytykom, którzy oskarżali Kościół o przyzywanie oka na romans katolicyzmu z nacjonalizmem. By uciszyć tych wszystkich, co domagali się stanowczej reakcji hierarchów tam, gdzie kościoły zamieniały się w miejsca, w których jak ryba w wodzie czuli się narodowcy.



Fragmenty książki
Jarosława Makowskiego
Kościół w czasach dobrej zmiany,
Liberté!, Łódź 2021

Rozmawia Jakub Katulski

Panie ambasadorze, 20 maja rozpoczęło się zawieszenie broni między Izraelem a Hamasem i Islamskim Dżihadem. Czy myśli pan, że to koniec eskalacji, czy też walki mogą ponownie wybuchnąć?

– Zawieszenie broni znaczy tylko jedno. Już czas, by usiąść do stołu i rozwiązać konflikt, opierając się na rezolucjach Zgromadzenia Ogólnego i Rady Bezpieczeństwa ONZ. Nie wystarczy zawieszenie broni w tej rundzie tylko po to, by przygotować następną. Trzeba zapobiegać kolejnym eskalacjom i to czas, by obok siebie powstały dwa państwa w granicach z 1967 r. (w czerwcu 1967 r. Izrael zajęł Jerozolimę Wschodnią, Zachodni Brzeg, Strefę Gazy i Wzgórza Golan). **Uważa pan obecne rezolucje za wystarczające czy konieczne są nowe?**

– Są wystarczające, ale nie są wykonywane. Jedyne państwo na świecie, które nie przestrzega tak wielu rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, to Izrael! Najwyższy czas, by społeczność międzynarodowa wymusiła realizację tego, co Izrael uzgodnił z Organizacją Wyzwolenia Palestyny. Niestety, od 1999 r. Izrael broni się przed stabilnym pokojem i zapewnieniem bezpieczeństwa nie tylko Izraelczykom, ale także Palestyńczykom. Obie strony muszą czuć, że korzystają na porozumieniu. A dzisiaj jedynie Izrael korzysta na okupacji. Dlatego dziękujemy społeczności międzynarodowej i Egiptowi za interwencję, dzięki której wypracowano zawieszenie broni. Ale teraz należy podjąć kolejne konkretne kroki.

Palestyńczycy i Izraelczycy są gotowi usiąść do stołu rozmów?

– Każdy moment jest odpowiedni do ratowania życia. Izrael nadal nie rozumie, że wojna nie jest rozwiązaniem. Wojna prowadzi jedynie do kolejnej wojny i nienawiści. Ale

Izrael negocjuje dla negocjacji, a nie dla rozwiązań.

Izrael musi to jeszcze usłyszeć od społeczności międzynarodowej. Również od Stanów Zjednoczonych, które wciąż mówią o prawie Izraela do obrony, nie wspominając o prawach Palestyńczyków. Najwyższy czas przejść z etapu oświadczeń do

Czas zacząć zapobiegać

Gdybyśmy my, Palestyńczycy, stracili nadzieję, już by nas nie było



DR MAHMOUD KHALIFA

– ambasador Palestyny w RP, dziekan arabskiego korpusu dyplomatycznego w Polsce. Studia wyższe kończył właśnie w Polsce, ucząc się przy okazji języka. Z zawodu jest dziennikarzem, był m.in. ministrem informacji Autonomii Palestyńskiej.

etapu realizacji. Palestyna jest gotowa, ale czy Izrael jest gotowy?

A porozumienia z Oslo pozostają aktualne, czy pana zdaniem już je zaprzepaszczone?

– Izrael dawno pogrzebał te porozumienia przez swoje działania, np. nielegalne osadnictwo. W 1999 r. mieliśmy być w końcowym etapie! Gdzie jesteśmy teraz?

z Szajch Dżarrah Palestyńczyków, którzy już wcześniej zostali wygnani w 1948 r. z Jerozolimy Zachodniej do Wschodniej. Chce zabrać ich domy i w tym miejscu osiedlić fundamentalistów, dokonać zmian demograficznych w mieście. Netanjahu wcześniej otrzymał różne obietnice od prezydenta Trumpa i teraz pomyślał, że czas je wykorzystać. Myślę, że fakt, że zaprotestował cały naród palestyński, dał jasną odpowiedź Stanom Zjednoczonym, Europie i niektórym krajom arabskim – nie można pominąć potrzeb politycznych i narodowych Palestyńczyków. Najwyższy czas, by ten problem został rozwiązany, zanim będzie za późno.

Palestyńczycy czują się zdradzeni przez Sudan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Maroko i Bahrajn?

Minęły 22 lata...

– ...a Izrael nie robi nic oprócz budowania nienawiści! Jedyne zagrabia ziemię i osadza izraelskich fundamentalistów wśród Palestyńczyków. Zresztą od tego zaczęła się ostatnia eskalacja. Izrael chciał wyrzucić

– Nie! Tutaj mowa o zupełnie innej kwestii. To powstanie Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu, w Jerozolimie Wschodniej, w Strefie Gazy i w samym Izraelu pokazało, że naród palestyński nie pozwoli się wyeliminować. Żaden kraj nie może pominąć naszych politycznych interesów. Trwa okupacja i trwa izraelska agresja wobec narodu palestyńskiego. Trzeba to brać pod uwagę! Te kraje, które znormalizowały swoje stosunki z Izraelem, same widzą, że obecny rząd z Netanjahu na czele nie jest partnerem do budowy stabilnego pokoju. Netanjahu dał im do zrozumienia, że są współnikami agresji przeciwko nieuzbrojonym palestyńskim cywilom, przede wszystkim w Strefie Gazy, ale

Poważne kroki na arenie międzynarodowej powinny podjąć zwłaszcza Stany Zjednoczone, które dzisiaj finansują okupację i wspierają ją militarnie.

też na Zachodnim Brzegu i w Jerozolimie. I chciałbym wyraźnie podkreślić: to, co widzieliśmy w Strefie Gazy, to nie była wojna. To była izraelska agresja! Nie wolno porównywać działań ludzi wykorzystujących do obrony prostą broń z atakami zaawansowanego lotnictwa bombardującego najbardziej zaludniony skrawek ziemi! Izrael mówi o niezamierzonych stratach wśród cywilów. Tymczasem izraelscy lotnicy celują tak, żeby było jak najwięcej ofiar cywilnych.

Czy rząd w Ramallah nie obawia się, że do Gazy wkroczy także izraelskie wojsko i zajmie całą strefę albo jej część?

– Nadal tego się obawiamy. Z obecnym rządem w Tel Awiwie wszystko jest możliwe. Doszliśmy do obecnego zawieszenia broni dzięki działaniom Egiptu i naciskowi Bidena. Nawet izraelscy politycy mówią, że Netanjahu robi wszystko, byle uniknąć skazania przez sąd (Netanjahu oskarżony jest w trzech sprawach o korupcję i nadużycie władzy; jego proces właśnie ruszył – przyp. JK). A za te zbrodnie, których dokonywał przeciwko Palestyńczykom, nie tylko teraz, ale i wcześniej, należałoby go postawić przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym.

Izrael twierdzi, że Międzynarodowy Trybunał Karny nie ma nad nim jurysdykcji.

– Netanjahu i obecny rząd uważają, że są bezkarni. Dlatego najwyższy

czas, by społeczność międzynarodowa podjęła poważne działania zamiast samych stanowisk i oświadczeń. One niczego nie zmieniają. Poważne kroki na arenie międzynarodowej powinny podjąć przede wszystkim Stany Zjednoczone, które dzisiaj finansują okupację i wspierają ją militarnie. Czas skończyć z podwójnymi standardami, nie można używać sankcji przeciwko jednemu krajowi, a drugi przed nimi chronić.

To w kim widzicie partnera, jeśli nie w Stanach Zjednoczonych?

– Stany nie mogą być głównym partnerem, mogą być jednym z nich. Widzimy aktywnego partnera w Unii Europejskiej i pozostałych uczestnikach kwartetu madryckiego

(w ramach kwartetu współpracują ONZ, UE, Rosja i USA – przyp. JK), także w Polsce, która ma w tym doświadczenie.

A widzicie partnera w Niemczech, Czechach i Słowacji, po tym jak ich ministrowie spraw zagranicznych polecieli do Jerozolimy, by wyrazić poparcie dla Izraela?

– Traktujemy poważnie każdego, kto jest gotów być naszym partnerem, jeśli jest gotów spojrzeć na obie strony konfliktu. Ale partnerem na pewno nie jest ten, kto wspiera okupację i jest przeciwko bezbronnym ludziom. Nie można pokojem nazwać

Izrael nadal nie rozumie, że wojna nie jest rozwiązaniem. Wojna prowadzi jedynie do kolejnej wojny i nienawiści.

czterech wojen prowadzonych przeciw 2 mln ludzi żyjącym na 365 km kw., narzucania przez okupanta faktów i uznawania tych faktów przez niektóre kraje.

Może sytuację Palestyńczyków poprawiłoby wejście Mansura Abbasa do izraelskiej koalicji rządowej, na co jeszcze do niedawna się zanosiło?

– Absolutnie nie! To zupełnie inna sprawa. Tutaj chodzi o wzmocnienie praw Palestyńczyków w samym Izraelu. O to, żeby czuli się równymi obywatelami. A tak nie jest. Są represjonowani i prześladowani za sprawą różnych przepisów wprowadzanych

przez Kneset czy rząd. Prawie 2 mln ludzi jest obywatelami drugiej kategorii. Jak często Netanjahu podżegał przeciw nim w wyborach? Cały czas! To nieważne, że w ostatnich sześciu miesiącach podczas kampanii wyborczej nic nie mówił przeciwko Arabom. Nieustannie pracuje nad ograniczaniem ich praw. W Izraelu są siły, które chcą pokojowego rozwiązania, lecz są tłumione przez fanatyków i rząd Netanjahu, który chce utrzymać się przy władzy.

W czyją więc stronę patrzycie w Izraelu?

– Każdego, kto jest gotowy rozwiązać ten konflikt. Przecież zakończenie go leży w interesie Izraela. Dzisiaj jednak Izrael poszedł w zupełnie innym kierunku i zaczęło się to w momencie, gdy zabito premiera Icchaka Rabina (został zamor-

dowany w listopadzie 1995 r. przez prawicowego ekstremistę, po podpisaniu porozumień z Oslo i traktatu pokojowego z Jordanią – przyp. JK). Od tego momentu nie chcą pokojowego rozwiązania i odrzucili rozwiązanie dwupaństwowe.

Izrael twierdzi, że Hamas też nie chce pokojowego rozwiązania. Czy ostrzeliwanie rakietami terytorium Izraela nie szkodzi sprawie palestyńskiej?

– Trzeba być świadomym, że na każdą akcję jest reakcja. W dalszym ciągu Izrael jest okupantem. Skoro tak, to my mamy prawo do obrony.

Jeśli ktoś uważa, że takie prawo ma wyłącznie Izrael, to jest ślepy. Izrael może wygrywać wojny przy użyciu całego swojego arsenału. Ale czy to rozwiąże sprawę? Absolutnie nie. Gdyby tak działał świat, to przecież na mapie nie byłoby Polski po 123 latach zaborów. Czy Polacy wtedy zniknęli i przestali myśleć o swojej suwerenności? Czy jest jakiś naród, który zaatakowany się nie bronił? Dzisiaj proces pokojowy nawet nie stoi w miejscu – wręcz przeciwnie, cofamy się. Nie chcę powiedzieć, że tylko my. Izraelczycy też tracą już nadzieję. Najwyższy czas, by nasze narody patrzyły w przyszłość, a nie

► tylko przechodziły z jednej rundy przemocy do drugiej.

Negocjacje pokojowe między Palestyńczykami a Izraelem trwały do 2014 r., kiedy powstał rząd jedności Fatahu i Hamasu. Potem Izrael zerwał rozmowy, twierdząc, że nie będzie negocjował z rządem, w skład którego wchodzi Hamas. Jaka jest więc przyszłość procesu pokojowego?

– Izrael negocjuje dla negocjacji, a nie dla rozwiązań. Nie potrzebuje żadnych pretekstów, takich jak rząd jedności narodowej. Czy myśli pan, że obecny rząd Izraela nam sprzyja? Albo czy sprzyjał nam poprzedni?

Czy my możemy zaprotestować przeciwko obecności w izraelskim rządzie fanatyków, którzy wprost mówią o śmierci Palestyńczyków? Nie! Ale dialog z Izraelem prowadzimy. To nie jest dialog z przyjacielem. Z przyjaciółmi można rozmawiać o poprawie stosunków gospodarczych czy innych. Z wrogiem rozmawia się, by rozwiązać problem. Palestyna nie ingeruje w to, jaki rząd został wybrany w Izraelu, ale wciąż jesteśmy pod okupacją Izraela, dążymy do suwerenności i konieczny jest dialog, który do tego doprowadzi.

Niedawno miały się odbyć wybory, lecz zostały zawieszone, dopóki Izrael nie wyrazi zgody, by zgłosiło w nich 330 tys. Palestyńczyków z Jerozolimy Wschodniej. Czy było to celowe działanie, bo obawiał się, że w wyborach zwycięży Hamas?

– Izrael zawsze używa różnych pretekstów do ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy. Dlaczego Izraelowi wydaje się, że może to robić? Ponieważ jest okupantem? Czy Palestyńczycy ingerują w wybory w Izraelu lub w Stanach Zjednoczonych? W USA w 2016 r. wygrał Donald Trump, najbardziej wrogi Palestyńczykom amerykański prezydent i największy sojusznik Beniamina Netanjahu. Czy mówiliśmy wtedy, że nie będziemy rozmawiać z Amerykanami

lub że nie szanujemy wyniku wyborów? Wręcz przeciwnie, prezydent Abbas spotkał się w Betlejem z Donaldem Trumpem, ale przestaliśmy go uważać za partnera w dialogu na rzecz pokoju, kiedy zaczął eliminować z rozmów najważniejsze sprawy – Jerozolimę, uchodźców. To tylko pretekst Izraela, by uniknąć wykonywania swoich zobowiązań w procesie pokojowym.

Dlaczego więc tak postępuje?

– Mogłbym o to zapytać stronę izraelską. Ale powiem, że obecna koalicja w Izraelu nie jest partnerem do pokojowego dialogu

Najwyższy czas, by narody palestyński i izraelski patrzyły w przyszłość, a nie tylko przechodziły z jednej rundy przemocy do drugiej.

i budowy przyszłości. Wie pan, ile fabryk zostało teraz zburzonych w Gazie? Ile bloków mieszkalnych? Zniszczyli infrastrukturę, kanały wodne. Izraelczycy powinni zrozumieć, że ich premier jest jak Neron. Gotowy podpalić nie tylko Palestynę, ale także region i Izrael, żeby tylko uniknąć skazania.

Mówi pan o tym wszystkim w taki sposób, jakby głównym winowajcą upadku procesu pokojowego był Benjamin Netanjahu.

– Na Netanjahu w czasie jego rządów wspieranych przez USA nie wywierano nigdy presji, by realizował porozumienia z Oslo. Odkąd zamordowano premiera Icchaka Rabina, nic się nie poprawiło. Rozmawialiśmy z Izraelczykami, ale oni chcieli jedynie rozmów, nie podjęli żadnych działań. Dlatego podkreślamy zawsze, jak ważna jest aktywność społeczności międzynarodowej, jej nacisk na okupanta.

Mówi się, że Ehud Barak zaofiarował Palestyńczykom 97% żądanych terytoriów, lecz Jasir Arafat odrzucił propozycję.

– Przecież o tym cały czas rozmawiamy, że Izrael chce dialogu

dla dialogu, bez konkretnych rozwiązań – i tak właśnie było wtedy. Z premierami Barakiem i Olmertem prowadziliśmy negocjacje, jednak to, co zostało ustalone, nie zostało przedstawione w formie możliwej do realizacji. W Izraelu każdy premier zaczyna od zera i my jesteśmy na to skazani, skoro Izraelczycy nie szanują własnych wcześniejszych uzgodnień. Palestyna jest cały czas gotowa do dialogu, ale tylko na bazie konkretnych. A dzisiaj Izrael szuka takich rozwiązań, byśmy byli w całości od niego uzależnieni – ekonomicznie, geograficznie i militarnie.

Na podstawie porozumień z Oslo przy punktach granicznych powinna być policja palestyńska, która była tam do roku 2002, a teraz jej nie ma. Za to izraelskie wojsko ochrania fanatyków, którzy atakują palestyńskie miasta i wsie. Co więcej, żołnierze mogą strzelać do Palestyńczyków przy punktach kontrolnych. I zawsze znajdą na to wytłumaczenie. A jeśli Palestyńczyk spowoduje kolizję drogową samochodem z izraelską rejestracją, jest to traktowane jak działanie terrorystyczne. Niech Izrael odpowie, ilu izraelskich cywilów zabili z tego powodu.

Wierzy pan, że Palestyńczycy będą mieli własne państwo?

– Proszę pana, gdybyśmy stracili nadzieję, już by nas nie było. Nie wolno tracić nadziei. Za to trzeba pracować na rzecz rozwiązania problemu, po to by stworzyć suwerenne, stabilne, rozwijające się państwo z Jerozolimą jako stolicą. Chcemy wykonywać swoje obowiązki i otrzymać swoje prawa członka społeczności międzynarodowej. Żebyśmy mogli do tego dojść, trzeba zatrzymać masakrę na naszym narodzie. I mówię to nie tylko dlatego, że jestem Palestyńczykiem. Czytajcie to, co piszą Izraelczycy, co mówią. Pierwsze rezolucje dotyczące podziału tej ziemi stanowiły, że warunkiem powstania Izraela jest powstanie niepodległej Palestyny. Izrael wykonał połowę tej rezolucji, mówiącą o powstaniu Izraela, ale wciąż nie szanuje praw Palestyńczyków.

Jakub Katulski

Leopold Dzikowski, pamiętamy!

Przed rokiem, 5 czerwca 2020 r., pożegnaliśmy Leopolda Dzikowskiego, wybitnego fotoreportera, laureata najważniejszych nagród dziennikarskich, w tym World Press Photo i Interpress Foto. Wielu z nas znało Go jeszcze ze „Sztandaru Młodych”, potem bliski Mu był „Przegląd”. Miał niepowtarzalny styl i wielką klasę.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Polska: azyl nie, CIA tak

Po pierwsze: uwolnić Romana Protasiewicza i wszystkich pozostałych zatrzymanych, uwięzionych i uwięzione z powodów politycznych w Białorusi. To oczywiste. Podobnie jak wszystkich więźniów sumienia na całym świecie.

Po następne: hipokryzją byłoby zdumiewać się hipokryzją polityków, w tym wypadku polskich. Uporządkujmy trzęsienie ziemi wokół przymusowego lądowania (powtórzę: przymusowego lądowania, nie żadnego porwania, którego to słowa pełno w polskich mediach) samolotu Ryanairu w Mińsku. W konsekwencji najprawdopodobniej sfingowanego lądowania z powodu bomby na pokładzie służby Łukaszenki zatrzymały Romana Protasiewicza, 26-latkę, byłego redaktora naczelnego opozycyjnego kanału Nexta prowadzonego w komunikatorze Telegram, który relacjonował protesty antyrządowe. Protasiewiczowi grozi co najmniej wieloletnie więzienie. W Polsce cała klasa polityczna zakrzyknęła z oburzenia jednym głosem. I powiedziałbym: słusznie, gdyby nie to, że ten protest należałoby może skierować najpierw przeciw sobie samym – Polska odrzuciła wniosek Protasiewicza o azyl polityczny. Obejmując go, może tak, może nie, jakąś „ochroną” polskich służb wywiadowczych. Ile warta ta osłona, właśnie obserwujemy.

Jednak nieudzielenie azylu i dzisiejsze ryki oburzenia to osobna kategoria zakłamania. Akurat status polskiego azylanta mógłby Protasiewicza osłonić – zaryzykuję taką tezę. Ale Polska nie lubi udzielać azylu, pomagać uchodźcom, wspierać uciekinierów politycznych, w ostatnich dekadach dowiodła tego bezspornie. Nie będę się zajmował decyzją samego Protasiewicza, który zaryzykował lot nad Białorusią, kiedy groźby Mińska wobec niego były głośno i publicznie artykułowane. Parę słów poświęcę natomiast polskim załganym politykom i mediom.

Bezprecedensowe porwanie samolotu, akt terroru państwowego, bezprzykładny atak na obywateli Unii Europejskiej itd. – te frazy królowały. I tu odwracam się od biurka i sięgam po książkę napisaną przez Edwarda Snowdena, który, będąc wysoko postawionym pracownikiem CIA i NSA, budującym zręby cyfrowego mechanizmu globalnej inwigilacji całego świata przez służby amerykańskie, został sygnalistą i postanowił ujawnić niezależnym mediom (m.in. współpracującemu z brytyjskim „Guardianem” Glennowi Greenwaldowi i reżyserce dokumentalistce Laurze Poitras) dokumenty oraz skalę powszechnej inwigilacji. Zrobił to w Hongkongu. Już tam doszło do nieudanej próby uprowadzenia lub zabicia Snowdena przez amerykańskie służby specjalne, czemu przeszkadzili agenci chińscy. Snowden wystosował kilkadziesiąt próśb o azyl

polityczny. Może warto przypomnieć rechot zadowolonego z siebie ówczesnego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego, który w przerwie obrad rządu w obecności kamer chwalił się, że dał Snowdenowi odpór. „Słowiański”, dorzucił suchara Donald Tusk.

Kiedy Snowden planował lot do Ekwadoru, żeby dotrzeć do Wenezueli, która zaoferowała mu azyl – planował go bardzo świadomie. Obawiał się Polski („Nie byłem szczególnie zachwycony perspektywą przelotu nad Polską, która w trakcie całego mojego życia robiła wszystko, żeby zadowolić amerykański rząd. Gościła nawet tajne więzienia CIA, w których moi byli koledzy z wywiadu stosowali tzw. wzmocnione techniki przesłuchań, co jest eufemizmem z czasów Busha oznaczającym tortury”). Do Quito w Ekwadorze miał lecieć przez Moskwę, Hawanę i Caracas. Amerykański sekretarz stanu pozbawił go obywatelstwa i unieważnił jego paszport, gdy samolot był już w powietrzu. Kiedy więc Snowden miał międzylądowanie w Moskwie – wylądował już jako bezpaństwowiec. Na moskiewskim lotnisku spędził niemal miesiąc. Otrzymał potem azyl w Rosji i następnie prawo pobytu.

Amerykanie, zakładając, że będzie jednak próbował opuścić Rosję, podejrzewali, że może wykorzystać wizytę prezydenta Boliwii w Moskwie. Kiedy samolot Moralesa leciał nad Europą, udało im się wpłynąć na rządy Włoch, Francji, Hiszpanii

i Portugalii, żeby nie wpuścili prezydenckiej maszyny w swoją przestrzeń powietrzną. Samolot został zmuszony do lądowania w Wiedniu i mimo statusu eksteryto-

rialności, takiego, jaki ma np. ambasada, został przeszukany. Gdyby był tam Snowden – wylądowałby w amerykańskim więzieniu lub w jakiejś tajnej bazie CIA gdzieś w świecie, lub 2 m pod ziemią czy na dnie oceanu, a tak tylko upokorzono prezydenta Boliwii.

Czy ten akt terroryzmu państwowego został tak nazwany i potępiony w Polsce? Nie i nie.

Nie od dziś wiadomo, że terrorem nazywamy takie działania, których politycznych motywów nie dzielimy. Identyczne działania, ale „naszych”, to słuszna walka, godna wsparcia i solidarności.

Snowden ujawniał tajemnice amerykańskich władz w interesie społeczności globalnej, każdego z nas. Żyje do dziś, bo nie miał złudzeń, do jakich metod, żeby go uciszyć, posuną się USA. Nasz sojusznik, nasz przyjaciel. Nie rechotałem wtedy z Radkiem Sikorskim. Nie rechoczę i dziś.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Terrorem nazywamy działania, których politycznych motywów nie dzielimy. Identyczne działania, ale „naszych”, to słuszna walka.

Rozmawia Bartosz Rumieńczyk

Zburzyć mury

Wokół obozów dla uchodźców w Grecji budowane są betonowe ogrodzenia

W obozach na półwyspie greckim na rozpatrzenie wniosku o azyl czeka 16,5 tys. osób, do tego doliczyć należy ponad 42 tys. na wyspach, z czego Lesbos i obóz Moria są postrzegane jako wyrzut sumienia Europy. Oburzenie aktywistów wzbudziły plany otaczania części obozów betonowymi murami. Wśród protestujących znalazła się Janina Ochojska, szefowa PAH i europarlamentarzystka. Wraz z Anną Alboth, aktywistką działającą na rzecz mniejszości oraz pomysłodawczynią Marszu dla Aleppo, nominowaną za to do Pokojowej Nagrody Nobla, odwiedziła obóz dla uchodźców Ritsona.

Za wami długi i intensywny wyjazd. Co wiemy o budowie murów wokół obozów dla uchodźców?

Janina Ochojska: – Informacja o tym, że wokół obozów dla uchodźców budowane są mury, trafiła najpierw do Anny Alboth. Niewiele więcej wiedzieliśmy, więc od razu podjęliśmy decyzję, że trzeba jechać na miejsce i sprawdzić, co się dzieje, oraz spróbować doprowadzić do zatrzymania budowy.

Anno, a jak ta informacja dotarła do ciebie?

Anna Alboth: – Od rezydentów obozów, czyli od samych uchodźców, co było o tyle szokujące, że ani aktywiści w Grecji, ani lokalni dziennikarze piszący o migracjach nic o tym nie wiedzieli.

JO: – Zresztą sami uchodźcy też nic nie wiedzieli, zostali zaskoczeni. Pewnego dnia przyjechały buldożery i ruszyły prace. I nawet wtedy nikt nie wyjaśnił, ani kto tę budowę zlecił, ani po co.

O zdanie też nikt mieszkańców obozów nie pytał?

JO: – Nie, a przecież to byłby i wyraz szacunku, i próba osiągnięcia jakiegoś kompromisu.

AA: – I myślę, że wtedy odbiór tego pomysłu mógłby być nieco inny. **W obozie Ritsona, który otaczany jest trzymetrowym murem, zorganizowałyście konferencję prasową. Parwana Amiri, 17-letnia uchodźczyni i aktywistka, powiedziała: „Nie chcemy być niewidzialni”.**

JO: – Trudno cokolwiek dojrzeć przez taki mur, więc ci, którzy się za nim znajdują, będą coraz bardziej niewidzialni. Nikt nie będzie wiedział: ilu

ich tam jest, w jakich warunkach żyją, kim są. Uchodźcy zadali nam bardzo zasadne pytanie: od kogo ludzie odgradzają się murami?

Od wrogów albo od przestępców.

JO: – Właśnie takich skojarzeń ludzi w Ritsonie się obawiają.

AA: – Dokładnie tak wygląda polityka wobec uchodźców w ciągu ostatnich trzech lat w Europie. Robi się wszystko, by odsunąć ich gdzieś na bok, schować i pozbyć się wyzwania z nimi związanych. Wydaje się, że celem miałyby być integracja i wspólne, dobre życie, a taka polityka chowania przynosi odwrotny efekt.

Dlaczego Europa uważa uchodźców za problem? Ludzie muszą oczekiwać nawet trzy lata na wydanie decyzji, czy otrzymają azyl, czy też będą deportowani.

JO: – Niestety, politycy wykorzystują uchodźców do swoich celów. Mówią, że są zagrożeniem, przyniosą choroby i robactwo, straszą, że gdy ich przyjmimy, nasze dzieci nie będą mogły chodzić bezpiecznie do szkoły.

Co słyszeliśmy w kampanii wyborczej w 2015 r.

JO: – I PiS wygrało tę kampanię, bo ludzie z powodu strachu przed tym wymaginowanym zagrożeniem ich poparli. Ale nie dziwię się, że się boją. Przecież uchodźców nie znają i nie mają nawet szansy poznać. Dlatego tak łatwo było przeforsować też o nieprzyjmowaniu uchodźców, a kierowaniu pomocy na miejsce. Owszem, ta pomoc jest bardzo ważna, ale – po pierwsze – nie zamiast, a po drugie – my tak naprawdę na miejscu nie pomagamy. Ten rząd jest mistrzem w tworzeniu pozorów.

Temat uchodźców w polskiej debacie politycznej w zasadzie zniknął, dziś nie widzimy tzw. kryzysu uchodźczego, a Europa zaczęła mówić głosem Węgier czy właśnie Polski i wstrzymała relokację.

JO: – O tym też rozmawiałam z ministrem ds. migracji, Notisem Mitarachim. Przyznałam, że mam poczucie

winy, ponieważ my uchodźców nie przyjęliśmy. I że Grecja czy Włochy mają problemy z finansowaniem pobytu uchodźców także z naszej winy.

AA: – A pan minister powiedział, żebyśmy wzięły Ritsonę do Polski.

I trudno mu się dziwić, skoro reszta Europy nie okazuje solidarności.

AA: – Nie zapominajmy, że Grecja jest w trudnej sytuacji gospodarczej.

JO: – Powiedzieliśmy, że bardzo chętnie. 3 tys. uchodźców? A co to za problem dla Polski? Mitarachi mówił też, że jak słyszy o europejskiej solidarności, to mu ręce opadają. „W geście solidarności wysłamy wam czterech lekarzy”, ironizował. „Albo dwa namioty. Ja dziękuję za taką solidarność, ja potrzebuję 4 tys. lekarzy”.

AA: – „I pieniędzy, żeby mogli pracować dwa lata”. I ja się z nim zgadzam. Rozwiązaniem sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Grecja, jest powrót do projektu relokacji, czyli do tego, na co kraje europejskie zgodziły się w 2015 r.

JO: – Niestety, niemal nikt, w tym rząd polski, nie chce o tym słyszeć.

Wasza wizyta w obozie to także wsłuchanie się w głos mieszkańców oraz zanieśenie tego, co mówią, wyżej. Uchodźcom nikt nie wyjaśnił, dlaczego mury są stawiane, a to dla nich ważne. A jak wam ministerstwo tłumaczyło tę decyzję?

JO: – Bardzo prosto: że trzeba zapewnić bezpieczeństwo samym uchodźcom oraz zachować nad obozami większą kontrolę.

Dlaczego akurat mury, a nie siatki?

AA: – Bo siatki są przecinane – i faktycznie tak jest – ale sam argument, że mury są stawiane dla uchodźców, jest nietrafiony.

Dlaczego?

AA: – Bo uchodźcy myślą inaczej. Gdy ministerstwo podawało nam przykłady niebezpiecznych sytuacji z obozów: że gdzieś pojawił się pedofil, a w innym miejscu ktoś sprzedawał narkotyki, to przyznałam, że sama prosiłabym o ochronę. Tylko jak to jest,



JANINA OCHOJSKA I ANNA ALBOTH

że wśród setek ludzi, z którymi rozmawiałam, nikt mi nie powiedział, że chce takich murów w ramach ochrony?

Wśród mieszkańców obozów dochodzi do sytuacji niebezpiecznych, są też pospoliccy przestępcy, ale otaczanie murem to jak stosowanie odpowiedzialności zbiorowej.

AA: – Niestety, jeśli będziemy traktować ludzi jak więźniów, to ludzie w więźniów się zmieniają.

JO: – Dla uchodźców najgorsze jest to, że skoro są trzymani za murem, to ludzie będą się ich bać.

AA: – Parwana, o której już wspominaliśmy, gdy pierwszy raz poszła do greckiej szkoły, bo jako jedna z nielicznych dostała ostatnio taki przywilej, przede wszystkim spotkała się ze strachem.

JO: – A co zrobiły greckie władze, by walczyć z tym strachem? Zamiast dać lokalnej społeczności szansę zapoznania się z uchodźcami, odseparowały ludzi od siebie, najpierw rozmieszczając obozy o kilka, nawet kilkanaście kilometrów od miast i miasteczek, a teraz budując mury.

Parwana Amiri pochodzi z Afganistanu i jest żywym zaprzeczeniem stereotypów, jakie narosły wokół uchodźców.

AA: – To wyjątkowa dziewczyna, ale w obozach jest mnóstwo wyjątkowych ludzi, tylko że mało kto ma szansę ich poznać. Choć są ludzie, którzy się załamują, hibernują na czas pobytu w obozie.

JO: – Zwłaszcza że prawie nie ma opieki psychologicznej, a ona jest tak samo ważna jak każda inna opieka medyczna.

AA: – Parwana wyszła z założenia, że nie może stracić czasu. Mieszkając jeszcze w namiocie w Morii, nauczyła

To są mury budowane za unijne pieniądze.

się niemieckiego. W Ritsonie, gdzie skupiła wokół siebie niewielką społeczność, postanowiła założyć szkołę, a że nie wiedziała, jak to zrobić, zapisała się na kurs Uniwersytetu Harvarda online. Parwana cieszy się olbrzymim szacunkiem społeczności obozu. Ludzie widzą, że ta dziewczyna robi to, co powinien robić zarząd obozu.

AA: – Gdy wybuchła pandemia, to ona informowała mieszkańców, co to jest koronawirus i jak przed nim się chronić. Zatrudniła dzieciaki, które wymalowały w różnych językach plakaty i porozwieszały je w obozie.

Janina Ochojska i Anna Alboth z aktywistką Parwą Amiri w obozie Ritsona.

I takich Parwan jest w obozach dużo, tylko że nie mają szans rozkwitnąć, gdy całymi dniami muszą wystawać w kolejce po jedzenie.

Co zrobić, by nie zmarnować potencjału takich osób?

JO: – Wspierać je i pamiętać, że kiedy wyjdą z obozu, będą szukać dla siebie miejsca. I wtedy trzeba takich ludzi przyjmować. Napiszę raport posumowujący całą wiedzę, jaką zebraliśmy na miejscu, i przedstawię go jak najszerszemu gronu europarlamentarzystów oraz Komisji Europejskiej. Nagraliśmy też specjalne wideo dla pani Ursuli von der Leyen z prośbą o wizytę. Będziemy monitorować sytuację na miejscu. Minister obiecał nam, że dzieci pójdą we wrześniu do szkoły, przyjedziemy więc, by to sprawdzić.

A budowę tych murów da się zatrzymać?

JO: – Obawiam się, że powstają zbyt szybko. Chcę, by do europarlamentarzystów i KE, a także do obywateli dotarła informacja o tym, co jest finansowane z publicznych pieniędzy, bo wreszcie udało nam się potwierdzić, skąd pochodzą środki na budowę.

AA: – To są mury budowane za unijne pieniądze, potwierdzili nam to i minister, i szef IOM, Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji. Dowiedzieliśmy się też, że obozy nie będą otwarte 24 godziny na dobę, tak jak teraz. Co prawda, uchodźcy będą mogli je opuszczać, ale pod kontrolą. I, co ważne, nie będą mogli przyjmować gości. Mogę tylko się domyślać,

że również dziennikarzom będzie trudno do takiego obozu wejść. Na obecną chwilę mury mają powstać wokół czterech obozów. Łącznie w Grecji na kontynencie takich obozów jest 30. Słyszeliśmy o kolejnych przetargach, ale na razie nie mamy więcej informacji.

JO: – Będziemy tego tematu pilnować. A europarlamentarzyści będą musieli odpowiedzieć sobie na ważne pytanie: czy takie działania są zgodne z wartościami Unii Europejskiej?

Trzy kobiety miesięcznie

Austria jest jedynym krajem w UE, w którym kobiety stanowią większość ofiar morderstw

Beata Dżon-Ozimek

Korespondencja z Wiednia

Nadine z Dolnej Austrii umiera po miesiącu walki o życie. Były chłopak skrupował ją i podpalił w jej sklepiu tytoniowym. To siódma ofiara kobietobójstwa w Austrii w 2021 r. Kobieta z Neulengbach w Dolnej Austrii wykrawała się na śmierć w nocy w domu – ósma ofiara, partner poderżnął jej gardło. 35-latka umiera od ran postrzałowych zadanych w jej mieszkaniu w wiedeńskiej dzielnicy Brigittenau, to dziewiąta kobieta zabita przez (byłego) partnera w tym roku. Do 12 maja jest już 14 ofiar kobietobójstwa. Najczęstszy motyw – zemsta z zimną krwią. Rok 2020 przyniósł niespodziewany kryzys pandemii i izolację – pomoc stała się trudniej dostępna, wymuszone przebywanie w sytuacjach psychicznej zależności dłuższe, przemoc wobec kobiet nasiliła się. W Austrii, w Europie i na świecie, bo przemoc wobec kobiet to zjawisko globalne.

Austria jednak, według danych Eurostatu, jest jedynym krajem w Unii Europejskiej, w którym kobiety stanowią większość ofiar morderstw. Mimo że w liczbach bezwzględnych ofiar przemocy domowej znajduje się gdzieś pośrodku statystyk. Najwięcej zabójstw kobiet odnotowano tu w 2018 r. – 41 ofiar, co stanowiło wówczas przeszło dwukrotny wzrost w porównaniu z rokiem 2014. W 2020 r. na 54 zamordowane osoby 31 to kobiety. W ostatnich 10 latach liczba zamordowanych kobiet zawsze, poza rokiem 2015, była wyższa niż mężczyzn.

Nie ma co się cieszyć z faktu, że w pandemicznym roku 2020 liczba ofiar kobietobójstw spadła, a liczba kobiet szukających pomocy w instytucjach ochrony przed przemocą zmniejszyła się o prawie 10%. Autonomiczne Austriackie Schroniska dla Kobiet tłumaczą, że kobiety „były

bardziej narażone na kontrolę brutalnego partnera” i miały niewielkie możliwości szukania pomocy. Wola separacji i próba ucieczki wywołują ekstremalne reakcje partnerów. Już w kwietniu 2020 r. WHO alarmowała, że organizacje pomocowe zgłaszały ogromny wzrost liczby wezwań o pomoc. W Wielkiej Brytanii, Irlandii, Hiszpanii, Bułgarii i Belgii połączeń z telefonami pomocowymi było nawet 60% więcej. Potwierdziło to badanie Komisji Europejskiej w marcu br., rok po wybuchu pandemii – we Francji liczba zgłoszeń przemocy domowej zwiększyła się o 32%, a w Irlandii podczas roku nawet pięciokrotnie.

Anna Błuś jest badaczką w Amnesty International i zajmuje się przemocą wobec kobiet w „obszarze niewidzialnym”, w życiu prywatnym. Wskazuje, że przemoc domowa wobec kobiet nasiliła się w czasie kryzysu, ale wzrost liczb więcej mówi o dobrym systemie raportowania niż o faktycznej liczbie przypadków.

Ciche mordowanie kobiet

Dla kobiet na całym świecie to ich własne cztery ściany są najbardziej niebezpiecznym miejscem, powtarza Anna Błuś. Mapa zabójstw kobiet przedstawia Rosję, Brazylię, Meksyk, wiele krajów afrykańskich i Pakistan jako czerwone strefy zagrożenia. W Argentynie kobiety mordowane są co 30 godzin, w Austrii giną trzy na miesiąc. Jednocześnie nasilają się protesty, masowe demonstracje odbywały się w Turcji, we Francji, w Polsce, w Argentynie. Także w Wiedniu. Za każdym razem, gdy kobieta umiera z ręki partnera, przez miasto przechodzi marsz z transparentami: „Weź jedną z nas, a wszystkie odpowiemy!”. Na Karlsplatz w Wiedniu zesztoroczne ofiary wspominane były w głośnym rytuale: odczytywano ich imiona, datę i rodzaj zadanej śmierci. „Stop

kobietobójstwom! Nie zabijasz z miłości!”, skandowano, ktoś z aktywistów zapisywał na chodniku datę śmierci kredą. 7 kwietnia optakiwano inną ofiarę kobietobójstwa w Austrii. Matka czworga dzieci z Afganistanu została dźgnięta nożem przez męża w mieszkaniu w Grazu, dzieci były w szkole.

Do statystyk z 2021 r. dochodzą cztery próby zabójstw, które zakończyły się poważnymi obrażeniami kobiet. Młodzi socjaliści czy międzynarodowy ruch Claim The Space podejmują w przestrzeni publicznej takie akcje jak ta pod katedrą św. Szczepana. Na katafalku pod krwawymi prześcieradłami leży młoda kobieta. Obok niej plansza: „Najniebezpieczniejszym miejscem dla kobiety jest jej dom”. Niedługo później zabite zostają kolejne ofiary.

Elisabeth Scharang pracuje nad dokumentem o kobietobójstwach „Femicyd. Ciche masowe mordowanie kobiet”. Reżyserka, która bada temat w różnych krajach i kulturach, przyznaje w tygodniku „Profil”, że kobiety są mordowane przez mężczyzn na całym świecie z tych samych powodów: ponieważ są nieposłuszne, nie spełniają oczekiwań, chcą się rozstać lub dlatego, że członkowie ruchów ekstremistycznych „dają im nauczkę”. Co ciekawe, od początku kwietnia Szwecja, kraj o wysokich standardach równości praw, jest wstrząsana serią kobietobójstw. W ciągu kilku tygodni zamordowano pięć kobiet, wszystkie zginęły z rąk bliskich sobie mężczyzn.

Brudne suki

„Ty mała, brudna suko” to tylko przykład zastraszających wiadomości, które otrzymała Sigi Maurer, przewodnicząca klubu parlamentarnego austriackiej partii Zielonych. Nadawca jest głównym podejrzanym w sprawie niedawnego kolejnego kobietobójstwa w Austrii, zastrzelenia 35-latki.



Demonstracja w Wiedniu upamiętniająca zamordowane kobiety, 3 maja 2021 r.

Straszenie i stalking w tym przypadku dotyczy młodej polityczki, broniącej także praw kobiet, ale bardzo często odnosi się do byłych partnerów i żon. Jak pokazują statystyki, ten rodzaj przemocy nasila się. Nietraktowanie poważnie gróźb przez policję prowadzi zaś wielokrotnie do ich realizacji. EIGE, Europejski Instytut ds. Równości Kobiet i Mężczyzn z siedzibą w Wilnie, stwierdza, że aż 70% cyberstalkingu uprawiają byli lub obecni partnerzy ofiar przemocy.

pochodzi z 2014 r. (Agencja Praw Podstawowych UE): 22% z 42 tys. ankietowanych kobiet z 28 krajów UE stwierdziło, że doświadczyło przemocy fizycznej lub seksualnej w związku. Potwierdzają to dane austriackie (Autonomiczne Austriackie Schroniska dla Kobiet): co piątą kobietę powyżej 15. roku życia dotknęła psychiczna lub seksualna przemoc, co trzecią – seksualne nadużycia, a co siódmą – stalking. 90% przemocowców to mężczyźni. Według szacunków ONZ

emocjonalną a fizyczną jest często bardzo cienka.

Zmienić rozumienie męskości

Josef Mock, dyrektor więzienia w Graz-Karlau, mówi tygodnikowi „Profil”, że z 38 osadzonych za kobietobójstwo lub jego usiłowanie obywatelami austriackimi nie jest dziwieńci. Trudno więc za mordercy na kobietach obwiniać jedynie imigrantów, jak wielu polityków by tego chcieli. – Promowanie „troskliwej męskości” może przeciwdziałać męskiej przemocy – mówi Erich Lehner z organizacji Praca na rzecz Mężczyzn, Chłopców i Ojców w Austrii (DMÖ), bo przemoc mężczyzn opiera się na toksycznym rozumieniu męskości. Inspirujące są modele społeczne przyjęte na Północy, na Islandii lub w Szwecji, która wraz z ruchem feministycznym w latach 60. wciągała mężczyzn do pracy rodzinnej, opieki nad osobami starszymi. Tu nikt nie wstydi się „troskliwej męskości”.

– Użycie męskiej siły nadal ma pozytywną wartość – podkreśla psychiatra, biegła sądowa Sigrun Rossmanith i dodaje: – Nie chcę wiedzieć, ile osób mówi, że „to jej się należało”.

Tymczasem rząd austriacki pod naciskiem opinii publicznej przeznaczyc na ochronę przed przemocą dodatkowe 24,6 mln euro, jak zapowiada minister ds. kobiet, Susanne Raab (ÖVP). Potrzeby wynoszą natomiast 228 mln euro.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Dla kobiet na całym świecie to ich własne cztery ściany są najniebezpieczniejszym miejscem.

Mimo wszystko Austria należy do krajów, w których ryzyko stania się ofiarą brutalnego przestępstwa jest niskie. Według Eurostatu to jedno z najbezpieczniejszych państw Unii, wskaźnik zabójstw wynosi ok. 0,5 na 100 tys. mieszkańców. Najwyższe wskaźniki mają kraje bałtyckie (Litwa i Estonia), Malta i Rumunia. Najniższe – Luksemburg i Irlandia. Seria kobietobójstw może zaś mówić coś o jakości pracy policji, ale także o słabej koncepcji przeciwdziałania przemocy. O tym, że nikt nie uczy mężczyzn, którzy stają się agresywni z powodu frustracji, jak sobie radzić z emocjami.

Przestępcami bowiem są najczęściej partnerzy lub inni członkowie rodziny, mówi Anna Błus. Jedno z nielicznych ogólnoeuropejskich badań na temat przemocy wobec kobiet

(2017 r.) codziennie na całym świecie 137 kobiet jest mordowanych przez ich (byłego) partnera lub innego członka rodziny. W Turcji, gdzie ogłoszono 10 lat temu konwencję stambulską o ochronie kobiet przed przemocą, z której zresztą prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan planuje się wycofać, zamordowano w 2020 r. 370 kobiet – więcej niż jedną dziennie. A to prawdopodobnie tylko część rzeczywistej liczby.

Konwencja stambulską jest pierwszym dokumentem międzynarodowym, który tworzy ramy prawne do zwalczania i zapobiegania przemocy wobec kobiet. 45 państw ją podpisało, a 34 ratyfikowały, w tym Austria i Polska. W praktyce wciąż jednak trudno ukarać za „brudną sukę”, a granica między przemocą werbalną,

Bartosz Konieczka

Po I wojnie światowej powstało wiele nowych państw, które utworzono na gruzach rozpadających się imperiów. Jednym z nich było Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców (SHS), które miało jednoczyć na zasadzie równouprawnienia narody południowosłowiańskie. Szybko się okazało, że wspólny twór państwowy służy wzmocnieniu wpływów politycznych dominujących Serbów, a dążenia innych narodów do autonomii w ramach SHS są przez nich tłumione. W odpowiedzi na zabójstwo w parlamencie w Belgradzie 20 czerwca 1928 r. trzech działaczy Chorwackiej Partii Chłopskiej, w tym jej lidera, Stjepana Radicia, król Aleksander I rozwiązał parlament i zawiesił obowiązywanie konstytucji. Oznaczało to kres demokracji i nastanie dyktatury.

W 1929 r. powstała sprzeciwiająca się serbskim rządów organizacja Ustaša – Chorwacki Ruch Rewolucyjny. Jej liderem był Ante Pavelić, były poseł do parlamentu SHS z ramienia Chorwackiej Partii Prawa. Zapowiadał on walkę o niepodległość Chorwacji, która miała być prowadzona przy użyciu wszelkich metod, także

Serbowie musieli nosić specjalne opaski z literą P, oznaczeniem wyznania prawosławnego.

terrorystycznych. Sprzymierzeńcami ustaszy w tej walce była Wewnętrzna Macedońska Organizacja Rewolucyjna (WMRO), której przewodził Iwan Michajłow.

Akcje terrorystyczne

Wśród ważniejszych akcji ustaszy wymienia się zabójstwo jugosłowiańskiego dziennikarza Antona Ślegla w 1929 r., zamachy bombowe, m.in. na koszary żandarmerii w Zagrzebiu z grudnia tegoż roku, próbę wzniecenia antyserbskiego powstania w Lice we wrześniu 1932 r. oraz dokonany wspólnie z WMRO zamach na króla Jugosławii Aleksandra I w Marsylii 9 października 1934 r., którego ofiarą padł również francuski minister spraw zagranicznych Louis Barthou. Zapewne wiele z tych akcji nie doszłoby do skutku, gdyby nie pomoc ze strony

Czystki etniczne, pogromy, okrucieństwo

Ludobójstwo ukraińskich i chorwackich nacjonalistów

dążących do rozbicia Jugosławii faszystowskich Włoch. To w ulokowanych we Włoszech obozach szkolili się ustasze. Instruktorami byli w nich m.in. Ukraińcy z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, w tym późniejszy autor planów akcji antypolskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, Mychajło Kołodziński.

Między proponowanymi przez ustaszy i ukraińskich nacjonalistów sposobami rozwiązania problemów narodowościowych widać wiele podobieństw. W 1932 r. Mijo Babić, jeden z wykonawców zamachu

będziemy mieli moralną przewagę podczas powstania, jeśli wykazemy się większym okrucieństwem wobec nich. Masa chce zemsty (...) i nie należy przeszkadzać jej (...) wezwaniami miłości bliźniego”.

Gdzie indziej Kołodziński pisał: „Nasze powstanie ma za zadanie nie tylko zmianę ustroju politycznego. Ono musi oczyścić Ukrainę z cudzego, wrogiego elementu i z niedobrego własnego. Tylko podczas powstania będzie okazja, aby wymieść dosłownie do ostatniej nogi element polski z ZUZ i w ten sposób skończyć z pretensjami co do polskiego charakteru tych ziem. (...) ZUZ w przyszłym państwie ukraińskim musi być czysty pod względem narodowym”. Autor „Doktryny wojennej ukraińskich nacjonalistów” zalecał też: „Wobec wrogiego elementu należy wykazać się takim okrucieństwem podczas powstania, aby jeszcze dziesiąte pokolenie bało się choćby popatrzeć w stronę Ukrainy, nie mówiąc już o ochocie dokonania jej podboju”.

Za ząb – głowa

Odnotowując podobieństwa tych tekstów, należy wskazać także różnice w ich genezie. Kołodziński tworzył „Doktrynę wojenną ukraińskich nacjonalistów” w okresie wymuszonego przez włoskie władze po zamachu na Aleksandra I i Louisa Barthou internowania w latach 1934-1937 ustaszy i ich instruktorów na Wyspach Liparyjskich. Nie był to zatem, jak sądzi Grzegorz Motyka¹, efekt wspólnego zastanawiania się nad przyszłym losem Serbów i Polaków przez ustaszy i członków OUN, raczej jednostronna

na Antona Ślegla, pisał: „Krew wroga zamieni się w strumienie i rzeki, a bomby rozproszą ich kości, jak wiatr rozprasza łuski pszenicy (...). Każdy ustasza jest gotowy do rzuca się na wroga swoim ciałem i duszą, do zabicia i zniszczenia go (...). Poświęcając rewolwery, bomby i noże chorwackich ustaszy, którzy oczyszczą i odetną wszystko, co zepsute, od zdrowego ciała chorwackiego narodu”.

Zapowiedzi przyszłych losów przedstawicieli narodu uznanego przez Babicia za wrogi (w tym przypadku Serbów) przypominają te, które Mychajło Kołodziński formułował wobec ludności polskiej z terenów uznawanych przez OUN za Ziemie Zachodnioukraińskie (ZUZ) – Wołynia i Galicji Wschodniej: „W powstaniu na pierwsze miejsce wysuwa się okrucieństwo i nienawiść. (...) Tylko wtedy



Ustaszowscy strażnicy z więźniami, obóz Jasenovac, 1941-1944.

inspiracja ideologią chorwackich nacjonalistów przez Ukraińców. Już bowiem w 1932 r. w organie prasowym chorwackich nacjonalistów „Ustaša” pisano: „Zobowiązanie ustaszy – oddać Belgradowi za wszystko. Ale nie równą miarą. Ustasze, zapamiętajcie – za ząb – głowę, za głowę – dziesięć głów. Tak mówi ustaszowska Ewangelia”. W innym numerze można znaleźć kolejne wezwanie do użycia przemocy: „Rewolucją, krwią i bronią należy obalić cudzoziemską tyranię i utworzyć Niepodległe Państwo Chorwackie. (...) Nóż, rewolwer, bomby i piekielne maszyny (...) zwrócić chłopu płody jego pracy, robotnikowi chleb, a Chorwacji wolność”.

Można zatem stwierdzić, że chorwacki ruch nacjonalistyczny był jednym z pierwszych, które już w okresie międzywojennym

planowały dokonanie ludobójstwa na przedstawicielach mniejszości narodowych. W okresie II wojny światowej zapowiedzi okrutnej rozprawy z Serbami zamieszkującymi terytorium Chorwacji mogły się spełnić w wyniku poparcia III Rzeszy i Włoch dla idei budowy chorwackiego państwa marionetkowego.

Ustasze objęli władzę na terytorium Chorwacji w kwietniu 1941 r., tworząc po niemieckiej inwazji i rozpadzie Jugosławii Niepodległe Państwo Chorwackie (Nezavisna Država Hrvatska – NDH). Powstanie chorwackich struktur państwowych niemal od początku związane było z uchwaleniem ustaw antysemickich i rozpoczęciem czystek etnicznych zwróconych przeciwko Serbom. Zostali oni zmuszeni do noszenia specjalnych, wzorowanych na tych przeznaczonych dla Żydów,

opasek z literą P, będącą oznaczeniem wyznania prawosławnego. Dla ludności serbskiej wprowadzono także godzinę policyjną. Były to przygotowania do fali przemocy, która wkrótce miała objąć obszar nowego państwa.

Oceniając działania podjęte wobec Serbów przez NDH, Tomasz Stryjek² zwraca uwagę na początkowo nieskoordynowany charakter aktów przemocy. Nie będąc pewnymi poparcia III Rzeszy dla antyserbskich akcji, ustasze nadali im w pierwszej ich fazie formę pogromów i zbiorowych egzekucji. Do pierwszych doszło w Gudovcu koło Bjelovaru (27-28 kwietnia 1941 r.), Hrvatskim Blagaju koło Veljuna (6-9 maja) i Glinie (11-12 maja) oraz w Koritach (3 czerwca). W niektórych miejscach, np. w Glinie, mordów dokonywano w cerkwiach, w czym Grzegorz Motyka widzi analogię pomiędzy czystkami etnicznymi dokonanymi przez NDH i działaniami UPA wobec Polaków. Podobieństwo to jest widoczne szczególnie w przypadku egzekucji dokonywanych przez oddziały tzw. dzikich ustaszy. Używano w nich siekier, noży czy pałek. 6 czerwca 1941 r. reżim Pavelicia uzyskał zgodę Hitlera na prowadzenie polityki narodowościowej określanej eufemistycznie jako nietolerancyjna. Oznaczało to swoistą legalizację czystek etnicznych. W reakcji na rezultaty spotkania Pavelicia z Hitlerem przez Chorwację przetoczyła się fala mordów. W dniach 25-27 czerwca 1941 r. niedaleko Banskiego Grabowca ustasze zamordowali 1,2 tys. osób w wieku od 16 do 60 lat. W nocy z 4 na 5 lipca 1941 r. w okolicy miejscowości Korytnica przeprowadzono egzekucję ▶

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

MORDERSTWA, GWAŁTY I RABUNKI!

ZAMIAST PRAWDY

GLORYFIKACJA

„ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH”

PAKIEŃ 150 ZŁ

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

WYKŁĘCI NIE ŚWIĘCI

44 zł

46 zł

45 zł

43 zł



www.sklep.tygodnikprzełom.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► 131 osób, które po rozstrzelaniu wrzucono do pieczary w pobliżu wsi. Wiele mordów miało niezwykle okrutny charakter: w Goliczewie Serbów wiązano drutem i wrzucano do Driny; 331 zamordowanych w Otoczaku zarąbano siekierami, po tym jak ofiary wykopały sobie rów, w którym miały spocząć ich ciała.

Dla Serbów, Żydów i Romów oraz tych spośród uznanych za pełnoprawnych obywateli Chorwatów i muzułmanów, którzy sprzeciwiali się panującemu w NDH porządkowi, władze chorwackie utworzyły sieć ok. 20 obozów koncentracyjnych i ich pomniejsze filie. Chorwackie władze zezwalały na stosowanie przy deportacjach do obozów odpowiedzialności zbiorowej, co skutkowało osadzaniem w nich całych rodzin. Najmroczniejszą sławą otoczony był obóz w Jasenovacu.

Chorwackie Auschwitz

W chorwackim Auschwitz, jak trafia nie określany jest w Polsce Jasenovac, stosowano wymyślne tortury. Na przykład nocą z 28 na 29 sierpnia 1942 r. strażnicy obozowi urządzili zawody polegające na podrzynaniu więźniom gardła z użyciem produkowanego w Niemczech ogrodniczego noża zakładanego na nadgarstek – potocznie nazwanego od podobnych praktyk ustaszy srbosjkiem. Zwycięski strażnik obozowy Petar Brzica zabił 1360 Serbów, za co otrzymał butelkę wina, prosie i złoty zegarek.

Kolejną formą pozbywania się Serbów z terytorium Chorwacji były przymusowe wysiedlenia. Na mocy układu z III Rzeszą z 28 maja 1941 r. NDH zobowiązało się do przyjęcia z okupowanej przez Niemców Słowenii 170 tys. Słoweńców, którzy mieli zająć miejsce wypędzonych z Chorwacji Serbów.

We wrześniu 1941 r. niemieckie władze okupacyjne w Słowenii szacowały liczbę uchodźców serbskich z Chorwacji na 118 tys. osób, przy jednoczesnym przyjęciu przez Chorwację zaledwie 26 tys. Słoweńców. Kolejne 200 tys. Serbów uciekło do lata 1942 r. na wschód, w kierunku okupowanej Serbii.

Chorwaci przed terrorem narodowościowym ratowali się przechodzeniem na katolicyzm. Do końca wojny, według szacunków Tomasza

Stryjka, konwersja objęła od 60 do 240 tys. Serbów.

Chorwacki demograf Vladimir Žerjavić szacuje, że ogólna liczba jugosłowiańskich strat w okresie II wojny światowej miała sięgnąć ok. 1,03 mln osób, z czego 623 tys. miało stracić życie na terytorium NDH. W ocenie Tomasza Stryjka nie mniej niż połowa padła ofiarą chorwackich sił rządowych.

Zwycięski strażnik Petar Brzica zabił 1360 Serbów, za co otrzymał butelkę wina, prosie i złoty zegarek.

Mimo jaskrawo sprzecznej z podstawami ideowymi chrześcijaństwa polityki ustasze mogli liczyć na poparcie hierarchów Kościoła rzymskokatolickiego. Już w maju 1941 r. papież Pius XII przyjął Pavelicia na prywatnej audiencji w Watykanie i ponownie spotkał się z nim w 1943 r., mimo że wiedza o działaniach ustaszy była znana w Europie. Arcybiskup Sarajewa

Ivan Šarić mówił o Paveliciu niemal jak o boskim posłańcu. Dwuznaczną postawę zajął arcybiskup Zagrzebia Alojzije Stepinac. Z jednej strony, powitał on powstanie NDH z radością, popierając nową władzę i ułatwiając chorwackim nacjonalistom nawiązanie kontaktu z Watykanem. Z drugiej, już latem 1941 r. protestował przeciw zbrodniczej polityce narodowościowej

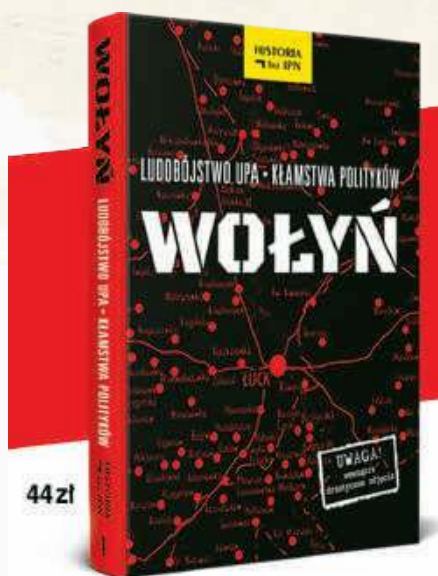
ustaszy. Znamienne jest to, że protesty te ograniczały się w zasadzie do wydawania drogą korespondencyjną nieznanym ogółowi Chorwatów oświadczeń z wyrazami zaniepokojenia.

Najbardziej znanym komendantem obozu koncentracyjnego w Jasenovacu był wyrzucony z zakonu za udział w mordzie na Serbach w wiosce Drakulić koło Banja Luki w lutym 1942 r. franciszkanin Miroslav Filipović-Majstorović. Byłego duchownego nazywano bratem szatanem ze względu na okrucieństwo, jakim wykazywał się wobec więźniów. Według ustaleń Fikrety Jelić-Butić w siłach zbrojnych ustaszy służyło 25 kapelanów, 11 brało udział w antyserbskich masakrach.

Po wojnie Watykan stał się ważnym kanałem przerzutowym dla chorwackich nacjonalistów, dzięki któremu mogli dotrzeć na zachód Europy lub do Ameryki Południowej, służył także ustaszom jako miejsce schronienia. Z pomocy Watykanu skorzystali m.in. Ante Pavelić, który nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie, czy Krunoslav Draganović, motor grabieży mienia zamordowanych Serbów, a po wojnie jeden z głównych organizatorów szlaków przerzutowych *via* Watykan do Ameryki Południowej.

Ruch ustaszy, w latach powojennych występujący pod nazwą Chorwacki Ruch Wyzwoleńczy, współtworzył sformowany przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów Antybolshewicki Blok Narodów (ABN), grupujący głównie środowiska radykalnie prawicowe o antykomunistycznym nastawieniu.

Bartosz Konieczka



Ofiary rzezi UPA i rehabilitacja zbrodniarzy



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieregulowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

¹ G. Motyka, *Wolyn '43*, Kraków 2016 [ebook].

² T. Stryjek, *Współczesna Serbia i Chorwacja wobec własnej historii*, Warszawa 2020.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Inteligentny idiotyzm

Jadwigę Staniszkis znam od wielu lat i lubię ją, ale nie wiem, co się z nią dzieje. Serdecznie popierała PiS i prezesa, potem zupełnie jej się odmieniło, mówiła straszne rzeczy o PiS i prezesie, cytuję: „PiS niszczy znacznie więcej, niż nam się wydaje. Nie tylko prawo, instytucje i gospodarkę. Niszczy tkankę społeczną”. Moja pełna zgoda. A teraz Jadwidze znowu się odmieniło, chociaż PiS znacznie pogłębiło destrukcyjne procesy, które tak dramatycznie krytykowała. W wywiadzie udzielonym „Newsweekowi” Staniszkis znowu pisowska. Zna prezesa, uważa go za geniusza politycznego, a też za człowieka uczciwego. Stawia diagnozę, że różne brutalności prezesa mają związek ze śmiercią brata, która go zdruzgotała. Staniszkis uważa, że PiS wygra następne wybory i jeszcze kolejne, co jej nie martwi. Mówi: „Mam nadzieję, że zwycięży wtedy wewnętrzne przekonanie Kaczyńskiego o własnej racji i sensie tego, co chce zrobić – uczynić z Polski kraj prawy i sprawiedliwy”. No pięknie, bez trójpodziału władzy, z edukacją zatrutą ideologią, z mediami przerobionymi na modłę „kurwizji”. Z inwazją konformistów, karierowiczów i fundamentalistów na wszystkie możliwe stanowiska. I ten radiomaryjny zaśpiew nad Polską, to parafialne, za-tęchłe myślenie z innej epoki. Staniszkis pociesza nas: „Opór wobec tego typu rządów paradoksalnie odbudowuje w ludziach poczucie obywatelskiego obowiązku”. To akurat może być prawda, ale tylko w ograniczonym czasie. Na tej zasadzie można chwalić stan wojenny. Poruszył polskie sumienia, oburzonych były miliony. Ale po kilku latach to zaczęło gnić. Także nasze oburzenie wobec PiS i niezgoda nie mogą trwać za długo, też zaczną podlegać degeneracji.

Od kilku miesięcy uparcie wołam w felietonach: Marian, trzymaj się! Czytam obszerny wywiad z Marianem Banasiem w „Dzienniku Gazecie Prawnej” (całkiem dobre pismo). Ujawnia w nim pisowskie metody: „Mariusz Kamiński zajmował się mną od 2018. Myślę, że zbierane są haki na każdego, na wszelki wypadek (...), więc w pewnym sensie to szef służb Mariusz Kamiński rządzi Polską. To on rozdaje karty. Jeśli ma się monopol na informację i można wobec każdego spreparować zarzuty, oskarżenia. (...) Zrozumiałem, że władza, cel partyjny są ważniejsze niż uczciwość, przyzwoitość ludzka”. Banaś sam siebie uważa za nieustraszonego, nie boi się, ale sądzi, że jego życie jest zagrożone, podobnie jak jego syna, bo mafia pisowska zawsze dobiera się do rodziny. Sprawdza koła samochodu, czy nie są odkręcone. Pirotechnicy od spodu lustrują jego pojazd. Przypominam,

że Marian Banaś to szef Najwyższej Izby Kontroli. I że Kaczyński uważał, że to kolejny pisowski geniusz, drugi Obajtek. A ten urwał się z łańcucha i chce postawić premiera przed sądem za kopertowe wybory.

Już wiemy, że cały ten Polski Ład jest podporządkowany elekcji PiS. Ktoś obliczył, że jeśli kwota wolna od podatku wzrośnie do 30 tys., jak obiecuje PiS, to więcej niż 10 mln ludzi przestanie płacić w ogóle podatki. To emeryci, renciści i zatrudnieni na płacy minimalnej. Czyli głównie elektorat PiS. Ukarana zostanie klasa średnia, elektorat opozycji. Te reformy są więc, jak mówi Ludwik Dorn, głosodajne. Przebiegły prezes uznał, że emeryci są bardziej głosodajni niż służba zdrowia i nauczyciele. Celem jest ulżenie elektoratowi PiS, a obciążenie wyborców opozycji. Ale jest też inny ukryty cel – pacyfikacja koalicjantów.

Z drobnostek codziennych i popandemicznych – z rozbawieniem obserwuję, jak ludzie przy spotkaniu wahają się: podać rękę czy nie podać, niepewni, czy już

Przebiegły prezes uznał, że emeryci są bardziej głosodajni niż służba zdrowia i nauczyciele.

można i jak zareaguje spotkany. A kiedyś tak trudno było nie podać ręki, gdy ktoś ją wyciągał. W normalnych warunkach witamy się przecież uściskiem dłoni nawet z ludźmi, których nie szanujemy, na których jesteśmy obrażeni. Niepodanie ręki jest jak uderzenie otwartą dłonią w twarz. Ja tylko raz w życiu nie uściśnąłem wyciągniętej ku mnie dłoni i czuję się paskudnie, jakbym unicestwiał człowieka.

Duży sklep z kwiatami. Wielki tłok, mimo że to było zaledwie południe zwykłego dnia. Ludzie wypuszczeni z klatek rzucili się kupować kwiaty. Nie kupujemy kwiatów, tylko środek na ślimaki i sznurek. Ten sznurek to, jak się zdaje, jedyna tania rzecz w tym drogim sklepie. Żona nie znosi ślimaków, bo niszczą rośliny. Ja mam do nich stosunek pobłażliwy, są rośliny i są ślimaki w przyrodzie. Nikt jeszcze nie wytępił ślimaków, bo one nałogowo się ślimaczą. Ja zresztą nie potrafię teraz zabić niczego, co żyje, oprócz komara i karalucha. A kilku polityków, kto wie?

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Pańszczyzna ma się dobrze

W zasadzie jesteśmy społeczeństwem biednych ludzi, chociaż każdy uważa się za klasę średnią

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Od ukazania się książki „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”, laureatki Nagrody Literackiej Nike 2020, minęło już trochę czasu. Z jakimi emocjami patrzysz na nią teraz?

– Kiedy kończę pisać książkę, najpierw czuję euforię i radość. A już chwilę później zaczynam widzieć niedociągnięcia. Jednocześnie mam świadomość, że pisałem ją szczerze i całym sobą, więc nie przesadzam z tą autokrytyką. Z książkami spędza się dużo czasu – dwa, trzy lata życia. Mogę powiedzieć, że czas pracy nad „Baśnią” zmienił mnie jako człowieka. Także odbiór książki pozwolił mi pewne rzeczy uświadomić sobie i przemyśleć.

Co to znaczy, że książka cię zmieniła?

– Zacząłem pisać „Baśń” w bardzo trudnym dla mnie okresie. Zostałem oszukany przez szefa w pierwszej pracy. Poczułem wtedy, jak to jest być kimś małym, kto nic nie może. To był punkt wyjścia do pisania powieści o chłopach pańszczyźnianych. W kolejnych dwóch latach dużo się zmieniło: przeprowadziłem się do Krakowa, przeszedłem drogę duchową, co też ma odzwierciedlenie w „Baśni”. Zacząłem zadawać pytania, dlaczego zostałem tak potraktowany, dlaczego w ogóle można potraktować tak człowieka. Starłem się odpowiedzieć na nie, patrząc raz z perspektywy ofiary, a raz oprawcy, i wchodzić w buty obu stron. Podobnie potraktowałem historię Jakuba Szeli. Postać ofiary budowałem na własnym doświadczeniu ze szkoły, studiów, pracy. Na tym, czego doświadczyli bliscy mi ludzie. Wyobrażałem sobie też, co to znaczy być oprawcą, co taka osoba czuje i co ją napędza.

W książce na pograniczu powieści historycznej, baśni i fantastyki



RADEK RAK

– pisarz, lekarz weterynarii.

Za powieść „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” otrzymał Nagrodę Literacką Nike 2020

zonglujesz tożsamościami. Patrzymy na świat raz oczyma pańszczyźnianego chłopca Szeli, raz jego pana Wiktoryna Bogusza. Oni obaj również zamieniają się perspektywami.

– Zawsze lepiej patrzyło mi się z perspektywy tego, który jest na dole, bo sam nigdy przesadnie nie byłem na górze w stosunkach społecznych. W zasadzie jesteśmy społeczeństwem biednych ludzi, chociaż każdy uważa się za klasę średnią, czy to moja przyjaciółka farmaceutka z 20-letnim kredytem mieszkaniowym, czy państwo prowadzący od 1989 r. warzywniak, który mijam w drodze do pracy, czy moi rodzice – małomiasteczkowa inteligencja. Dla mnie klasą średnią byli moi koledzy z podstawówki, którzy mieszkali w domach

na przedmieściu i kupowali sobie wszystkie książki, które chcieli. A to w moim życiu było problematyczne, bo zawsze brakowało pieniędzy. Nie uważam się za klasę średnią, chociaż dzięki „Baśni” nastał w moim życiu okres względnej stabilizacji.

Dzięki „Baśni” jesteśmy w stanie zrozumieć obie strony. A nawet polubić.

– Jako autor rozumiałem Wiktoryna Bogusza, ale bardzo go nie lubiłem. Pierwszy raz tak mi się zdarzyło. Dotychczas miałem wrażenie, że moje postacie nie są szczególnie paskudne, chociaż były ułomne.

Na ile twój brak sympatii dla Bogusza wynika z tego, że jest to postać historyczna? Widzimy w nim prawdziwego pana uciskającego chłopów.

– Czytelników, których będzie interesowała relacja rodziny Boguszków z należącymi do niej chłopami, odsyłam do książki Tomasza Szuberta „Jak(ó)b Szela”, jednego ze źródeł informacji historycznych, z których korzystałem. Już przed pracą badawczą wiedziałem, że chłop na wsi galicyjskiej miał przerąbane, ale nie miałem świadomości, że aż tak. Publicyści prawicowi mówią często, że chłop wcale nie miał tak źle, bo przecież na tych ziemiach istniały przepisy normujące ich sytuację, których nie było np. w Bawarii. Problem polegał jednak na tym, że przepisy były przestrzegane tylko wtedy, kiedy jaśnie pan miał takie życzenie i dobrą wolę. Jeżeli jaśnie pan miał prawo w nosie, a co więcej, dobre kontakty ze starostą, do którego chłopci mogli się odwołać, to prawo było czystą fikcją. Nadużycia szlachty wobec chłopów opisane w książce to prawda. A raczej jej wycinek. I tak miałem wrażenie, że nikt mi nie uwierzy w opisane okrucieństwa.

To były bardzo poruszające fragmenty. Czytałem w wywiadzie, jak wprost nazywasz ówczesne relacje chłopów-dwór niewolnictwem. Mam

jednak wrażenie, że ten obraz nie przebija się do świadomości społecznej.

– Po pierwsze, dlatego że fajniej jest się uznawać za potomków panów i rycerzy niż niewolników. Po drugie, brakuje głosu chłopskiego w literaturze popularnej. Oczywiście mamy Wiesława Myśliwskiego, mamy Tadeusza Nowaka, ale jaki procent społeczeństwa ich czyta? Literatura popularna opowiada o szlachcie i mieście. Po raz pierwszy z książkami o polskiej prowincji zetknąłem się w gimnazjum, czytając Andrzeja Pilipiuka, do którego mam mieszane uczucia. Gorąco polecam za to „Trylogię husycką” Andrzeja Sapkowskiego, czyli wspaniały historyczny epos antybohaterski. Sam, pisząc „Baśń”, chciałem stworzyć fajną literaturę środka, która oddaje głos komuś, kto dotąd go nie miał. Szczególnie że świadomość chłopska ma na nas wpływ do dzisiaj. Oczywiście nie w przełożeniu jeden do jednego, ale myślę, że prekariat jest wariacją na jej temat. Teraz mamy ciepłą wodę w kranie, jesteśmy bardziej umyćci i mamy zdrowsze zęby niż nasi przodkowie. Mam tylko nadzieję, że nigdy nie stawiałś przed wyborem, czy zapłacić rachunek za internet, czy iść do dentysty.

Jestem freelancerką, więc wiesz, jak jest.

– I dlaczego o tym się nie pisze literatury? Brakuje mi w polskiej popkulturze książek, które poruszałby ten temat. Moim zdaniem to ciągle kontynuacja tego samego ze

względem literatury wydaje mi się, że warto obserwować, co się dzieje w innych krajach. Amerykanie mają teraz dużo dobrej fantastyki pisanej przez osoby pochodzenia afrykańskiego tematyzujące swoją sytuację. Każdy tom „Trylogii Pękniętej Ziemi” autorstwa Nory K. Jemisin otrzymał prestiżową nagrodę Hugo. A opowieść ta wyrasta bezpośrednio z perspektywy niewolniczej. Pojawia się tam grupa osób przetrzymywanych w getcie ze względu na swoją odmienność. Na Zachodzie powstaje

Miałem wrażenie, że nikt mi nie uwierzy w opisane okrucieństwa szlachty wobec chłopów.

dużo tego rodzaju literatury. Dlatego ona nie powstaje u nas, jest dla mnie czymś niepojętym. I tak myślałem, że coś zaczyna się przełamywać w polskiej fantastyce. W ubiegłym roku ukazała się bardzo fajna książka Jakuba Bielawskiego „Dunkel”. To historia tego, co działo się na Ziemiach Odzyskanych zaraz po zakończeniu II wojny światowej, opowiedziana z perspektywy ludzi biednych, bo przecież innych wtedy nie było. Książka jest przejmująca, a przy okazji napisana świetnym językiem.

Książką z tego nurtu jest twoja „Baśń”.

– Kiedy ją pisałem, nie miałem aż takich ambicji, bo byłem święcie przekonany, że to książka, którą przeczyta 2 tys. osób w fandomie. Takich, które jeżdżą regularnie na konwenty.

To, co potem z nią się stało, ogromnie mnie zdziwiło. Pisałem, żeby pewne rzeczy z siebie wyrzucić. Gdybym wiedział, że coś takiego mi grozi, pewnie

napisałbym książkę inaczej, a gdybym napisał inaczej, może nie zostałaby zauważona.

Jej sukces pokazuje, że czytelnik jest złakniony narracji chłopskich.

Bo popatrz na samego Szelę – postać idealnie skrojona pod literaturę, a w powieści nikt się nim na poważnie nie zajmował.

– Wszyscy go znamy jako upióra z „Wesela”. Pojawił się także w dramacie „Turoń” Stefana Żeromskiego. Generalnie istnieją trzy narracje o Szeli: czarna szlachetka, biała chłopska, która jest w tym

momencie czymś bardzo relikto-
wym, i austriacka, o której już nie pamiętamy. Opowiadania o Szeli pisała na przełomie XIX i XX w. Marie Freifrau von Ebner-Eschenbach. Bardzo wiernie zostały w nich opisane relacje w trójkącie dwór-chłopi-cyrkuł. Narracja austriacka to też dla nas powód do wstydu, bo przypomina, że wolność i reformy zmieniające status chłopów zostały wprowadzone dopiero przez zaborcę – monarchię habsburską. Wcześniej mówiono, że zniesienie pańszczyzny

jest niemożliwe, że cała gospodarka nam się rozsypie, a chłopci będą na tym cierpieć. Aż w 1848 r. cesarz Franciszek Józef ogłosił tę decyzję jako jedną z pierwszych po wstąpieniu na tron. I okazało się, że nic nie upadło, wręcz przeciwnie – wreszcie coś w tej smutnej Galicji ruszyło do przodu. A czy Franciszek Józef zrobił to, bo był fajny, czy na złość polskiej szlachcie, z perspektywy chłopów nie miało już kompletnie znaczenia.

Czy Jakub Szela jako postać, która burzy zastany porządek rzeczy, dąży do zmiany, jest z dzisiejszej perspektywy niebezpieczny?

– Robienie z Szeli wielkiego bohatera jest kłamstwem. Nie był on również kimś, kto dążył do ogólnej zmiany. Krótko mówiąc, w roku 1846 po 60 dniach rabacji powstanie chłopskie zostało stłumione przez żandarmerię austriacką. W czasie powstania Szela był prawdziwym chłopskim królem, który stworzył sobie minipaństwo od jednego mostu na Wiślocie do drugiego, gdzie pobierał myto, utrzymywał milicję i wydawał glejty na przejazd. Był kimś takim jak bliskowschodni watażka, który siadł na studni i reglamentował dostęp do wody. Następnie został internowany w Tarnowie. Zachowały się listy, które dyktował synowi po odwołaniu ówczesnego starosty – wynika z nich, że nie interesowali go chłopci, tylko to, czy Wiedeń wywiąże się ze zobowiązań, które miał wobec niego starosta.

A co z pańszczyzną?

– Zniesienie pańszczyzny było czymś leżącym poza wyobraźnią

Fajniej jest uznawać się za potomków panów i rycerzy niż niewolników.

zmianą scenerii. Zmienia się nasz status życia, ale mechanizmy nim kierujące są bardzo podobne do tych, które kierowały życiem naszych chłopskich przodków.

A czy nie wydaje ci się, że mechanizmem, który zabrania o tym mówić – i o chłopskim pochodzeniu, i o sytuacji prekariatu – jest wstyd?

– Nie widzę tu powodu do wstydu. To, że kogoś na coś nie stać, nie wynika z jego winy. Chociaż zdaję sobie sprawę, że mówię to już z pozycji kogoś, kto z zepsutym zębem bez wahania pójdzie do dentysty. Pod

► ówczesnych chłopów. Chodziło im o to, żeby nie dopuszczać do nadużyć. I oczywiście zemścić się na panach. Ich zeznania pokazują, do jakiego poziomu ci ludzie zostali zepchnięci przez cały ten system. Nie ich wina, że nie byli w stanie myśleć dalej. Ja sam daleki jestem od tego, żeby mówiąc o połowie XIX w., poślugiwać się wartościami i językiem

W literaturze popularnej brakuje głosu chłopskiego.

z początku wieku XXI. To jedna z tych rzeczy charakterystycznych dla poplitu, że jak opisujesz wojnę Polski z zakonem krzyżackim, to tworzysz takich bohaterów, którzy będą w miarę bliscy współczesnemu czytelnikowi. Starłem się to zrobić inaczej. Chciałem, żeby bohaterowie byli czytelnikowi trochę obcy, tak żeby uzmysłowił mu obcość tamtej rzeczywistości i to, jak długą drogę przeszliśmy do momentu, gdzie teraz jesteśmy. Jeżeli uzmysłowimy sobie, jak bardzo się różnimy od naszych przodków sprzed 150 lat, pozwoli nam to żywić nadzieję, że jeśli czegoś bardzo nie spieprzymy, to za kolejne 150 lat będziemy na o wiele wyższym poziomie rozumienia naszego człowieczeństwa.

Czy istnieje coś takiego jak tożsamość chłopiska? I na jakim poziomie teraz jest dla nas ważne, że nasi przodkowie byli chłopami?

– Kiedy uświadomimy sobie, że nasi przodkowie byli chłopami, i dowiemy się, w jakich realiach żyli, zrozumimy, że tak naprawdę byli oni niewolnikami. To nie jest przyjemne w świecie, w którym od dziecka słyszysz, że jesteśmy narodem szlacheckim, narodem rycerskim. Ale ta świadomość przynosi kolejne myśli. Na przykład, że pańszczyzna do dzisiaj ma się dobrze. Dalej istnieje podział na bardzo wąską elitę, która ma w rękach wszystko, i całą resztę, która nie ma prawie nic. Kończysz studia i zauważasz, że rzeczywistość wygląda inaczej, niż opowiadano ci w domu. Odnajdujesz się w sytuacji analogicznej do sytuacji twoich

Zmienia się status życia, ale mechanizmy, które nim kierują, są podobne do tych, które kierowały życiem naszych chłopskich przodków.

przodków. Ta świadomość daje ci siłę, pomaga ze swojego chłopskiego, chamskiego doświadczenia zrobić atut. Wbrew pańskiej wizji świata. **Dużo mówisz o znaczeniu świadomości klasowej. W jakim momencie ty ją zdobyłeś?**

– To był moment, o którym mówiłem na początku. Kiedy pracowałem w Dębicy, lecząc pieski, kotki i inne zwierzątka i byłem pewny, że podaję tu tylko zastrzyki, że pracuję w cudownym miejscu i mam niezwykłą możliwość leczenia komórkami macierzystymi. Nagle jednak zaczęły się dobijać do mnie instytucje weterynaryjne, żądając, bym się wywiązał z różnych zobowiązań. Okazało się, że mój szef bez mojej wiedzy stemplował swoje decyzje moją pieczęcią. Rozmowa z nim była krótka i z ducha rabacyjna. Odkręcanie wszystkiego zajęło mi bardzo dużo czasu. Trudny jest ten moment uświadomienia sobie, że jesteś nikim. Od dziecka jesteśmy uczeni, że jeśli naprawdę się chce, można osiągnąć wszystko. A rzeczywistość pokazuje, że to nieprawda. Ten punkt otworzył mi oczy

na inne nieprawidłowości. Na to, że nie dostawałem wypłaty na czas. Żeby jednak zobaczyć patologię tej relacji, musiałem stanąć obok niej. **Teraz jesteś laureatem Nike, czy nie zmieniło to twojego statusu?**

– Pamiętam jeden z pierwszych wywiadów, których udzieliłem po zdobyciu nagrody. Redaktorka powiedziała mi: ale przecież pan nie jest chłopem, jest pan inteligentem. Strasznie się wtedy najeżyłem, bo nigdy nie czułem się elitą. Książka przyniosła sukces, o który jej nie podejrzewałem, ale czy to coś zmieniło? Dużo na niej zarobiłem, lecz nadal mieszkam z żoną w wynajmowanym mieszkaniu, bo nie stać nas na kupno własnego. Cały czas robię to, co robiłem rok temu: wstaję rano, idę do pracy, leczę zwierzęta, zajmuję się domem, piszę i wieczorem spędzam czas z żoną. Zmieniło się to, że mam lepszą motywację do pisania, bo jest duża szansa, że ktoś będzie chciał przeczytać kolejną książkę. Nabrałem poczucia pewności. To są wewnętrznie bardzo budujące doświadczenia, ale na zewnątrz naprawdę niebyłoby wiele się zmieniło.

Katarzyna Niedurny



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Całe życie upokorzenie – mawiał Janusz Głowacki. Miał rację

Kostium przysłało tydzień temu. Błogosławiony kurier Władysław dzwonił zawsze o godz. 8 i to dzięki niemu udaje mi się zdążyć na próbę. A przesyłka nie płacze się przez cały dzień pod nogami pani Wiesi „na ochronie” ani wśród ogórków na blacie sąsiadki, ani w Żabce. W miękkiej, papierowej paczce było coś w rodzaju rajtuzo-śpiochów w kolorze czarnym. Z błyszczącej lajkry. I pomyślałam, że to żart kolegów, którym zdarzało się przysłać mi papier toaletowy czy suchary.

Ostrożnie wyjęłam i założyłam śpiochy. Miały „stóпки” jak rajstopy, a do tego „rękawiczki”, tak że po chwili stałam w pokoju opakowana po szyję, z zapiętym na plecach rozpiardakiem. Próbowalam nie dotykać niczego, ponieważ moje mieszkanie jest pełne żółtej sierści, a wolę być (jednak) kobietą kotem niż kobietą psem (choćby ze względu na nomenklaturę).

Kostium leżał idealnie i to było najbardziej niepokojące. Kto i kiedy zdjął miarę? Czy kostium jest rodzajem zaproszenia, biletu lub klucza? Czy następnym razem kurier przyniesie pistolet? Listę zadań? Perukę? Mam na imię na Nikita? Co jest?!

Po chwili przyszedł esemes: „Hej, tu Jarek z grupy Mixer, czy kostium dobrze leży?”. I wtedy przypomniałam sobie, że za trzy dni robię w parku Wilsona w Poznaniu tzw. performans z kolegą aktorem. Jeśli chcę uniknąć upokorzenia, muszę być o wiele bardziej czujna niż podczas rozpracowywania pożałuj się Boże szajki – pomyślałam.

Poznań przywitał mnie wiatrem o zapachu mokrego asfaltu i jaśminu, który gdzieś tak w połowie maja przestał się krępować i skolonizował krzaki w wielu miastach Polski. Biennale, w którym – jak to się mówi – uczestniczyłam, położono mnie na 16. piętrze hotelu w centrum miasta. Wiatr gwizdał, syczał i źle mi życzył. W kącie stała metalowa tuba podłączona do prądu. Nie umiałam uruchomić klimatyzacji. Wyjęłam kostium z torby i ułożyłam równo na stole. Wiatr wzmocnił swoje szumy i szepty. Obudziłam się o godz. 5, włożyłam kostium. Uspokojona zasnęłam.

Rano przemaszerowaliśmy (ja i kostium) przez hotelowy hol, zrozumiałam, że mogłabym wyglądać

dwuznacznie, gdyby nie siwe włosy. I że nie mogę odebrać telefonu – interfejs pozostaje nieczuły na lajkę. Wkrótce na parking podjechał bus. W środku byli producentka, Maciek (kolega aktor) i dwóch innych facetów. Po kwadransie weszliśmy do parku. Mokre blaszki liści odbijały światło i przy każdym silniejszym podmuchu – rozsiewały błyski, oślepiały nas, dezorientowały. Rozłożyliśmy na ławce nasze precjoza: kukurydziane chrupki, płatki ryżowe, winogrona, borówki. Srebrne i złote marynarki rozwiesiliśmy na drzewach. Do kostiumów przypięto nam mikroporty, które zbierały przede wszystkim wiatr – jego fochy i problemy z *ego* przeszkadzały nam w pracy. Dźwiękowiec lamentował, łapiąc się za głowę.

Przyszli pierwsi ludzie. Stałam za Maćkiem i na policzku namalowałam mu pierwsze kółko. Dzielnie czytał wiersze, kiedy wpakowałam mu w usta desant chrupek kukurydzy, które musiały go od środka pokleić i na pewno cisnęły go w pod-

niebienie. Czy cud przełknięcia chrupek został odnotowany? Czy ktoś widział wewnętrzną walkę Maćka? Moje negocjacje z kostiumem, który nieco obwisł w kroku i po chwili zaczął rzeczywście przypominać śpioszki?

Czyjaś babcia podjechała z wózkiem. W środku siedziało białe dziecko z żółtymi włosami. Patrzyło na nas poważnie, być może filozoficznie. Albo tak, jak się patrzy na wyjątkowo duże okazy ślimaków – jednocześnie z szacunkiem i obrzydzeniem. Schowałam się za Maćka. Oczy dziecka mogły w każdej chwili zamigotać, a potem przeciąć nas na pół laserem z lat 70. Babcia nachyliła się nad nim. Opowiadała coś, może o czarnych śpioszkach, pod którymi porusza się zziębnięte ciało. Może o chrupkach, które pękają w ustach, znikają w ciemności i zmieniają kolor, jak wszystko, co znikną. A może o tym, że tych dwoje za chwilę wysiądzie z busa – i mężczyzna, zmęczony, zje coś taniego na szybko, zanim pójdzie do drugiej pracy, a kobieta zamówi kieliszek wina stołowego, przykryta kocem w miejskim ogródku. I będzie nerwowo odświeżać portale i walle. A potem, w hotelowym pokoju, odkryje, że ciało pod kostiumem ma czarne, a farba jest wyjątkowo trwała.

**Jeśli chcę uniknąć upokorzenia,
muszę być o wiele bardziej czujna.**

KURTYNA W GÓRĘ



RODZINA STRAMERÓW

Saga rodzinna, w której śledzimy losy bohaterów w ciągu 30 lat, to zarazem egzamin dyplomowy w Akademii Teatralnej. Bierze w nim udział 24 młodych artystów, odtwarzających 50, a może i więcej ról. Spektakl trwa prawie pięć godzin, czyli to prawdziwy maraton aktorski. Jego uczestnikom po takiej dawce scenicznego wysiłku, akrobacji, produkcji muzycznych i tanecznych żadna rola nie powinna już sprawiać trudności. A przy tym tworzą wspólnie przedstawienie piękne, mądre, ciekawe, wzruszające, wizualnie barwne i dynamiczne. To w istocie powieść, którą udało się zmieścić w jednym, długim odcinku.

Bronisław Tumiłowicz

Mikołaj Łoziński, „Stramer”, adaptacja i reżyseria Marcin Hycnar, Teatr Collegium Nobilem w Warszawie, premiera 10 lipca 2021

NA EKRANACH

CRUELLA

reż. Craig Gillespie, prod. USA, w kinach od 28 maja

„Cruella” pokazuje, że nawet w Disneyu zmienia się sposób patrzenia na kobiety, a odwieczny podział na dobrych i złych przestaje obowiązywać. Tytułowa bohaterka zaczerpnięta z klasycznych „101 dalmatyńczyków” błyszczy intelektem, ale że przy okazji roznosi ją energia, ciągle ładuje się w kłopoty. Nie pozwala bowiem sobą pomiatać, szuka zemsty, gdy tylko ktoś zajdzie jej za skórę. Gdy ginie jej matka, rozpoczyna uliczne życie – z dwoma kolegami kradnie portfele, a gdy nieco podrosną, organizują coraz bardziej spektakularne napady. Zazwyczaj w tego typu produkcjach żyjące na marginesie dziewczynki przypominają chłopców: łamały etykietę, nie przejmowały się tym, jak wyglądają i jak mówią. Tu jest inaczej – Cruella nigdy nie maskuje kobiecości, a o marzenie, by stać się wziętą projektantką, walczy niezależnie od okoliczności. Wraz z rozwojem akcji zaskoczeń jest więcej, ponieważ bohaterka nie zabiega o sympatię ani widza, ani ekranowych towarzyszy. Nawet jeśli fabule daleko do oryginalności, na tę postać warto zwrócić uwagę.

Artur Zaborski



MIEDZY OKŁADKAMI

KULTURALNE DZIECI

Marieke Lucas Rijneveld
Niepokój przychodzi o zmierzchu

tłum. Jerzy Koch

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Nagrodzona Międzynarodowym Bookerem w 2020 r. powieść Marieke Lucas Rijneveld (uważa się za osobę niebinarną) to „Dzieci z Bullerbyn” à rebours. Dzieciństwo nie jest tu anielskie i sielskie, zamiast bajek mamy Biblię, i to w bardziej dosłownej interpretacji, a codzienność wypełnia raczej praca niż zabawa. Zarazem rodzinny dom nie jest domem złym, tyle że w czterech kątach rozgościły się smutek i poczucie bez nadziei. Narratorką „Niepokoju...” jest dziesięcioletnia Jas, która uparcie chodzi w czerwonej kurtce o każdej porze dnia i roku. Od momentu gdy starszy brat dziewczynki ginie pod lodem w czasie wyścigu tyżwiarskiego, rodzina Jas powoli się rozpada. Bohaterka pogrąży się w wewnętrznym świecie i wraz z dwójkiem rodzeństwa podejmuje kolejne próby czy też inicjacje mające zdjąć urok z ich „przeklętej” rodziny. Zarazem język powieści staje się coraz bardziej groteskowy, a książka wciąga z nieodpartą siłą. „Krówki” – jak czasem mówi się o niej – to z pewnością jedna z ciekawszych pozycji na rynku wydawniczym tej wiosny.

Rafał Piłkuła



Alicja Wejner
ilustracje Jola Czarnecka

Tutaj mieszkam

Wydawnictwo Jagoda

To książka o geografii i ekologii oraz empatii i uważności, nie tylko na drugiego człowieka, ale także na zwierzęta, rośliny i całą planetę. Dziecko – bo to publikacja dla cztero-, a nawet ośmiolatków – dowie się z niej, że adres zamieszkania pozwala odnaleźć człowieka zarówno w konkretnej miejscowości, jak i w regionie, w kraju, na kontynencie. Dowie się też, że każdy jest odrębną i złożoną całością. Że wrażliwość i wyobraźnia ułatwiają rozumienie świata i pozwalają zmieniać rzeczywistość. „Tutaj mieszkam” jest również atrakcyjnym narzędziem edukacyjnym, które mogą wykorzystać nauczyciele, zwłaszcza że spełnia założenia podstawy programowej i jest rekomendowana przez Polski Instytut Montessori w Warszawie.

(mm)



Przepraszamy!

Autorem książki „Piekło niejedno ma imię. Rzecz o barbarii, fanatyzmie i hipokryzji” („P” nr 21) jest urodzony w 1945 r. Janusz Maciej Jastrzębski.

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Ewa Smolińska-Borecka

Żyją obok nas: na polach, w lasach, nad morzem czy przy zbiornikach wodnych. Jedne są pod ochroną, drugie nie są chronione. Polskę zamieszkuje kilkaset gatunków ssaków i ptaków. Część jest liczona co roku, inne co kilka lat lub sporadycznie. Oczywiście nie da się tego zrobić co do jednego, bo żyją na wolności i przemieszczają się. By brać udział w tym liczeniu, trzeba mieć dużą wiedzę. Przeciętny Polak jej nie ma. Nie wie na przykład, że sarna i jeleni to dwa odrębne gatunki. Jeszcze mniej wiemy o ptakach. Większość z nas rozpozna gołębia, bociana czy łabędzia, ale to ułamek z ponad 200 gatunków żyjących w Polsce. Jeszcze rzadsza jest umiejętność rozpoznania ptaka po dźwiękach, które wydaje. Ludzie, którzy liczą ptaki, muszą takie umiejętności i wiedzę posiadać.

Zanim strzelisz, policz

W Polsce według GUS żyje 885,5 tys. saren. To one wiodą prym wśród zwierząt łownych. Jeleni jest trzykrotnie mniej – 276 tys. sztuk. Drugie w rankingu najliczniejszych zwierząt łownych są zające – 814,5 tys. sztuk. Trzecią pozycję zajmują bażanty – 525,8 tys.

Zwykle liczenie zwierząt łownych zaczynało się 10 lutego i trwało do końca miesiąca. W tym roku z powodu pandemii przedłużono je do końca marca. Zwierzęta liczą myśliwi zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim. Monitorują oni ten obwód łowiecki – lub kilka obwodów – który dzierżawia. Wspierają ich w tym leśnicy. Na przykład w Nadleśnictwie Jugów w powiecie kłodzkim w tym roku w jednym z obwodów o powierzchni 4,2 tys. ha liczeniem zwierząt łownych zajmowało się 30 myśliwych i pracowników nadleśnictwa. Stwierdzono, że w tym obwodzie żyje m.in. 190 jeleni i 75 muflonów.

– Jedną z metod szacowania liczebności zwierząt na terenach leśnych jest metoda próbnych pędzeń – wyjaśnia Roman Dziedzic, wiceprezes Naczelnej Rady Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego. – Polega na tym, że losuje się powierzchnie próbne, aby ich łączny



Ile biega, ile fruwa

Zwierzęcy spis powszechny

areal wynosił 10% całkowitej powierzchni kompleksu leśnego. Następnie liczbę zaobserwowanych zwierząt na tych powierzchniach próbnych przelicza się na ogólną powierzchnię leśną. Metoda ta jest stosowana w obwodach łowieckich dzierżawionych przez myśliwych, w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny Lasów Państwowych, a także w parkach narodowych.

W Nadleśnictwie Chojnów w województwie mazowieckim funkcjonuje jeden Rejon Hodowlany nr 4. 20 obwodów łowieckich dzierżawionych jest przez 17 kół łowieckich i to ci myśliwi liczą zwierzęta. Gatunki zwierząt łownych występujące w obwodach to: łos, jeleni, daniel, dzik, lis, borsuk, piżmak, kuna, tchórz zwyczajny, norka amerykańska, zając szarak, bażant, kuropatwa, kaczka krzyżówka, gęś gęgawa, łyska i gołąb grzywacz. Obecnie nie prowadzi się odstrzału łosi ani kuropatw.

– Najczęściej w przypadku zwierzyny grubej liczenie prowadzi się metodą próbnego pędzenia – mówi Roman Dziedzic. – Jest ona wiarygodna w stosunku do gatunków, które są rozmieszczone równomiernie. Liczenie organizuje się w taki sposób, że wyznaczony obszar jest z trzech stron obstawiony przez obserwatorów usytuowanych co ok. 50 m. Oni wypatrują zwierząt i zapisują te,

W Polsce żyje 885,5 tys. saren. Jeleni jest trzykrotnie mniej – 276 tys. sztuk.

które opuszczają obszar. Wyplaszaniem zajmują się ludzie z nagonki, którzy poruszają się prostopadle do czwartego boku obszaru. Innym sposobem jest tropienie zwierząt. Tą metodą posługują się liczący, kiedy leży śnieg, polega bowiem na liczeniu śladów. Ale właściwie myśliwi często przebywają w terenie i dzięki temu mogą oszacować liczbę zwierząt w swoich obwodach łowieckich. To ważne, bo trzeba określić liczbę zwierząt i jej przyrosty, by sporządzić roczne plany łowieckie. Do liczenia zwierząt nie stosuje się dronów, bo na obszarach leśnych zwierzęta są ukryte pod koronami drzew. Natomiast mogą być wykorzystywane kamery termowizyjne. W zależności od tego, jaka jest liczba zwierząt i jaka jest wielkość przyrostu z urodzenia planuje się poziom pozyskania łowieckiego. Informacje o liczebności są ważne szczególnie w przypadku zwierzyny grubej, ponieważ to ona jest podstawą gospodarki łowieckiej. Zwierzyna drobna, a szczególnie kuropatwy czy zające, ma marginalne znaczenie gospodarcze ze względu

► na niewielkie zagęszczenia. Jednakże myśliwi muszą szacować liczebności także tych gatunków, aby między innymi podejmować działania restytucyjne. Prace zmierzające do odbudowy pogłowia tych gatunków są skomplikowane i trudne, ponieważ główną przyczyną regresu są zwiększające się powierzchnie pól i monokultury roślin zbożowych, oleistych i kukurydzy. Wyniki z szacowania wszystkich gatunków łownych, a także z planowania i pozyskania zwierząt z każdego obwodu dzierżawionego przez myśliwych, przesyłane są do Stacji Badawczej Polskiego Związku Łowieckiego w Czempiniu, która prowadzi krajowy monitoring gospodarki łowieckiej w kraju.

Najwytrawniejsi myśliwi po tropach poznają nie tylko gatunek, ale też płeć zwierzęcia. Jak twierdzi Roman Dziedzic, jeżeli policzy się samice, można określić, ile młodych się urodzi. W przypadku zająca jedna samica statystycznie rodzi osiem i pół młodego. Ale z tej liczby z powodu chorób lub drapieżników przeżywa zazwyczaj tylko jeden osobnik. W przypadku dzików nie można odróżnić samicy od samca, więc przewidywanie, ile młodych może się urodzić, jest niemożliwe.

– Myśliwi nie liczą wilków, nie jest to bowiem gatunek łowny – wyjaśnia Dziedzic. – Ale są liczone łosie, bo one są gatunkiem łownym, chociaż od ponad 20 lat na odstrzał tych zwierząt obowiązuje moratorium. Pod ochroną są także bobry, ale myśliwi, a konkretnie powołani przez nich strażnicy, liczą stanowiska tych zwierząt, gdyż ich zadaniem jest pilnowanie tych miejsc.

Koła łowieckie dzierżawią w Polsce 4622 obwody o łącznej powierzchni 25,2 mln ha. Jedynie 32,2% tego obszaru stanowią grunty leśne. Liczbę zwierząt łownych określa się przez zsumowanie tych, które żyją w obwodach łowieckich, z tymi, które żyją w ośrodkach hodowli zwierzyny oraz w parkach narodowych i rezerwatach.

Na szczególnych zasadach

Szczególne zasady dotyczą nietoperzy jako zwierząt chronionych. Jeśli zaczyna się przygotowanie do remontu jakiegoś obiektu lub do inwestycji, trzeba zamówić ekspertyzę,



Zimowe liczenie nietoperzy w jaskini Raj, luty 2014 r.

by sprawdzić, czy miejsca żerowania, rozrodu albo zimowej hibernacji nietoperzy nie są zagrożone. Niekiedy grupę nietoperzy trzeba przenieść w inne miejsce, gdzie będą bezpieczne. Zarówno sporządzaniem ekspertyz, jak i ewentualnym przeniesieniem w nowe miejsce zajmują się chiropterolodzy. Oni również jako wolontariusze biorą udział w zimowym liczeniu nietoperzy oraz w letnim liczeniu w koloniach rozrodczych. Jednym z liczących jest Maciej Łochyński, absolwent Wydziału Biologii oraz Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych UAM. Od 20 lat zajmuje się obserwacjami i badaniami nietoperzy. Bierze też udział w inwentaryzacji nietoperzy w wielkopolskich parkach krajobrazowych, a w połowie stycznia uczestniczy w monitoringu nietoperzy zimujących w fortyfikacjach w Poznaniu czy w jaskiniach Ojcowskiego Parku Narodowego.

W tym roku Łochyński liczył nietoperze w Międzyrzeczkim Rejonie Umocnionym (MRU), gdzie żyje prawdopodobnie największa w Europie kolonia zimujących nietoperzy, które przylatują również z innych europejskich krajów. Uczestników liczenia nie może być zbyt wielu ze względu na zapewnienie spokoju zwierzętom. Operacja odbywa się pod nadzorem Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

– W tym roku mimo obostrzeń wynikających z pandemii liczenie też się odbyło na przełomie stycznia i lutego – wyjaśnia Łochyński. – Ta procedura

musi przebiegać bez zbędnego światła na nietoperze. Nie wybudzamy ich. Rozpoznajemy gatunki po wielkości, morderce, kolorze futra. Nie określamy płci, bo rozpoznaje się ją po narządach, a nietoperze są otulone skrzydłami. Liczący są podzieleni na sekcje, po trzy-cztery osoby. W MRU jest kilkanaście sekcji. W zależności od warunków panujących w korytarzach trzeba się odpowiednio ubrać i mieć odpowiedni sprzęt: latarki czołówki, aparaty fotograficzne, czasami drabiny, kalosze lub wodery.

Czy liczenie nietoperzy jest potrzebne? – Tak, zbieranie tych danych jest ważne, bo wahania liczby nietoperzy świadczą m.in. o zmianach klimatycznych – mówi Łochyński.

Tylko kilkanaście gniazd

Jeszcze bardziej karkołomnym zadaniem od liczenia ssaków jest ustalenie liczby ptaków. Są one liczone w ramach programu Monitoring Ptaków Polski. Określenie liczby przedstawicieli poszczególnych gatunków odbywa się poprzez obserwacje prowadzone przez wykwalifikowanych wolontariuszy, potrafiących odróżnić poszczególne gatunki nie tylko po wyglądzie, ale też po dźwiękach. Ich nazwiska są publikowane w „Atlasie pospolitych ptaków lęgowych”.

W ramach Monitoringu Ptaków Polski działa ok. 30 programów. Ponad 20 dotyczy ptaków lęgowych, czyli tych, które w Polsce się

rozmnażają i wychowują pisklęta. Pięć programów stworzono z myślą o ptakach zimujących i przelotnych. W monitoringu bierze udział m.in. Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków, które prowadzi obejmujący największą liczbę gatunków Monitoring Pospolitych Ptaków Lęgowych, ale też różnych ptaków zimujących i monitoringi gatunków, np. kraski, kormorana, rybitwy czubatej. Kolejne organizacje i placówki liczące to Stacja Ornitologiczna Muzeum i Instytutu Zoologii PAN w Gdańsku (m.in. Monitoring Flagowych Gatunków Ptaków, ale też ptaków mokradel czy łabędzia krzykliwego). Komitet Ochrony Orłów zajmuje się m.in. Monitoringiem Ptaków Drapieżnych czy liczeniem rybołowa, Stowarzyszenie Ochrony Sów liczy ptaki w ramach Monitoringu Lęgowych Sów Leśnych, a Polskie Towarzystwo Ochrony Przyrody „Salamandra” prowadzi Monitoring Noclegowisk Gęsi.

Największą liczbę gatunków obejmuje Monitoring Pospolitych Ptaków Lęgowych. Zapoczątkowano go w 2000 r. i wtedy obejmował 110

gatunków, podczas gdy w Polsce gniazduje obecnie 230-240 gatunków. Do ptaków pospolitych zalicza się te, które występują na ponad 10% powierzchni kraju. Według danych za zeszły rok na miano pospolitych zasługuje 88 gatunków. Najczęściej spotykane ptaki to grzywacz, występujący na 94,5% powierzchni kraju, zięba (91,8%) i kos (90,6%). W minionym roku w liczeniu pospolitych ptaków

Liczone są łosie, chociaż od kilku lat na ich odstrzał obowiązuje moratorium.

lęgowych wzięło udział 450 obserwatorów. Liczenie wykonano na 785 powierzchniach próbnych o wielkości 1 km kw. każda. Zanotowane przez obserwatorów muszą być wszystkie ptaki widziane i słyszane na danej powierzchni próbnej. W Nadleśnictwie Solec Kujawski takich pól próbnych wyznaczono pięć, a w liczenie na terenie każdego pola zaangażowany był jeden wolontariusz. Liczenie ptaków

odbywa się dwukrotnie w ciągu roku: pierwsze – wczesnowiosenne – w terminie od 10 kwietnia do 15 maja, a drugie – późnowiosenne – od 16 maja do 30 czerwca. Między pierwszym a drugim liczeniem powinna być co najmniej czterotygodniowa przerwa. Liczenie zaczyna się wcześnie rano, o godz. 4, i trwa ono do godz. 9.

Liczebność niektórych gatunków jest w Polsce znikoma, toteż monitoringu orlika grubodziobego dokonuje tylko jeden obserwator. Według ubiegłorocznego monitoringu było u nas ledwie 11 par, z czego 10 miało gniazda na terenie Kotliny Biebrzańskiej, a jedna w Puszczy Białowieskiej. Równie skromna jest grupa obserwatorów liczących rybitwy czubate. Te ptaki gnieźdzą się w Rezerwacie Mewia Łacha, u ujścia przepływu Wisły. Liczenie zarówno orlika grubodziobego, jak i rybitwy czubatej odbywa się na całej powierzchni ich występowania, jest ona bowiem bardzo ograniczona.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl



pah
Polska Akcja Humanitarna

**Pomóżmy osobom
cierpiącym z powodu
zmian klimatu**

**Przekaż darowiznę
www.pah.org.pl**

Główny winowajca: CHAOS

Pandemii nie przeżyło wielu chorych na białaczkę

Rozmawia Barbara Jagas

Jak się pani czuje po zaszczepieniu przeciw COVID-19?

– Wczoraj było gorzej, czułam się rozbita, bolała mnie głowa i nie mogłam z panią rozmawiać. Dziś jest już o wiele lepiej, dziękuję.

To możemy przejść do właściwego tematu – jak pandemia odbiła się na leczeniu chorych na białaczkę?

– Nie mamy jeszcze żadnych danych, oprę się więc tylko na własnych obserwacjach. Otóż, jak sądzę, śmiertelność chorych na białaczkę wzrosła o ok. 20-30%.

Bo ludzie nie zgłaszali się do szpitala na leczenie?

– Owszem, na początku pandemii było sporo takich osób, zwłaszcza w starszym wieku, które są leczone niskodawkową chemioterapią. Ci chorzy bardziej się obawiali koronawirusa niż progresji białaczki. Zaczęliśmy więc im tłumaczyć, że zbytnio ryzykują, bo łatwiej jest umrzeć z powodu postępu ich podstawowej choroby niż z powodu covidu.

I pomogło?

– Tak, z czasem sytuacja zaczęła się zmieniać na plus. Natomiast na zwiększoną śmiertelność bardziej wpłynął fakt, że jeśli ktoś zachorował na covid, to miał potem przerwę w leczeniu, co w konsekwencji często prowadziło do progresji choroby, którą leczy się dużo trudniej. Czasami trzeba było całą terapię zaczynać od nowa. Chemioterapię stosuje się w sposób cykliczny i wydłużanie odstępu pomiędzy kolejnymi cyklami zwiększa ryzyko nawrotu lub progresji białaczki.

Czy na covid chorowali pacjenci ze szpitala, czy z zewnątrz?

– I jedni, i drudzy. W okresie powakacyjnym znacząco zwiększyła się liczba pozaszpitalnych zakażeń wirusem SARS-CoV-2, a w klinice zakażeń

było mniej, ponieważ zaczęły obowiązywać rygorystyczne procedury związane z przyjęciami do szpitala. Przed przyjęciem z każdym chorym przeprowadzano telefoniczną ankietę, potem zapraszano pacjentów na test. Jeśli wynik był ujemny, to już na drugi dzień taka osoba była przyjęta na oddział.



PROF. AGNIESZKA WIERZBOWSKA

– kierownik Katedry i Kliniki Hematologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi

Potrafili więc państwo wyłapać osoby zakażone wirusem, ale bez objawów infekcji?

– Tak, no i trzeba było takich pacjentów kierować do izolacji; po kilku dniach okazywało się, że mieli już dolegliwości.

Jak się postępuje z chorym na białaczkę pacjentem covidowym?

– Zakażeni koronawirusem z łagodnym przebiegiem choroby trafiają pod opiekę lekarza POZ, w przypadku cięższego przebiegu zakażenia są kierowani do szpitala covidowego, dopiero potem, po kwarantannie i pełnej eliminacji wirusa, mogą być leczeni na oddziałach hematologii. Zalecenia są bowiem takie, że leczenie można ponownie rozpocząć dopiero wtedy, gdy chorzy mają ujemne wyniki testu.

To chyba dobrze...

– Niby tak, ale – jak wiemy – czas, gdy utrzymuje się wynik dodatni, jest różny. Niektórzy ozdrowieńcy nie mają ujemnego testu na covid nawet przez dwa miesiące. Z perspektywy hematologa to czas stracony, który działa na niekorzyść pacjentów, zwiększając prawdopodobieństwo nawrotu białaczki. Bo przecież jeśli dochodzi do zbyt długiej przerwy w podawaniu leków, to trzeba terapię zaczynać na nowo. A wtedy wyniki są znacznie gorsze, niekiedy finał jest tragiczny.

Trudna sprawa.

– Te okresy przestoju w chemioterapii wynikały również z tego, że chorowali lekarze i pielęgniarki. Personel musiał pracować rotacyjnie, aby zapewnić ciągłość opieki. A niektóre oddziały, ze względu na występowanie koronawirusa, były na jakiś czas w ogóle pozamykane, trzeba było bowiem wszystkich izolować – i pacjentów, i personel medyczny. Dopiero po jakimś czasie i dokładnej dezynfekcji otwierano je ponownie.

Leczenie chorego na białaczkę składa się z chemioterapii i przeszczepienia szpiku. Jak wygląda postępowanie z chorymi na etapie transplantacyjnym?

– Transplantacja szpiku to bardzo trudny zabieg, wymagający specjalistycznego zaplecza, specyficznych

warunków – m.in. najwyższej klasy sterylności, możliwości leczenia ewentualnych powikłań wynikających z przeszczepu, więc takiego chorego możemy leczyć tylko na miejscu. Stąd decyzja, by na oddziałach transplantacyjnych wydzielić pododdziały covidowe.

Czy pandemia wpłynęła na liczbę przeprowadzanych transplantacji szpiku?

– Na pewno spowodowała zmniejszenie liczby tego typu zabiegów. Zwłaszcza w początkowym okresie, kiedy funkcjonowały zalecenia, aby ograniczyć przeszczepy do niezbędnych. Chodzi o to, że transplantacje szpiku same w sobie są trudnymi zabiegami i nie zawsze kończą się dobrze; gdyby do tego pacjent miał covid, ryzyko zgonu takiej osoby byłoby większe. U chorych, którzy nie mieli bezwzględnych wskazań do pilnej transplantacji, przesuwano te zabiegi na dalsze terminy.

Jak to się odbiło na śmiertelności pacjentów na oddziałach transplantacyjnych?

– Mam dane Europejskiej Grupy ds. Transplantacji Szpiku, która przeanalizowała wczesną śmiertelność przeszczepową u chorych, którzy przeszli przeszczep autologiczny, czyli przeszczepienie własnych komórek macierzystych. Okazuje się, że wynosiła ona ponad 19%, podczas gdy zwykle nie przekracza 5-8%. Jeśli zaś chodzi o przeszczepy allogeniczne, czyli transplantacje komórek macierzystych pobranych od dawców rodzinnych lub niespokrewnionych,

W okresie podawania chemioterapii pacjentowi dawca szpiku jest przygotowywany do pobrania komórek. Ale może się zdarzyć, i tak bywało, że dawca nagle wypadał, bo okazywało się, że ma koronawirusa. I wtedy robił się duży problem.

Na ostrą białaczkę w Polsce choruje rocznie ok. 2 tys. osób, w tym na białaczkę szpikową ok. 1,2 tys., na ostrą białaczkę limfoblastyczną – kilkadziesiąt. Zapaadalność na ostre białaczki to 4-5 na 100 tys. mieszkańców. Rośnie ona wraz z wiekiem.

Zwłoka w leczeniu.

– Tak. Dlatego postanowiono zmienić procedury. Najpierw testuje się dawcę na obecność koronawirusa, potem pobiera się od niego komórki macierzyste, a następnie się je zamraża. Dopiero później rozpoczyna się chemioterapię u pacjentów i przeszczepia zabezpieczony materiał.

I to zdało egzamin?

– Tak, ale też nieco wydłużyło czas oczekiwania na leczenie.

Co za paradoks... Rozmawialiśmy o dawcach spokrewnionych, którzy oddają szpik w Polsce. Ale są jeszcze dawcy obcy, którzy mieszkają w innych krajach i ich szpik przychodzi za pośrednictwem Fundacji DKMS, która chwali się, że wywiązuje się stuprocentowo ze swoich zadań.

– Bo rzeczywiście tak jest, zarówno Fundacja DKMS, jak i inne

– Nie, my dopiero się do niej szykujemy i nasze przygotowania są już zaawansowane. Na razie wspomniana terapia jest stosowana w trzech ośrodkach transplantacyjnych: w Poznaniu, w Gliwicach i we Wrocławiu.

A co w tym pandemicznym okresie było dla pani najtrudniejsze?

– Transplantologia opiera się na bardzo restrykcyjnych procedurach i jeśli się od tego odstępowało, to jedynie w wyjątkowych sytuacjach. A tutaj pandemia wprowadziła olbrzymi chaos, pojawiły się nowe okoliczności i problemy, których nikt się nie spodziewał. W związku z tym trzeba było stworzyć nowe procedury postępowania z chorymi. Otrzymaliśmy tylko ogólne zalecenia, aby wprowadzić procedury ochronne. Musieliśmy więc sami je wypracować na podstawie samodzielnie gromadzonych informacji. Dotyczyły one głównie tego, jak zmniejszyć ryzyko wprowadzenia covidu na oddział, jak pacjenta przygotować do wejścia na oddział, na jakim etapie robić mu badania przeciw covidowi – czy mają to być testy molekularne, czy jakieś inne, czy może wcześniej warto zrobić ankietę telefonicznie. Wobec braku szczegółowych zaleceń odgórnych zaczęliśmy się naradzać w środowisku, wymieniać doświadczeniami, rozmawialiśmy na forach, tworzyliśmy grupy na FB, śledziliśmy zalecenia instytucji europejskich i amerykańskich. Te wszystkie wczesne zasady postępowania z chorymi w pandemii zawdzięczamy więc sobie i kolegom lekarzom. Potem już było coraz lepiej, stworzyliśmy rekomendacje polskie. Ale początek był trudny.

Czy lekarze u pani na oddziale także chorowali na covid?

– U nas na oddziale przeszczepowym nikt nie chorował oprócz mnie. **Jestem zaskoczona, bo dopiero co się pani zaszczepiła.**

– Tak, ponieważ przechorowanie COVID-19 daje krótkotrwałą odporność i nie zwalnia od szczepień. A ja się zaraziłam od swojego dziecka, które bezobjawowo przechodziło zakażenie. Na szczęście szybko zostałam zdiagnozowana i łagodnie przeszedłam infekcję. A teraz jestem już zaszczepiona i mogę normalnie funkcjonować.

b.jagas@tygodnikprzeglad.pl

Śmiertelność chorych na białaczkę wzrosła o ok. 20-30%.

to wynosiła ona 24%, podczas gdy przeciętnie jest na poziomie 10-15%.

A co z pobraniami szpiku? Czy nie zdarzało się, że dawcy nie pojawiali się w szpitalach z obawy przed koronawirusem?

– Takich sytuacji nie było, natomiast często okazywało się, że są chorzy na covid, co w rezultacie też opóźniało transplantacje szpiku. Ale były inne problemy – związane z synchronizacją niektórych procedur. Jak wiemy, leczenie białaczki polega na tym, że najpierw niszczy się szpik pacjenta, aby zniszczyć komórki nowotworowe, a potem przeszczepia się zdrowe komórki macierzyste.

ośrodki dawców szpiku włożyły ogrom pracy w zapewnienie polskiemu pacjentom jak najszybszego dostępu do komórek krwiotwórczych od innych dawców, w tym zagranicznych.

Jaki procent w Polsce stanowią dawcy rodzeni, a jaki obcy?

– Zdecydowana większość transplantacji komórek krwiotwórczych w Polsce to przeszczepy od dawców niespokrewnionych. Przeszczepy od dawców rodzinnych to zaledwie ok. 15-20% wszystkich transplantacji.

Czy u państwa stosowana jest terapia CAR-T-cells, bo nic pani o niej nie wspomniała?



POLSKIE SZEŚCIORACZKI





Kaja, Malwina, Nela, Zosia, Filip i Tymon – jedyne sześcioraczki w Polsce – mają dwa lata. Urodziły się 20 maja 2019 r. w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie. Klaudia i Szymon Marcowie spodziewali się pięciorga dzieci, szóstego nie było

wcześniej widać na USG. Dzieci przyszły na świat w 29. tygodniu ciąży, ważyły od 890 do 1300 g. Mama sześcioraczków prowadzi na Instagramie popularny wśród internautów profil, na którym można obserwować, jak rosną dzieci.

FOT. BIURO PRASOWE UMWM, KA, MAREK LASYK/REPORTER (2), INSTAGRAM/SZESCIORACZKIPL (3)



Jak nie zwariować ze strachu

Czy łatwo być żoną sportowca ekstremalnego?



Delta Amazonki.
Niedaleko Béliem.

Marcin Gienieccko

Marcin:

Oto opowieść mojej żony Alicji, bez której nie mógłbym zrealizować wyprawy po Amazonce. Mimo ciągłych napięć między nami nie poddajemy się i wciąż jesteśmy razem. Nie było wyprawy, na którą wyjeżdżałem spokojnie. Zawsze były nerwy z obu stron. Jesteśmy dwoma przeciwieństwami: ja biegunem północnym, ona południowym. Alicja jest wychowana w systemie korporacyjnym, a ja w systemie żołnierskim. To nas różni. W systemie korporacyjnym używa się stwierdzenia „zdzwonimy się”. Jest ono konkretne tylko do danej sytuacji, natomiast system wojskowy to dwa kolory – czarny i biały. Alicję poznałem w lipcu w 2009 r. po zimowym przejściu na nartach korytem Kołymy. Byłem stęskniony za kobietą, która rozgrzeje mnie do czerwoności. Zwłaszcza po stu dniach w syberyjskiej zamrażarce.

Krótkie blond włosy, zgrabne nogi, biznesowy sposób myślenia, przedsiębiorcze działanie i anielski uśmiech. To było to, pomyślałem wówczas. 8 maja 2010 r. wzięliśmy ślub. (...) Na jesieni 2010 r. urodził nam się syn Igor. (...) Dwa lata później Ala była w ciąży z Leonkiem. Wówczas płynąłem samotnie w kanoe rzeką Leną przez całą Syberię. Kiedy jej ojciec dowiedział się, że Ala jest w ciąży, zasugerował, że bym skończył z wyprawami. Stała się w mojej obronie. (...)

Alicja jest silna, ale żyje chwilą w stylu „jakoś tam będzie”. Nie dopuszcza do głowy tragedii, gdyż nigdy wcześniej żadnej nie doznała. Nie znała smaku spektakularnej porażki, ale i wielkiego zwycięstwa. Sport nie był jej żywiołem, ale go szanowała. Przed wyprawą na Amazonkę, obawiając się wszystkiego najgorszego, dałem jej szerokie pełnomocnictwo do działań wspólnych na rzecz nowego domu i rodziny. Nigdy nie było wiadomo, co mi się może przydarzyć.

Alicja:

Przygotowania do amazońskiej wyprawy zaczęły się blisko dwa lata wcześniej. Zwłaszcza ostatni rok był bardzo emocjonujący, szczególnie ostatnie miesiące. Mnóstwo przygotowań, konsultacji, rozmów. Marcin coraz częściej bombardowany był niezbyt sprzyjającymi informacjami na temat wypadków na rzece, napadów Indian na białych i tym podobnych zdarzeń. Był bardzo zestresowany. Z jednej strony, bardzo chciał już wyruszyć, z drugiej – kiedy ten termin się zbliżał – jego niepokój stawał się coraz większy. Mówił: „Jak o tym myślę, brzuch mnie boli”.

W maju 2015 r. Marcin wyleciał do Limy, na ponad cztery miesiące. To jak do tej pory był najdłuższy okres, na jaki się rozstawaliśmy. Zostałam sama, z budową, dwójką dzieci, własną pracą. Każdy mój dzień wyglądał podobnie. Rano z dziećmi do przedszkola, potem ja do pracy, po przedszkolu dzieci pod pachę i na budowę. I jak tu myśleć o Brazylii...

Pamiętam rok 2013, Marcin w tym czasie był w drodze nad Dunajec, gdzie przygotowywał się do spływu. Trenował technikę wiosłowania na bystrzach przed przepłynięciem Amazonki. Zadzwoniła do mnie reporterka TVN 24 z pytaniem, czy mogłabym się wypowiedzieć przed kamerą na temat życia z człowiekiem takim jak Marcin, który ma bardzo niebezpieczną pasję, żyje na krawędzi ryzyka. Chciała porozmawiać o motywach i cenie, jaką trzeba zapłacić za zgodę na życie z kimś takim. Było to po tragedii w Himalajach, do jakiej doszło w marcu 2013 r. Wtedy z czwórki Polaków,

Ewy Cichockiej, żony kapitana, który samotnie opłynął świat bez zawijania do portu (z wyjątkiem jednego – gdy miał awarię steru), która powiedziała o mężu: – Czasami sobie myślę, że nie jest to do zrozumienia, że to nie jest do ogarnięcia w racjonalny sposób dla takiej zwykłej osoby jak ja. Dlatego nie wszystko staram się zrozumieć, po prostu Tomasz jest inny...

I to ostatnie zdanie utkwiło mi w głowie najbardziej. Mogę powiedzieć dokładnie to samo, Marcin też po prostu jest inny... To, co robi, jest szalone, oczywiście, naznaczono egoizmem, niebezpieczne, ale to

przyszło do głowy. (...) Dziennikarka Kinga Rusin zapytała mnie, czy to, co czuję do Marcina, to jakaś szczególna miłość. Czy do takich osób jak on musi być bardziej wyrozumiała.

Powiedziałam wtedy, że być może musi być bardziej wyrozumiała, ale też to, co zawsze mówię, kiedy mnie ktoś pyta, jak to jest żyć z kimś takim, kto robi tak ekstremalne rzeczy. (...) Podchodzę do tego zupełnie naturalnie, bo nie da się inaczej. W przeciwnym razie osiwiłabym już dawno – w sumie może to się już stało, ale jestem blondynką, więc nie widać. Marcina poznałam, kiedy robił to, co robi teraz, był podróżnikiem z wieloma sukcesami. Więc nie przyszłoby mi do głowy, żeby teraz mu tego zabraniać, bo jest rodzina, namawiać do zmiany pracy – może powinien zostać księgowym albo marketingowcem? Choć akurat, muszę

przyznać, marketingowcem jest dobrym, bardzo kreatywnym, więc niejednej firmie mógłby się przysłużyć. Jeżeli zabroniłabym mu realizować jego projekty, to tak, jakbym podcięła ptakowi skrzydła. Ptak nie będzie latał, będzie nieszczęśliwy. I podobnie byłoby z Marcinem. On jest jak taki właśnie kolorowy ptak, czasem rozwrzeszczany, czasem przysiadzie na swojej gałęzi, ale musi mieć tę wolność i robić to, co kocha. A i ja mam w tym swój mały interesik, bo rozstanie to czasem miła odmiana po ▶

Marcin jest samotnikiem, lubi wszystko sam ze sobą przemyśleć, nadmiar towarzystwa go irytuje. Lepiej mu wtedy schodzić z drogi.

którzy stanęli na szczycie Broad Peak, dwóch zginęło podczas zejścia z góry. Gorący temat z Himalajów rozlał się w polskich mediach. Pojawiło się wielu ekspertów, ale i takich kobiet jak ja, które mają do czynienia z facetem spełniającym tzw. niebezpieczną misję. Reporterka pytała:

– Boi się pani, że może „taki” telefon dostać po jakimś czasie?

– Jaki telefon? – zapytałam.

– No, że może nie wrócić i ktoś pani powie, że zginął. To taki telefon, o którym się nie myśli, że stało się coś złego.

I wtedy, tak naprawdę chyba po raz pierwszy, zdałam sobie sprawę z tego, że kiedyś tak się może stać. Odpowiedziałam, łamiącym się głosem:

– Nie wyobrażam sobie tego... – i poleciały łzy, na szczęście już poza kamerą. Te emocje były autentyczne, bo naprawdę pierwszy raz w życiu dopuściłam do siebie taką myśl, że przecież tak może kiedyś się stać. Normalnie na co dzień, nawet podczas wyprawy, takie myśli się zagłusza, jakby chciało się zaciemnić rzeczywistość, w psychologii nazywa się to chyba wyparciem. Pomyślałam wtedy o maleńkich jeszcze dzieciach, bo Igor miał niecałe trzy lata, a Leonek niecały rok, o sobie. Nie, nie wyobrażam sobie... Marcin czasem się śmieje, że w ogóle jestem nieświadoma zagrożeń, ale to nie o to chodzi, to kwestia nastawienia. Przypominam sobie słowa

właśnie to, co go napędza, on przesuwa granice ludzkich możliwości. Nadaje sens. Wiem, że dla wielu ludzi jest to trudne do zrozumienia i wiele osób tego nigdy nie pojmie. A nawet mówi: Ale co to za pasja? Przecież ma rodzinę, a jeśli tak, to powinien zająć się nią.

Wiem, że są ludzie, którzy bez tej pasji nie istnieją. I taki jest Marcin. Tylko jak to wszystko wpasować w tzw. normalne życie? Jak nie zwariować ze strachu, zbyt dużych emocji, stresu? Jak poukładać życie rodzinne, kiedy trzeba je przez te dwa, trzy albo cztery miesiące wieść zupełnie samej, mając pracę zawodową, dom, dzieci, dodatkowe zajęcia?

To czasami jest wyzwaniem, zwłaszcza logistycznym. Ale tu nieocenieni są zawsze rodzice, zarówno jedni, jak i drudzy. Choć mieszkają daleko od nas, zawsze pomogą w potrzebie i zawsze można na nich liczyć. Nie mogę też nie wspomnieć o naszej nieocenionej, kochanej pani Basi. To niania naszych dzieci. Jest jak członek rodziny. Bez niej nie dałabym rady. (...) Ma 78 lat, a energii i siły czasem sama jej zazdroszczę, nie mówiąc już o cierpliwości.

Kiedyś dostałam zaproszenie do programu „Dzień dobry TVN”. Tematem miały być ekstremalne pasje naszych bliskich – jak je zaakceptować, co to oznacza dla nas, żon, mężów, najbliższych. Świat cywilizacji daje teraz takie możliwości poznawcze, że jeszcze w latach 90. nikomu by to nie



nerwowym okresie przygotowań do wyprawy. Kiedy jednak teraz myślę o tym, z perspektywy tych kilku ostatnich lat, to chyba będę musiała zmienić odpowiedź, jeśli ktoś znów zapyta mnie, jak to jest żyć z kimś takim. Na pytanie o tę normalność trzeba odpowiadać: jednak jest czasem nieprzewidywalnie, czyli ekstremalnie! Marcin kocha emocje nie tylko na wyprawie. Parę innych osób może to potwierdzić. Ale to może temat na inną opowieść. Miły jest natomiast zawsze powrót, bo jest tęsknota w czasie rozłąki, więc chyba rozstanie robi nam obojgu całkiem nieźle.

Kiedy powracam do myśli o tej mniej przyjemnej, bo niebezpiecznej stronie wypraw Marcina, muszę powiedzieć, że szczęśliwie do tej pory nic dramatycznego się nie wydarzyło, choć to nie oznacza, że zawsze wszystko idzie gładko, bez



Z dużymi przedsięwzięciami jest jak z dużymi pieniędzmi – rozpalają zmysły. Zarówno w tym dobrym wymiarze, jak i tym gorszym.

niespodzianek czy niebezpiecznych sytuacji. Oczywiście, że są, czasem jest ich całkiem sporo. Od jakichś – wydawałoby się – banalnych problemów ze zdrowiem do strzelaniny czy wywrotek na rzece. Ale nawet te banalne problemy ze zdrowiem tam, na rzece, w dżungli czy jakimś innym dzikim miejscu, mogą być nie lada kłopotem. Podczas wyprawy na Amazonkę ugryzł go jakiś owad czy pajak. Szyję i pół karku miał spuchnięte jak balon. Oczywiście w czasie tej wyprawy był w kontakcie z lekarzem – dr. Majerem z Centrum Chorób Tropikalnych w Gdyni, i dlatego wszystko dobrze się skończyło, ale mogło być różnie. (...)

Kiedy ktoś mnie pyta o cenę, jaką płacę za pasję Marcina, nie staram się robić z siebie żadnej bohaterki, ale na pewno nasze życie różni się od życia przeciętnej rodziny. Mimo wszystko staram się w tym szaleństwie zachować pewną normalność. Znaleźć czas dla rodziny, przyjaciół, dla siebie. Wyjeżdżamy na wakacje, o ile Marcin jest w tym czasie na miejscu. I tu też często pojawiają się

pytania, czy wakacje mamy ekstremalne. Na szczęście nie, ale nie ma wylegiwania się całymi dniami na plaży, bo po prostu tego nie lubimy. No, może jeden dzień, ale nie więcej. Wszyscy lubimy aktywność, zwiedzanie, sporty. Organizuję swoją pracę, dom, dzieci, żeby wszystko funkcjonowało, jak powinno. Na pewno dużo więcej obowiązków należy do mnie, ale Marcin również ma swoje zadania domowe do wykonania, żeby za bardzo nie wyszedł z wprawy podczas nieobecności. Świetnie idzie mu sprzątanie, zwłaszcza łazienki.

Ta normalność nie jest łatwa chyba właśnie w tym najgorętszym czasie tuż przed wyprawą. Marcin jest samotnikiem, lubi wszystko sam ze sobą przemyśleć, nadmiar towarzystwa go irytuje. Lepiej mu wtedy schodzić z drogi. Nie dyskutować, nie sprzeciwiać się. A ja lubię coś po kobiecemu wtrącić, powiedzieć własne zdanie

Rodzinny spływ
Czarną Hańczą, maj 2018 r.

i wtedy awantura na zawołanie. Z dużymi przedsięwzięciami jest jak z dużymi pieniędzmi – rozpalają zmysły. Zarówno w tym dobrym wymiarze, jak i tym gorszym. Trzeba to przetrwać, nie dać się zwariować i ponieść emocjom.

Nie można myśleć o zagrożeniu, bo ono towarzyszy na wyprawie niemal nieustannie. Czasem myślę, że to adrenalina napędza takich ludzi jak Marcin. To z jednej strony szaleńcy, ale z drugiej, to oni przesuwają granice ludzkich możliwości, dzięki nim poznajemy świat. (...) Ulubiony cytat Marcina pochodzi od Reinholda Messnera – zdobywcy korony Himalajów, który powiedział kiedyś, że „prawdziwa przygoda zaczyna się dopiero wtedy, gdy nikt nie wie, czy jeszcze żyjesz”. Ale nie zawsze da się to zrobić. To trochę straszna perspektywa, ale też wiadomo, że prawdziwej przygody nie da się zaplanować. Można przygotować się

logistycznie, merytorycznie, sprzętowo, ale nie ma się wpływu ani na pogodę, ani na zachowania ludzi spotkanych po drodze, szeroko pojętą siłę natury. Do tego trzeba mieć dużo pokory i ja wiem, że mimo wszystko Marcin ją posiada.

1 września 2015 r. Belém, Brazylia

Alicja wyjmuje polską flagę i macha w geście triumfu, a ja wstaję w swoim kanoe i odpalam ramię, strzelam do góry, przecieram czoło. Krzyczę: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy!”. Koniec nerwów, złych emocji, jest tylko radość. Alicja wręcza mi statuetkę Oscara z dedykacją od niej i dzieci: „Kochanemu Mężowi i Tacie Marcinowi za przepłynięcie Amazonki”.

Fragment książki Marcina Gienieczi
Zatańczyć z Amazonką, w której opisuje udział w wielkim triathlonie przez Amerykę Południową. Książka ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Novares.



Non-paper

Kilka tygodni temu w tej rubryce zwracaliśmy uwagę, że Polska od ponad roku nie ma ambasadora w Pradze. To niespotykana sytuacja między sąsiadami, państwami zaprzyjaźnionymi, będącymi członkami NATO, UE i Grupy Wyszehradzkiej. Zwykle brak ambasadora przez tak długi czas świadczy o kryzysie w stosunkach dwustronnych. Może też świadczyć o lekceważeniu partnera. W polskim przypadku świadczy raczej o potężnym bałaganie.

W efekcie placówką w Pradze kieruje *chargé d'affaires*, Antoni Wręga. Niedawno było o nim głośno, gdy próbował zatrzymać uchwalenie czeskiej ustawy o aborcji i wysłał w tej sprawie osobisty list do ministra zdrowia Czech. Czyli zachował się jak ambasadora Trumpa w Warszawie. Tyle że nie pomylił się w tytulu-rze. No i skutek działań był inny.

Możemy w ciemno zakładać, że w podobnie nieudolny sposób działała nasza dyplomacja w sprawie kopalni w Turowie, więc tylko dwa zdania podpowiedzi – jesienią będą w Czechach wybory i faworytem jest partia kładąca znacznie większy nacisk na ekologię i wolności obywatelskie. Jeśli w sprawie kopalni mamy coś z Czechami ustalić, to sugerujemy, by starać się to zrobić z obecnym rządem.

A wspomnianemu wyżej szefowi ambasady w Pradze przypominamy, że nic tak nie plami rąk jak atrament. Jego list do ministra zdrowia Czech będzie podawany na uczelniach i w praktyce jako przykład nieudolności dyplomatycznej w stosunkach między równymi partnerami. A można było inaczej... Na przykład umówić się z przewodniczącym Senatu (nowelizacja ustawy jest inicjatywą tej izby) na rozmowę, wszak sie-

dziba izby wyższej znajduje się kilkadziesiąt metrów od ambasady, i przedstawić mu ustnie pogląd władz RP. Po rozmowie można było zostawić swoje notatki właśnie w formie *non-paper*, czyli nieistniejącego oficjalnie papieru, wyjaśniającego szczegółowo stanowisko. To zresztą, uwzględniając słaby czeski pana Antoniego, wydaje się niezbędne.

Ech... Jedną z opinii, w jaki sposób pan Antoni znalazł się w Pradze na stanowisku zastępcy ambasadora, wskazuje, że jest on w jakiś sposób podczepiony pod służby. Świadczyć o tym mają znikanie w prywatnych firmach między zatrudnieniami w MSZ i na placówkach, jego publikacje na temat służb czy stanowisko wicedyrektora Biura Spraw Osobowych przed wyjazdem do Pragi. W biurze jest zwykle jeden wicedyrektor od kadr w centrali, drugi zajmujący się placówkami i ten trzeci...

Nie zgadzamy się z takimi insynuacjami i stanowczo przeciw nim protestujemy. Dlaczego? Otóż wszyscy koledzy, co do których przypuszczaliśmy na placówkach, że mogą być ze służb (a pewności nigdy nie ma), to profesjonaliści również w rzemiośle dyplomatycznym. Na pewno potrafiący słuchać rad bardziej doświadczonych koleżanek i kolegów, no i bardzo sympatyczni. A do tego wzorca pan Antoni nie pasuje.

Naszym zdaniem ów prawie 70-letni człowiek, z kartą opozycyjną, po prostu na koniec kariery dostał od znajomych fajną synekurę. Nikt nie mógł przewidzieć, że będzie musiał samodzielnie podejmować trudne decyzje, bo ośrodki władzy w Polsce od kilkunastu miesięcy nie mogą się porozumieć w sprawie mianowania ambasadora. Więc podejmuje, jak potrafi.

Attaché

Kancelarz Angela Merkel i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas szczytu UE w Brukseli, 25 maja.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery E ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- bezbarwna, przezroczysta masa plastyczna
- imię zięcia Mahometa, pierwszego imama szyitów
- włoski przyrodnik, odkrył proces zapylania kwiatów
- w ten kwiat zamieniona nimfa, którą pokochał Zefir
- umowa o pracę, zwłaszcza z aktorem
- Luanda jej stolicą

- kto do nich przeszedł, ten się wslawił
- trunek z zacieru ryżowego lub daktylowego
- „Śmierć w...” Republiki
- rządząca miastem do 100 tys. mieszkańców
- wódz Zulusów, twórca ich państwa
- robotnik ścinający drzewa w lesie
- włoskie wyspy, tam bitwa morska w I wojnie punickiej

- grana przez Martę Juras w „M jak miłość”
- wybitność i doskonałość, np. umysłu
- uczucie czczości i powieść Knuta Hamsuna
- w 1990 r. zaatakował Kuwejt
- stołowy, a na statku mesa
- filozof, krawędź albo oszustwo
- serial o rodzinie Lubiczów
- klujące bóle w jamie brzusznej
- zna się na arabach i folblutach
- hałaśnik, wygłaszacz szumnych frazesów
- możnowładczyna, bogaczka
- tekst wystukany na remingtonie

- impresario (mocno spolszczony)
- epoka kamienia gładzonego
- dobrze trzymać je na wodzy
- ustawiczne dręczenie
- zmęczony od patrzenia na pracujących
- podziemna kryjówka zwierzęcia
- gruszkowate, ciemnofioletowe na straganie (z francuska)
- szkląć je komuś to kłamać
- do opalania albo kamforowy, sandałowy
- ...Balaama – cicha woda, ścichapek
- prąd umysłowy lub olśnienie, iluminacja
- brązowa plamka na skórze
- połowiczne, niezatłuwające całkiem
- sprawy sposoby
- comiesięczna bolączka frankowicza

- koncert jednego muzyka, piosenkarza
- państwo z Siedmiogrodem
- głośne płkanie, śpiewanie rozdzierające uszy
- hydra, drobny polip
- pagony, a przenośnie stopień oficerski, ranga
- papierowa z baśni o dzielnym ołowianym żołnierzyku
- pakunki, tłumoki
- ogólny kierunek rozwoju, zmian
- więksi krewniacy pszczoł
- assistance jest dobrowolne
- zatłoczone w dużym mieście
- ...podlodowe w przereblach
- otwór wpływowy, wejściowy
- chaos, galimatias
- świątynia protestancka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1015”. Do rozlosowania książki „Mała księżniczka” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 czerwca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1012” z nr. 20: Przypadek steruje światem.

Nagrody otrzymują: Zofia Biszeńska ze Szczecina, Bożena Jawień z Krakowa, Krystyna Paluch z Czechowic-Dziedzic.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

**PIERRE RIMBERT
I SERGE HALIMI,**
REDAKTOR NACZELNY
I PREZES ZARZĄDU

W Stanach Zjednoczonych od 2004 r. znikło ponad 2,1 tys., tzn. jedna czwarta ogółu, dzienników i tygodników, bardzo często zastępowanych siecią zaangażowanych politycznie stron internetowych, które służą jako parawan do rozpowszechniania artykułów finansowanych przez zainteresowane tym partie polityczne. Przetrawianie prasy lokalnej zależało od reklam i ogłoszeń, dwóch źródeł finansowania przejętych przez Facebook i Google, które same nie produkują informacji, tylko kradną je gazetom, którym wcześniej odebrały reklamodawców.

odra

MARIAN PILOT,
PISARZ

Dawno już nabrałem przeświadczenia, że moja ziemia rodzinna, mój siedlikowsko-ostrzeszowski matecznik, jest ziemią wybraną, miejscem, którego mieszkańcy w sposób naturalny mówią wszystkimi tutejszymi polskimi językami: po poznańsku, po śląsku i po częstochowsku, jako że nastąpiło tu właśnie niegdyś zderzenie tych trzech żywiołów. Kiedy miało miejsce to niepozbowione znaczenia dla losów narodu zdarzenie, jaki miało przebieg,

jaka miejscowość odegrała główną rolę w tym historycznym procesie? Kolebki? Przytocznica? Drożdżyny? Zmyślona Ligocka? Źródelnia?

KRAKÓW

EWA LIPSKA,
POETKA

Śniło mi się, że zostałam profesorem prezydenckim, drukując swoje naukowe przesłania w pismach z wysokim indeksem cytowań (*impact factor*): „Przekąski z jaj”, „Mówią Ćwieki”, „Cele i parcele”... Jawa uświadomiła mi scjentystyczną prawdę, że „szerzenie niewiedzy w świecie musi być także naukowo opracowane” (S.J. Lec).

PANI

DOROTA SZELĄGOWSKA,
PREZENTERKA TELEWIZYJNA
I PROJEKTANTKA WNĘTRZ

Nie wyniosłam z domu żadnego wzorca kobiecości. To paradoks, ponieważ pochodzę z rodziny fantastycznych kobiet. Samodzielnych, mądrych, zaradnych, silnych, ale żyjących w absolutnym patriarchacie... bez mężczyzn. Jeżeli już facet pojawiał się na orbicie mojej babci, ciotki czy mamy, to one uważały, że należy o niego dbać i zabiegać o jego względy, żeby go przy sobie utrzymać. Mam mnóstwo fantastycznych cech po mojej babci i mamie, ale wiara w kobiecość w naszej rodzinie zawsze była wykastrowana.



Kibic Manchesteru United przed finałem Ligi Europy w Gdańsku.

Aby język giętki...

ADAM MICHNIK

O OSKARŻENIACH MŁODEGO POKOLENIA

Jak byłem młody, działałem tak samo jak oni, tak samo mówiłem o starszym pokoleniu.

JAN KLATA O ZMIANIE

Najnowsze pokolenie dojrzewa do własnego powstania, tylko potrzebuje jeszcze czasu.

RÓŻA THUN

O PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ

Międzypartyjne rozgrywki to nie mój świat. Nie chcę brać w tym udziału.

STANISŁAW TYM

O MATEUSZU MORAWIECKIM

Tak wzruszając opowiadał historię rządów PiS, że stara szafa u mojej sąsiadki płała.

BEATA KOZIDRAK O ANDRZEJU PIETRASIE

Gotowałam mężowi w samym fartuszu w biało-czerwoną kratkę. I tą skąpą stylizacją starałam się odwrócić uwagę od moich kulinarnych mankamentów.

AGATA BUZEK O SZYDEŁKOWANIU

Założyłam z przyjaciółkami Szydelex, robimy na szydełku i drutach czapki, torebki, piórniki. Sprzedajemy je na Instagramie i cały dochód idzie dla fundacji.

EWA WACHOWICZ

O PRZYZWYCZAJENIACH

Miałam to szczęście, że rodzice przyzwyczaili mnie do cieszenia się nawet z małych rzeczy, zawsze szukam jaśniejszych stron.

HENRYK SAWKA

O PROWADZENIU SAMOCHODU

Nie jestem najlepszym kierowcą, gadam, rozpraszam się. Jestem dobry na krótkie dystanse, potem zaczynam się nudzić.

JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI

O RYWALIZACJI

Przyjęłam prostą zasadę: jeśli chcę być lepsza od rywalek, muszę trenować dłużej, więcej i mądrzej.

KUBA WOJEWÓDZKI O RADKU MAJDANIE

Kiedyś ubierał się fatalnie. Teraz robi to podobnie, ale za większe pieniądze.

(Krypto)biznesmen w sutannie

Proboszcz z Opola-Sławic zainwestował w kryptowaluty nie tylko własne oszczędności, ale także środki parafii oraz pożyczki od wiernych – i wszystko stracił. – W parafii planowano inwestycje. Ksiądz liczył, że w szybki sposób pomnoży pieniądze, dzięki czemu łatwiej będzie te inwestycje sfinansować. Okazało się, że inwestując w kryptowaluty, padł ofiarą oszustów. Nie była to zła wola, ale naiwność – wyjaśnia ks. dr Andrzej Ochman, który tymczasowo przejął obowiązki po pechowym inwestorze zdymisjonowanym przez kurię. Niby ksiądz doktor, a nie wie, czym wybrukowane jest piekło?

Czarno-białe, ale różowe

Pornhub, popularny internetowy serwis dla dorosłych, postanowił odświeżyć i udostępnić szerokiej publiczności najstarsze filmy erotyczne i pornograficzne. Na pierwszy ogień poszło 20 produkcji z XIX i początku XX w.: od w pełni niewinnego „Pocałunku” z 1896 r. po dzieła przypominające współczesne klasyki gatunku. W przedsięwzięciu wykorzystano, a także, pomoc algorytmów sztucznej inteligencji, które wystrzyły obraz i zredukowały szumy czy drgania. Osoby odpowiedzialne za projekt zapewniły, że będzie on kontynuowany w ramach „misji mającej zachować i unowocześnić część światowej kineematografii”. Czemu nie, wszelkie mody na retro wydają się nam sympatyczne – no, może poza reaktywacją przedwojennego ONR.

Koniec rozkoszy od kokoszy

Skoro już mowa o szeroko rozumianej miłości, przytaczamy apel amerykańskich Centrów ds. Kontroli i Prewencji Chorób, by nie przytulać i nie całować żywego drobiu. Po-



wodem jest stwierdzenie w ostatnim czasie w 43 stanach 163 zakażeń salmonellą. Instytucja tłumaczy, że ptactwo hodowlane może przenosić choroby, i zaleca mycie rąk po każdym z nim kontakcie. Czekamy na tradycyjny oburz prawicy: „Dziś zakazuje się nam chodzenia spać z kurami, jutro zabroni się zbijania bąków, a skończy się na karach więzienia za odwracanie kota ogonem”.

Bo dom to praca

Portal społecznościowy LinkedIn, służący kontaktom zawodowym i biznesowym, umożliwi użytkownikom i użytkownikom uwzględnianie w CV okresów pracy na stanowisku mamy lub taty. Serwis zamierza również wprowadzić opcję uzupełniania pozornych luk w życiorysie takimi wydarzeniami jak urlopy naukowe czy wynikające z przyczyn osobistych. Jako pierwsza do tego rodzaju zmian wezwała platformę pisarka Heather Bolen, która podkreśla, że kariery zawodowe są często nieliniowe. Chyba że ktoś przez całe życie „z zawodu jest dyrektorem”.

Warto rozmawiać – ale z niektórymi bardziej

Burmistrzini Chicago postanowiła w najbliższym czasie udzielać wywiadów tylko czarnoskórym dziennikarkom i dziennikarzom. Lori Lightfoot wyjaśnia, że media w jej mieście w przytłaczającej większości reprezentują jasnoskórzy mężczyźni. – Kraj stanął w obliczu historycznego rozliczenia z systemowym rasizmem. Gdy patrzę na brak różnorodności w korpusie prasowym ratusza i innych redakcjach informacyjnych, mam niestety wrażenie, że niewiele instytucji medialnych w Chicago to zrozumiało – wyjaśniła wóldarka Wietrznego Miasta. Polityczka – dumna czarnoskóra lesbijka – podkreśla, że biali stano-

ŚWIAT SIĘ KRĘCI



Wybór środka transportu bywa trudny.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj,
Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



wią mniej niż połowę mieszkanek i mieszkańców metropolii. W Polsce nie ma podobnych problemów, bo 99% obywateli stanowią potomkowie szlachetnie urodzonych Sarmatów.

Co w mózgu, to w sercu

Aktywując implanty wszczepione myszom w czaszki, amerykańscy naukowcy wywołali u tych zwierząt uczucia przyjaźni. Mowa o optogenetycznych implantach neuronowych, które można wykorzystywać do bezprzewodowego uruchamiania określonych obszarów mózgu. Po aktywacji tych urządzeń badacze z Northwestern University zaobserwowali, że gryzonie natychmiast zaczęły zbliżać się do siebie i zaprzyjaźniać. Z kolei gdy implanty zostały wyłączone, mysie kontakty towarzyskie ustały. Może warto zamówić 460 „czipów przyjaźni” na Wiejską 4/6/8?

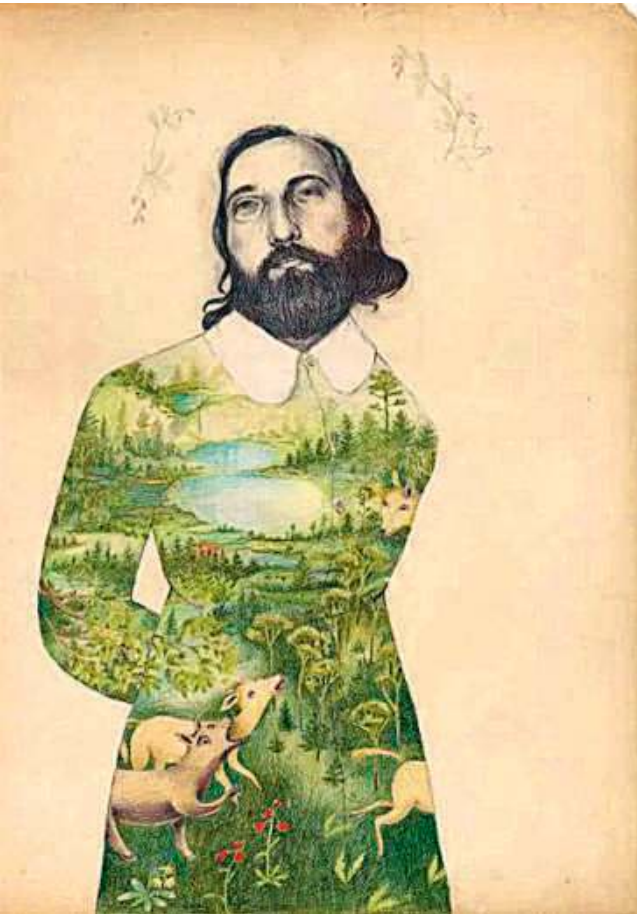
A Spielberg ostrzegał...

W katońskim mieście Santa Coloma de Gramenet w jednej z nóg wielkiego dinozaura, zrobionego z papier *mâché* i reklamującego miejscowe kino, odnaleziono zwłoki zaginionego mężczyzny. Wstępne śledztwo wykazało, że prawdopodobnie doszło do nieszczęśliwego wypadku: 39-latek upuścił telefon do wnętrza figury, a gdy próbował go odzyskać, wchodząc do niej przez niewielki otwór – utknął w konstrukcji głową w dół. Od ekranizacji „Parku Jurańskiego” minęły prawie trzy dekady, a niektórzy nadal się nie nauczyli, że od dinozaurów należy się trzymać na bezpieczną odległość...



TAJEMNICZA NIEOSTROŚĆ

Świat ilustracji Joanny Concejo



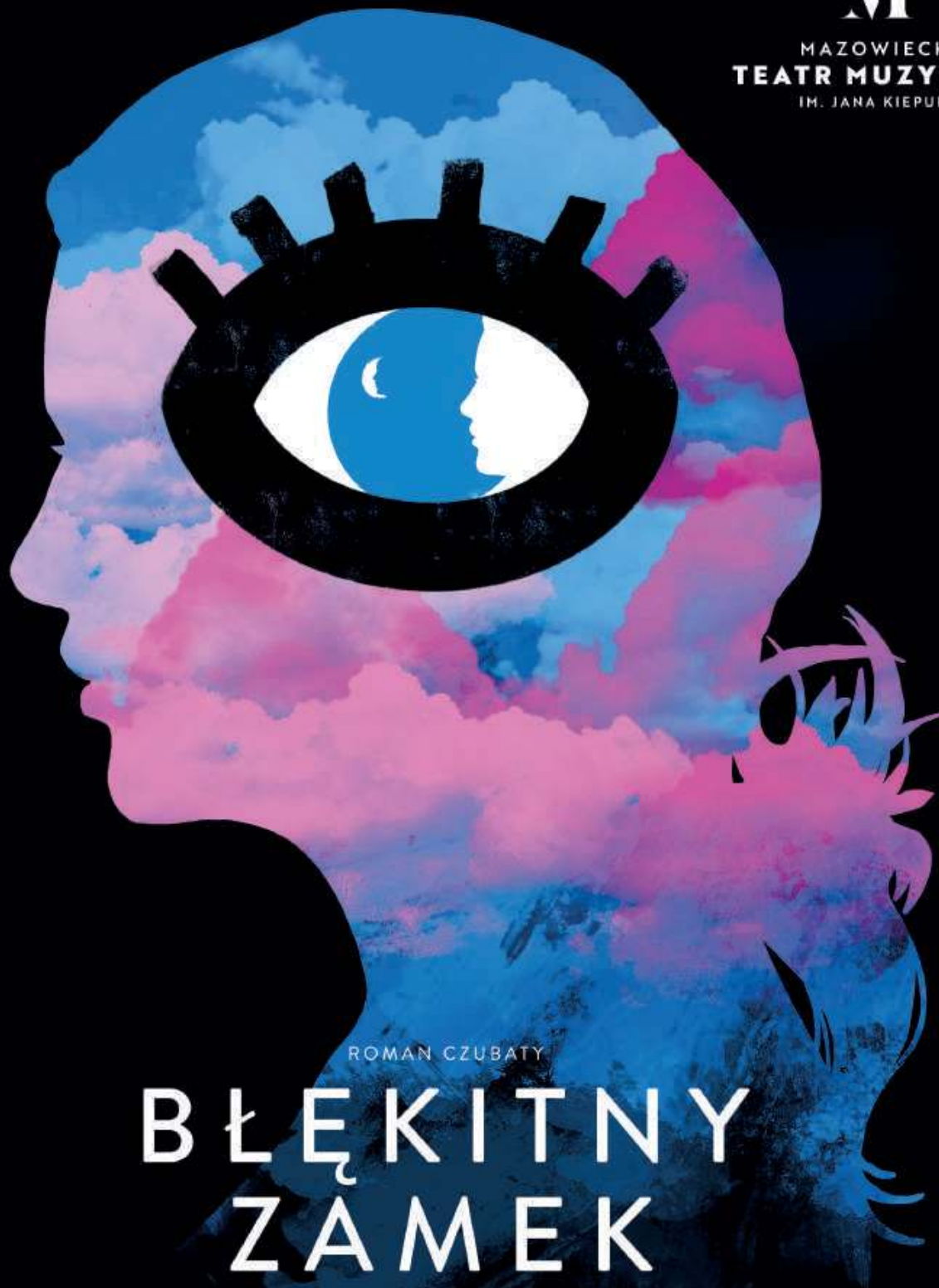
Joanna Concejo tworzy światy o hipnotycznej mocy przyciągania. Nie mizdrzy się do czytelnika, wybiera trudne, ważne tematy: poszukiwanie prawdy, wolność wyboru, potrzebę uważności, refleksję nad życiem, w którym ludziom często towarzyszy smutek albo poczucie winy czy ulotności szczęścia. Jej twórczość pokazana została tu w niecodzienny sposób – można wejść w ilustracje, poznać niektóre sekrety warsztatu, od technik skalowania do wycinanek i haftów. Jedną ze stref wystawy jest czytelnia z książkami artystki, a całość przygotowana została jako azyl od pośpiechu, z myślą zarówno o młodym, jak i starszym czytelniku.

Galeria Rondo Sztuki
Katowice, rondo im. gen. Jerzego Ziętka 1
do 8 czerwca



M

MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY



ROMAN CZUBATY

BŁĘKITNY ZAMEK

LIBRETTO: KRYSZYNA ŚLASKA, BARBARA WACHOWICZ

PREMIERA 4, 5 CZERWCA 2021 R.

MAZOWIECKI TEATR MUZYCZNY IM. JANA KIEPURY

WWW.MTEATR.PL

Ani Płomien

ORGANIZATOR

M
MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY

PISTON KONKURSY

PARTNER

SPONSOR MEDALNY

SPONSOR MEDIACYJNY

Mazowsze.
region polski



Ruch
muzyczny

Presto



Classica

LICENCJA NA WYKONANIE STWORZONA PRZEZ STOWARZYSZENIE AUTORÓW EXRS

STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERT



ASAF AVIDAN

ANAGNORISIS TOUR 2022

KLUB KWADRAT, KRAKÓW

7.04.2022

KLUB PROXIMA, WARSZAWA

9.04.2022

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL